kowski

KANIA
CZNE

3041

OBŁĄKANIA SERDECZNE

GAWĘDY O DAWNYM OBYCZAJU

WYBÓR CIEKAWYCH PAMIĘTNIKÓW XVIII I XIX STULECIA

TOM VII

OBŁĄKANIA SERDECZNE

LWÓW — POZNAŃ

NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

czartkowski

OBŁĄKANIA SERDECZNE

KILKA HISTORYJ MIŁOSNYCH Z PRZESZŁOŚCI WYDOBYTYCH

PRZEZ

ADAMA CZARTKOWSKIEGO

LWÓW — POZNAŃ

NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

OKŁADKĘ RYSOWAŁ E. CZERPER

CZCIONKAMI DRUKARNI S. A. OSTOI W POZNANIU

PRZEDMOWA.

Jedenaście historyj miłosnych przynosi Wam, Szanowne Czytelniczki, ten zbiorek. Kryły się one po rozmaitych pamiętnikach polskich i obcych, dawniej i mniej dawno wydanych, i wieść o niejednej już zapewne doszła do Waszych różowych uszek. Ale tu wydzielono je z pośród balastu, którym były przytłoczone, i bez zmęczenia, jakie sprawia mozolne przedzieranie się przez gąszcz pobocznych faktów i fakcików, możecie się dowiedzieć o tem, jak liczne serca, zgubiwszy drogę prostą, obłąkały się w życiu i krocząc odtąd po ciernistych manowcach, targane bólem, złamały się, jak krzew róż purpurowych od burzy, co z czarnych chmur śle jedną za drugą blade błyskawice gniewu...

Słodkie jest dziecko, co łuk uczucia napina, ale grot jego ostry razi boleśnie i rzadko bez śladu...

Historje, które tu zebrałem, zasługują na uwagę bądź dla dramatyczności, bądź niezwykłości swego przebiegu, bądź też dotyczą osób bardzo wybitnych lub na wysokiem niegdyś stojących miejscu. Oczywiście obłąkać się może serce nietylko księcia lub panującej, i pod słomianą strzechą równie często, jak w pałacu, rozgrywają się dramaty miłosne, niestety jednak opowieści

o tych ostatnich znacznie rzadziej przekazują nam pamiętnikarze a i ogół chętniej zajmuje się przeżyciami ludzi, co jakąś wydatną w dziejach odegrali rolę.

Można byłoby też zgromadzić tych opowieści znacznie więcej, można byłoby podać dzieje serc naszych wielkich poetów i artystów, lecz musiałem się liczyć i z objętością książki, i z pojemnością uwagi czytelników, która łatwo znużyłaby się jednostajnością zestawionych historyj, i z tem wreszcie, że już inni o tym przedmiocie niejedną ogłosili książkę. Zresztą, jeśli losy tego zbiorku będą pomyślne, wszak łatwo ułożyć jeszcze i drugi, i trzeci.

Wkońcu zaznaczam, że dając książkę, tylko dla rozrywki przeznaczoną, nie widziałem potrzeby obciążania jej przypiskami, zaznaczyłem tylko na odwrocie karty tytułowej każdego rozdziału, skąd go zaczerpnąłem, oraz że przekłady wyjątków z pamiętników cudzoziemskich z pod mego wyszły pióra.

Adam Czartkowski.

SPIS RZECZY.

S p r o s t o w a n i e : Na str. 4—17 zamiast Bestiużew winno być wszędzie Bestużew.

I

PANI LOSÓW KRÓLEWSKICH

(1755—1764)

Mémoires du roi Stanislas Auguste Poniatowski. Tome I. Pétersbourg 1914. Wyd. prze[illegible] S. Goriainowa nakł. Akademji Umiejętności.
Die deutsche Zarin. Denkwürdigkeiten der Kaiserin Katharina II. Ebenhausen bei München.

Król Stanisław - August opowiada w swym pamiętniku:

W Berlinie 1750 r. poznałem się z kawalerem Karolem Ilanburym Williamsem, wówczas posłem brytańskim przy królu pruskim; ten człowiek okazał mi odrazu wiele życzliwości, której nieskąpił mi i później...

W 1753 r. zastałem Williamsa w Wiedniu, gdzie bawił, jako poseł nadzwyczajny. — Widywałem go częst Gdy zachorował niebezpiecznie, pielęgnowałem go najtroskliwiej, co wzbudziło jego przyjaźń ku mnie w jeszcze większym stopniu...

Później, bawiąc w Warszawie, wymógł on na mnie, zgodnie z życzeniami rodziców moich, obietnicę, że gdy zostanie mianowany na stanowisku posła w Petersburgu, to pojadę z nim do Rosji... Wiosną 1755 r. Williams napisał do mnie, że otrzymał właśnie taką nominację i że przyszedł czas, abym dotrzymał słowa.

Rodzice moi skwapliwie skorzystali ze sposobności wysłania mnie do kraju, który według ich mniemania musiałem poznać... i w końcu czerwca 1755 r. stanąłem w Petersburgu...

Ten pierwszy pobyt mój w Rosji z Williamsem był dla mnie okresem nauki. Tylko pod kierownikiem tego człowieka mogłem się zapoznać z tajnikami dyplomacji... Oprócz tego Williams był moim konfidentem i wspierał mnie radą, gdyż w tym czasie właśnie zakochałem się

jak najmocniej i jak najgwałtowniej. Moje serce było wypełnione czułą miłością, a dusza korzyła się w adoracji. Jego stanowisko pozwalało mu z łatwością widywać osobę, do której w publicznych zebraniach nie mogłem się zbliżać, i dzięki temu ułatwiał mi tysiącznemi sposobami komunikowanie się z nią. Jego dom, w którym mieszkałem, z tego samego względu zabezpieczał mi nietykalność, z czego gdzie indziej nie mógłbym korzystać.

Williams też właśnie podjął się zawiadomić Bestiużewa, wielkiego kanclerza rosyjskiego, o tajemnicy, która pozostawała nieznana mu w ciągu 6-ciu miesięcy, pomimo bystrego wzroku jego szpiegów i pomimo jego własnego dążenia do rządzenia uczuciami Księżny, którą ubóstwiał niemal do granicy miłości. Daremnie starał się dać jej kochanków ze swego wyboru i w tym celu zatrzymał się na hrabim Lehndorfie, który prezentował się u dworu jednego dnia ze mną, a którego tegoż wieczoru dworacy zachwalali Księżnie. Wyrzekła, że z dwóch poznanych podoba się jej Polak. To zdanie, wypowiedziane szczerze, bez żadnej ukrytej myśli, zauważył Leon Naryszkin, pełniący wówczas funkcje jej szambelana, zapoznał się w jak najkrótszym czasie ze mną, pozyskał moje względy i zakomunikował słowa Księżny, podniecając we mnie nadzieję nieustannie wszelkiemi sposobami. Długi czas starałem się nie dawać ucha jego słowom, wciąż mając w pamięci to, co słyszałem o intrygach i szpiegostwie dworu rosyjskiego, a w szczególności te okropne niebezpieczeństwa, które mnie otaczały.

Od maleńkości słuchałem opowiadań o strasznem panowaniu Anny Iwanówny, której wspomnienie sprowadza dreszcze na każdego Rosjanina. Wiedziałem już, że przede

mną używał łask Księżny jeden z Sołtykowów, którego cesarzowa Elżbieta oddaliła od niej pod pretekstem misji w Hamburgu, ale nic a nic nie słyszałem, że główną przyczyną tego było niezadowolenie Księżny. Zresztą mniemałem, że głównie dąży ona do władzy, że jest do szpiku kości Prusaczką (a do Prusaków wpojono mi awersję z mlekiem), że ceni tylko Woltera, słowem, zupełnie inaczej o niej sądziłem, niż było w rzeczywistości. Wskutek tego, nie odczuwając w dodatku żadnych pożądań, w ciągu trzech miesięcy starałem się unikać wszystkiego tego, co w słowach Naryszkina wydawało mi się planowaną pułapką.

Ale on zachowywał się, jak dworak, odgadujący polecenia, które mu nie zostały powierzone, i starający się zaskarbić sobie na przyszłość łaski W. Księżny, ułatwiając jej romans, że tak powiem, pomimo jej woli. Opowiadał mi o niej tyle, że wreszcie skusił mnie i uczyniłem parę prób. Zdecydowałem się zaś, gdy pewnego razu W. Księżna, przechodząc koło mnie, powtórzyła mi słowa, które wyrzekłem do Naryszkina o pewnej pani, bywającej u dworu, i dodała: „Jak widzę, pan jest malarzem“. Rychło potem zaryzykowałem wysłanie do niej liściku. Nazajutrz otrzymałem przez Naryszkina odpowiedź — i od tej chwili straciłem wszelką pamięć, że istnieje Syberja. W parę dni zaprowadził on mnie do W. Księżny, nie uprzedziwszy jej o tem, aż w czasie, gdy znalazłem się u drzwi jej garderoby, w miejscu, przez które w kwadrans później mógł przejść W. Książę — małżonek. W ten sposób mogłem się schronić tylko u niej i to zmusiło ją do przyjęcia mnie, aby nie wystawić nas obojga na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Miała wówczas lat 25. Tylko co powstała z pierwszego połogu i była w tej epoce rozkwitu piękności, kiedy dościga ona swego szczytu. Przy czarnych włosach miała oślepiająco białą cerę i najżywsze kolory. Wielkie błękitne oczy, oprawione wypukło i bardzo wyraziste, były ocienione czarnemi i bardzo długiemi rzęsami. Nos jej był zaostrzony, usta zdawały się żądać pocałunków, ręce i ramiona były jak toczone, a postać była wyniosła i zgrabna, raczej wysoka, niż mała. Kroczyła powoli ale z wielką godnością. Głos jej posiadał przyjemny dźwięk, a śmiech był równie wesoły, jak usposobienie. Z jednakową łatwością oddawała się zabawom najbardziej żywym, najbardziej dziecinnym, jak obliczeniom matematycznym i tekstom najtrudniejszym. Przykre warunki, w jakich znajdowała się od ślubu, i brak wszelkiego towarzystwa, odpowiedniego jej umysłowi, zmusiły ją oddawać się lekturze; zdobyła też rozległą wiedzę. Umiejąc schwycić słabą stronę każdego, pozyskiwała sobie serce i przy pomocy powszechnej miłości torowała drogę do tronu, na którym zasiadła z taką sławą.

Taką oto była istota, która stała się panią mych losów. Poświęciłem jej całą moją istność ze znacznie większem oddaniem, niż wszyscy, kto znalazł się w takiem właśnie położeniu. I — co szczególniejsze — mogłem w wieku lat 22 ofiarować jej to, czego nie straciłem ani w Londynie, ani w Paryżu.

Byłem takim popierwsze dlatego, że staranny sposób wychowania zabezpieczył mnie od wszelkiej rozpusty, po drugie, że miałem zawsze ambicję należeć do dobrego towarzystwa przedewszystkiem w Paryżu. Wszystko to oraz wiele innych okoliczności, dzięki którym nawiązałem stosunki tylko z dobrem towarzystwem zarówno

na obczyźnie, jak w swoim kraju i w Rosji, ochroniło mnie od złej drogi i jakby zachowały zupełnie czystego dla tej, która zawładnęła moim losem. Nie mogę odmówić sobie przyjemności zaznaczenia nawet tego stroju, w jaki była ubrana owego dnia: miała na sobie sukienkę z białego atłasu, przybraną lekkiemi koronkami i różowemi wstążkami. Nie pojmowała, w jaki sposób znalazłem się w jej gabinecie, — a i ja sam zapytywałem siebie nieraz potem, przechodząc w dnie zebrań dworskich pomiędzy tylu wartami i tylu rozmaitymi stróżami, jak to się mogło stać. Jednak, jak gdyby osłoniony obłokiem, nieprzenikliwym dla wzroku, dostałem się i przenikałem wielokrotnie tam, gdzie jawnie nie mogłem nawet marzyć o przedostaniu się.

Powiedziałem już, że Williamsowi przypadło w udziale zawiadomienie Bestiużewa o tem, że W. Księżna zajęła się mną poważnie. Krok ten był konieczny, potrzeba było bowiem powstrzymać te zabiegi, jakie czynił Kanclerz w celu uzyskania powrotu Sołtykowa, rezydującego w Hamburgu, a którego W. Księżna bynajmniej nie chciała widzieć w Rosji. Wreszcie trzeba było pozyskać Bestiużewa również i dlatego, by wpływami swemi, jakie posiadał na dworze saskim, ułatwił mi powrót do Petersburga w charakterze posła.

Cztery wiersze pisma W. Księżny, pokazane przez Williamsa Bestiużewowi, pozwoliły nam zdobyć od niego odpowiednie obietnice...

Aczkolwiek nie byłem Prusakiem, ale mówiłem po niemiecku i potrafiłem wpaść w ton rozmowy Wielkiego Księcia, podobałem się mu tedy i zaprosił mnie razem z hrabią Hornem, Szwedem, który przybył do Rosji

w 1756 r., abyśmy spędzili dwa dni u niego na wsi, w Oranjenbaumie...

Ponieważ cesarzowa Elżbieta trzymała swego siostrzeńca, niemal jak dziecko, w wielkiej zależności od siebie, musieliśmy naprzód uzyskać pozwolenie na te odwiedziny.

Byłem uszczęśliwiony, gdyśmy je uzyskali, aczkolwiek wystawiałem się na niebezpieczeństwo szpiegowania przez agentów, których Cesarzowa utrzymywała na młodym dworze.

Nigdy nie było mi tak łatwo korzystać z towarzystwa W. Księżny i rozkosznej jej rozmowy, jak podczas tych dwóch dni. Między innemi potrąciliśmy o pamiętniki córki Gastona Orleańskiego i o portrety, przez nią skreślone, a dołączone do tych pamiętników. Dało mi to powód do skreślenia swego autoportretu i ofiarowania go W. Księżnie...

Mój pobyt w Oranjenbaumie wzmocnił stosunki Williamsa z W. Księżną, które w połączeniu z dowodami przyjaźni i pomocy, jaką okazał jej wówczas król angielski, zapewne niemało przyczyniły się do ustalenia się i zachowania tych dobrych stosunków z Anglją, które w tak wielkim stopniu odczuła Francja. Wielki wpływ wywarły na Katarzynę dzieje Ludwika XIV; zauważyłem to wielokrotnie i chyba nie popełnię błędu, jeśli powiem, że właśnie w chęci rywalizowania z Ludwikiem XIV oraz naśladowania go trzeba szukać istotnych motywów tylu jej późniejszych projektów i czynów. Od tego króla różniło ją zasadniczo jedno tylko zamiłowanie do lektury, którego on nie posiadał.

Muszę tu zaznaczyć, że ja pierwszy zapoznałem ją z „Pucelle d'Orleans" Voltaire'a, który nadesłał mi ojciec w pierwszem wydaniu...

W początku sierpnia 1756 r. opuściłem Petersburg razem z hrabią Hornem, z którym zaprzyjaźniliśmy się bardzo...

O stosunku z młodym Stanisławem Poniatowskim w tym czasie tak mówi Katarzyna II w swych zapiskach:
„Na Zielone Świątki 1755 r. kazała nam (t. j. W. Księstwu Piotrostwu) Cesarzowa Elżbieta powrócić do miasta. Właśnie w tym samym czasie przybył do Petersburga poseł angielski Williams. W świecie jego znajdował się młody polski hrabia, Stanisław Poniatowski, syn tego Poniatowskiego, który w swoim czasie był sprzymierzeńcem Karola XII. Po krótkim pobycie w mieście powróciliśmy do Oranjenbaumu, gdzie na rozkaz Cesarzowej miały odbyć się uroczystości z okazji dnia Św. Piotra... Zgromadziło się z tego powodu liczne towarzystwo; tańczono w sali przy wejściu do mego ogrodu. Potem odbyła się kolacja, w której brali udział cudzoziemscy posłowie i ministrowie.

Przypominam sobie, że za sąsiada przy kolacji miałem właśnie Williamsa i że rozmawialiśmy ze sobą nietylko przyjemnie ale i wesoło. Nie trudno było prowadzić rozmowę z tak dowcipnym i wykształconym człowiekiem, który w dodatku znał całą Europę. Dowiedziałem się później, że i jemu było przyjemnie ze mną rozmawiać i że na skutek tego mówi o mnie z uznaniem. Uznania nie brakło mi nigdy ze strony tych, którzy pasowali do moich przekonań i poglądów; przytem w owym czasie mało miałam zawistnych i lubiono mnie ogólnie. Uchodziłam za dowcipną i wiele, bardzo wiele osób mnie otaczających zaszczycało mnie swem zaufaniem, prosiło mnie o rady i zadawalniała się tem, co im radziłam...

Przypominam sobie także że podczas owej uroczystości w Oranjenbaumie, gdy hrabia Poniatowski tańczył, mó-

wiłam z Williamsem wiele o jego ojcu, i zwróciłam uwagę jak źle odpłacił on Piotrowi I za przyjaźń. Poseł angielski nato opowiedział mi wiele dobrego o jego synu i przekonał mnie, o czem słyszałam, że ojciec jego i rodzina matki, mianowicie Czartoryscy, tworzą obecnie partję rosyjską w Polsce, że przysłał swego syna do Rosji, by go utwierdzić w przekonaniach, i że ma nadzieję na powodzenie jego w społeczeństwie rosyjskiem. Odpowiedziałam, że dla cudzoziemców Rosja jest probierzem: kto pozyska uznania Rosjan, może oczekiwać go wszędzie, a to dlatego, że nigdzie indziej nie umieją z taką łatwością i trafnością podpatrzeć słabych stron, śmiesznostek i błędów cudzoziemca. Dzieje się to dlatego, że Rosjanie nie lubią ludzi innych narodowości...

Podczas tego roku zawiązałam bardzo serdeczne stosunki przyjaźni z Anną Naryszkinową, do czego przyczynił się jej szwagier Leon Naryszkin. Był on zawsze z nami a jego błazeństwa trwały bez końca. Czasami powiadał do nas: „Dla tej z was, która będzie się najlepiej prowadziła, przeznaczam klejnot, za który napewno będziecie mi bardzo wdzięczne". Nie przeszkadzałyśmy mu w tem gadaniu, ale żadna z nas nie pożądała bliższej wiadomości o tym klejnocie.

Jesienią Leon Naryszkin zachorował na tyfus. Przysyłał mi podczas swej choroby listy, które widocznie nie z pod jego wychodziły pióra. Były one bardzo dobrze skomponowane i pełne humoru. Odpowiadałam mu na nie, a gdy zapytałam, kto te listy pisze, odrzekł, że używa w tym celu swego sekretarza. Wkońcu dowiedziałam się, że tym sekretarzem był hrabia Poniatowski, który nie opuszczał domu Naryszkina i wrósł weń zupełnie.

Na początku zimy przenieśliśmy się do pałacu zimowego, wybudowanego na rozkaz Cesarzowej z drzewa... Ponieważ nasze apartamenty były bardzo obszerne, W. Książę (Piotr, mąż Katarzyny) co tydzień wydawał jeden bal i jeden koncert. Zależnie od towarzystwa, które się zbierało, te zabawy były mniej lub więcej przyjemne; nigdy jednak nie były bardzo zajmujące. Naryszkinowie t. j. siostry Naryszkina, panie Siniawinowa i Izmaiłowowa, oraz szwagierka ich, byli najbardziej weseli. Leon najbardziej sobie pozwalający, a zresztą człowiek bez większej wartości według ogólnego mniemania, dokazując, przybiegał stale z pokojów W. Księcia do mnie, nigdzie nie bawiąc dłużej. Chcąc dostać się do mnie, rozpoczynał miauczeć jak kot; gdy mu odpowiadałam, otwierał drzwi i zjawiał się u mnie. Siedemnastego grudnia, między szóstą a siódmą godziną, zaczął miauczeć pod mojemi drzwiami; wpuściłam go. Wszedłszy zaczął unosić się nad swoją szwagierką i zawiadomił mnie, że czuje się ona niedobrze. „Dobrze byłoby, gdyby Pani ją odwiedziła" rzekł mi wkońcu. Odpowiedziałam mu: „Uczyniłabym to z chęcią ale wszak wiadomo jest Panu, że nie mam prawa wychodzić bez zezwolenia, i że mi nigdy nie pozwolą jej odwiedzić".

— „To ja Panią zaprowadzę".

— „Czyś zmysły postradał? W jaki sposób mogłabym pójść z Panem? Wyszlą Pana do fortecy a mnie spotkają, Bóg wie jakie, nieprzyjemności!"

— „Ależ nikt nie potrzebuje o tem wiedzieć!"

— „Jakże to?"

— „Za godzinę lub dwie przyjadę tu po Panią. W. Książę zasiędzie tymczasem do kolacji, spędzi za stołem

część nocy, upije się i pójdzie spać. — Dla większej pewności proszę przebrać się za mężczyznę — i we dwoje pojedziemy do Anny Nikitiszny".

Proponowana eskapada zaczęła mnie nęcić, dotychczas wciąż pozostawałam sama w moim pokoju z mojemi książkami, pozbawiona wszelkiego towarzystwa. Wreszcie zgodziłam się na ten szalony plan, widząc możność rozerwania się. Naryszkin wyszedł, a ja zawołałam mego Kałmuka-fryzjera i kazałam mu dostarczyć całkowity strój męski pod pozorem, że chcę z niego uczynić prezent komuś ze świty. Chłopak był bardzo milczący i można było na nim polegać. Wypełnił on mój rozkaz punktualnie i skrupulatnie; przyniósł mi wszystko czego chciałem. Wówczas zaczęłam żalić się na ból głowy i położyłam się wcześnie do łóżka.

Gdy pani Władisławowa opuściła mnie, wyskoczyłam i ubrałam się w strój męski, sama uczesawszy się po męsku, w co już oddawna wprawiłam się. W oznaczonym terminie zjawił się Leon Naryszkin pod drzwiami mego pokoju i zaczął miauczeć; wyszłam do niego, prześlismy niespostrzeżeni przez nikogo przez mały przedpokój, siedliśmy do sanek i ruszyliśmy. Całą drogę śmieliśmy się z naszej wycieczki, a gdy przybyliśmy do domu, w którym Leon mieszkał razem z braterstwem, zastaliśmy u Anny Nikitiszny również hrabiego Poniatowskiego. Naryszkin przedstawił mnie jako swego przyjaciela i ten żart wprawił nas w znakomity humor, który nie opuścił nas przez cały czas mego pobytu w tem towarzystwie. Pożegnawszy się z towarzystwem wróciłam do siebie, nie spotkawszy żywej duszy. Następnego dnia były imieniny Cesarzowej — nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu, spotkawszy się raz rano, drugi raz wieczorem na balu.

Po kilku dniach Leon sprowadził swych gości do mnie, co również uszło uwagi wszystkich. Tak rozpoczęliśmy rok 1756. Doznawaliśmy szczególnej przyjemności, odwiedzając się w dalszym ciągu wzajemnie. Co tydzień — dwa a nawet trzy razy zbieraliśmy się to tu, to tam. Nieraz umawialiśmy się w teatrze na migi, aczkolwiek mieliśmy loże w rozmaitych miejscach — i nigdy nie zaszło żadne nieporozumienie. Dwa razy wróciłam do domu pieszo; był to dla mnie przyjemny spacer.

W końcu lata Poniatowski wyjechał do Polski... Przed wyjazdem był w Oranjenbaumie w celu pożegnania się z nami. Towarzyszył mu hrabia Horn, którego król szwedzki wysłał do Rosji, chcąc go jako członka partji rosyjskiej zabezpieczyć od prześladowań stronnictwa francuskiego. Hrabiowie Poniatowski i Horn zabawili u nas dwie doby. W. Książę pierwszego dnia traktował ich bardzo dobrze, drugiego natomiast znacznie gorzej, a to dlatego, że chciał pójść upić się na weselu strzelca. Wobec tego musiałam ja uczynić im honory domu. Po obiedzie oprowadzałam gości po pałacu. Gdyśmy przyszli do moich pokojów, wybiegł ku nam na spotkanie mały bonończyk, który zaczął szczekać zażarcie na hrabiego Horna, ujrzawszy jednak Poniatowskiego wpadł w szał radości. Było to w małym gabineciku, w którym zaledwieśmy się pomieścić mogli, — dzięki czemu nikt oprócz nas tego nie zauważył. Hrabia Horn spostrzegł wszystko i w powrotnej drodze, pociągnąwszy Poniatowskiego za fałdy fraka, rzekł mu: „Mój przyjacielu, twierdzę, że najokropniejszą rzeczą ze wszystkich jest bonończyk; to też zwykle pierwszym pre-

zentem, jaki ofiarowywałem moim kochankom, był właśnie taki piesek. One zawsze zdradzały mi, kto był w większych ode mnie łaskach. Ta reguła nie ma wyjątków. Wszak i dziś ten bonończyk, widząc mnie po raz pierwszy, o mało się nie wściekł, Ciebie zaś witał w uniesieniu. Widocznie często Cię widywał".

Poniatowski śmiał się z tych słów i chciał przekonać Horna, że się myli, ale ten odrzekł: „Ależ bądź spokojny, umiem być dyskretnym..."

W dwa dni potem Poniatowski wyjechał do Polski...

Podczas jego nieobecności kawaler Williams zawiadomił mnie przez Naryszkina, że kanclerz Bestiużew intryguje przeciw mianowaniu Poniatowskiego na posła polskiego w Petersburgu — i że zwrócił się do niego, Williamsa, z prośbą, by wpłynął w tym sensie na hr. Brühla, wszechwładnego ministra Augusta III... W końcu jednak Poniatowski otrzymał swą nominację i powrócił zimą w charakterze posła...

Zanim opuściliśmy Oranjenbaum, jesienią przyjechali odwiedzić nas księstwo Golicynowie i pan Beckoj... Ponieważ Księżna i Beckoj byli mymi starymi znajomymi przyjmowałam ich gościnnie. Między innemi udałam się z Księżną w kabriolecie na spacer w okolice naszej rezydencji i powoziłam sama. W drodze Księżna, osoba dziwaczna i ograniczona, zaczęła skarżyć się, że czuję do niej niechęć. Na moje zaprzeczenie powiedziała, iż się obawia, że hrabia Poniatowski oczernia ją przede mną. Te słowa przestraszyły mnie; zaprzeczyłam ponownie, dodawszy, że chyba śni; Poniatowski nie jest człowiekiem, który mógłby jej szkodzić; zresztą znam go tylko z widzenia i nie rozu-

miem, co ją spowodowało do uczynienia takiego przypuszczenia.

Powróciwszy do domu, opowiedziałam wszystko Leonowi Naryszkinowi. Wówczas wyjaśnił mi, że Golicynowa zimą czyniła niesłychane wysiłki, by przywiązać do siebie Poniatowskiego, i że on, chcąc być grzecznym, był dla niej uprzejmym, ale niewątpliwie nic więcej między nimi nie zaszło, gdyż ta stara, brzydka, zniszczona i głupawa kobieta nie mogła mu się podobać. Zobaczywszy, że plany jej się nie udały, wpadła w rozdrażnienie — i stąd te niedyskretne i głupie słowa"...

Król ciągnie dalej:

„Powróciłem nad Newę 3 stycznia 1757 r., a 11 stycznia złożyłem Cesarzowej listy, akredytujące mnie w charakterze posła przy jej dworze...

Podczas tego okresu mej bytności w Petersburgu często widywałem W. Księżnę. Naryszkin nawet już nie był mi do tego potrzebny. Udawałem się bądź powozem, bądź sankami w pewne miejsce, skąd szedłem sam jeden pieszo do pobliskiego zamku i przez tajemne schody, któremi wprowadził mnie po raz pierwszy Naryszkin, dostawałem się do jej apartamentów. Warta, widocznie uprzedzona, nigdy nie zatrzymała mnie, ani też żądała wyjaśnień. Niekiedy odwrotnie W. Księżna o wyznaczonej godzinie wychodziła z zamku przebrana za mężczyznę, wsiadała do moich sanek i odwoziłem ją do siebie.

Pewnego razu, podczas takiego oczekiwania na nią, jakiś podoficer przeszedł parę razy koło mnie i zapytał wreszcie, co tu robię. Na głowie miałem wielką czapkę i byłem otulony w ogromną szubę, miałem więc wygląd woźnicy, oczekującego na swego pana. Udawałem drze-

miącego, aby jeszcze bardziej nadać sobie ten pozór. Przyznam się, że pomimo wielkiego mrozu zrobiło mi się gorąco, gdy zbliżył się do mnie i zadał mi pytanie. Na szczęście ten ciekawski odszedł a W. Księżna rychło potem nadeszła. Ale była to stanowczo noc przygód. W drodze sanie uderzyły tak mocno o jakiś kamień, że W. Księżna, wyrzucona z nich siłą uderzenia, padła o kilka kroków w bok. Pobiegłem, by ją podnieść, a że nie ruszała się, myślałem, iż zabiła się. Na szczęście skończyło się na zemdleniu. Nie koniec na tem. Gdy wróciła do siebie, zastała drzwi od swego pokoju zamknięte przez nieuważną służącą. Mogło to ją narazić ogromnie, gdyby przypadkiem tych drzwi nie otworzył kto inny...

25 lutego 1758 r., powróciwszy o godz. 10 w., znalazłem u siebie Bernardiego, złotnika weneckiego, który często odnosił moje i kanclerza Bestiużewa listy do W. Księżny. Zawołał on do mnie: „Wszystko stracone. Kanclerz został aresztowany. A ja w moim domu mam już żołnierzy. Uprzedzono mnie o tem u Daloglio, gdzie byłem w gościnie. Proszę mnie raczej utopić w studni swego domu, niż pozwolić na męczenie mnie w więzieniu".

Po paru minutach zastanowienia zapytałem go: „Czy wśród papierów pańskich znajduje się jakakolwiek kartka, pisana przez Kanclerza lub W. Księżnę?" A gdy odpowiedział, że nie ma żadnej, rzekłem mu: „A więc nie pozostaje ci nic innego, jak udać się do domu, nie objawiając ani zaniepokojenia, ani strachu. Charakter obecnych rządów oraz to, co wiem o czynach Kanclerza i W. Księżny, każe mi przypuszczać, że wszystko skończy się znacznie mniej tragicznie, niż pan myśli. Jeśli jednak będziesz się chował, to samo już uczyni twój los bardziej ciężkim, gdy cię znajdą i zaaresztują". Po długich namowach udało mi się nakłonić go do usłuchania mej rady. Mało wydarzeń wzruszyło mnie tak, jak to. Nietylko dlatego, że Bernardi był mi usłużny, ale był to również człowiek uczciwy i sympatyczny. Początkowo obchodzono się z nim w więzieniu łagodnie, ale pogorszenie się sprawy Bestiużewa znacznie oddziałało na jego los. Został on wysłany z pensją kilkusetrublową do Kazania i tam umarł. Jego żonie i dzieciom, mieszkającym w Wenecji, płaciłem zato stale pensje...

Upadek Bestiużewa obszedł mnie tak mocno, zarówno ze względu na jego osobę, jak i ze względu na W. Księżnę, że przechorowałem go w ciągu paru tygodni; wówczas to zacząłem cierpieć na bóle głowy, które męczą mnie dotychczas... Aczkolwiek W. Księżna miała powody do nieufania Naryszkinowi, musieliśmy jednak powrócić do jego pomocy w porozumiewaniu się ze sobą. Rychło korespondencja nasza stała się tak samo ożywiona, jak poprzednio. Zresztą nastąpiło pewne zbliżenie między cesarzową Elżbietą a W. Księżną i nawet zrodziła się nadzieja, że będzie ona faworyzowała nasz związek. Ta nadzieja podziałała na mnie lepiej, niż wszelkie lekarstwa. Jednak tak byłem zmieniony wskutek choroby, że mój przyjaciel Rzewuski ledwo mnie poznał, gdym udał się na spotkanie ks. Karola saskiego, przyjeżdżającego do Petersburga w celu starań o Księstwo Kurlandzkie. Wiosna i ćwiczenia wkrótce postawiły mnie zupełnie na nogi...

Pomiędzy panami, tworzącymi świtę ks. Karola, był Franciszek Ksawery Branicki, późniejszy hetman wielki koronny. Bardzo młody jeszcze, odznaczył się już w dwóch kampanjach austrjackich, w których wziął udział jako wolenter w świcie tegoż samego ks. Karola. Podczas tego

pobytu w Petersburgu wykazywał taką chęć pozyskania mojej przyjaźni i w taki szczególny, a rycerski sposób, że zdecydowałem się wypróbować go w nadzwyczajnej awanturze, którą miałem w tym czasie.

Ponieważ obrót, jaki wzięła sprawa Bestiużewa, oraz rozmaite inne okoliczności zarówno na dworze petersburskim, jak warszawskim, były dla mnie bardzo przykre, postanowiłem opuścić Rosję na czas jakiś. To postanowienie jednocześnie zmusiło mnie do odbywania bardzo częstych wycieczek do Oranjenbaumu, gdzie mieszkał młody dwór, co stało się tem łatwiejsze, że dzięki zamieszkaniu w Peterhofie wraz z ks. Karolem byłem o dwie trzecie drogi bliżej mej pani.

Szczęście, jakie towarzyszyło mi dotychczas, oraz te sposoby przebierania i przedostawania się, jakich używałem, ośmieliły mnie w tym stopniu, że zdecydowałem się w dniu 6 lipca 1758 r. na wyprawy do Oranjenbaumu, nawet nie uprzedziwszy W. Księżny, jak to czyniłem zwykle. Wynająłem tedy dorożkarza, który mnie nie znał, i zabrałem z sobą służącego przebranego, jak to bywało kiedy indziej.

Otóż spotkaliśmy tej nocy w lesie oranjenbaumskim Wielkiego Księcia i całą jego świtę, nawpół pijanych. Zatrzymano nas i zapytano, kto jedzie. Dorożkarz odpowiedział, że nie wie, a służący dodał nato, że jedzie krawiec. Przepuszczono nas tedy, ale Elżbieta Woroncowówna, panna dworu W. Księżny, a kochanka W. Księcia, śmiejąc się do rozpuku, tak złośliwie zaczęła dowcipować na ten temat rzekomego krawca, że zupełnie zepsuła humor W. Księciu. To też, gdy w parę godzin potem opuszczałem oddzielny pawilon, zajmowany przez W. Księżnę

pod pozorem kąpieli, opadło mnie trzech jeźdźców ze szablami w ręku, którzy porwali mnie za kołnierz i zaprowadzili przed W. Księcia. Gdy ten mnie poznał, kazał tym, co mnie przyprowadzili, iść za mną w kierunku morza. Myślałem, że nastała ostatnia moja godzina, lecz skręciliśmy po chwili na prawo do innego pawilonu, gdzie W. Książę bez żadnych ogródek zapytał mnie, czy (tu w rękopisie opuszczone słowo) jego żonę. Odpowiedziałem na to, że nie.

On: „Masz mi mówić prawdę. Jeśli powiesz mi ją, wszystko jakoś się ułoży. Gdy będziesz przeczył, stracisz tylko czas daremnie.“

Ja: „Nie mogę przyznawać się do tego, czego nie zrobiłem.“

Na to wyszedł do przyległego pokoju zapewne w celu naradzenia się ze swą świtą, a wróciwszy po chwili rzekł ponownie:

„Ponieważ nie chcesz mówić, pozostaniesz tu do nowych rozkazów“. Potem postawił wartę przy drzwiach i wyszedł, zostawiając mnie z generałem Brockdorfem.

Milczeliśmy w ciągu dwóch godzin. Wreszcie zjawił się hrabia Aleksander Szuwałow, kuzyn faworyta. Był to wielki inkwizytor, naczelnik dykastorji, zwanej w Rosji tajną kancelarją. Jak gdyby dla zwiększenia strachu, wywoływanego przez samą nazwę jego urzędu, natura obdarzyła go jeszcze skurczem nerwowym, który czynił jeszcze bardziej straszną jego brzydką twarz wówczas, gdy był zajęty czemkolwiek poważnem. W dodatku jąkał się okropnie.

Zjawienie się tej postaci kazało mi przypuszczać, że Cesarzowa wie już o wszystkiem. Z zaambarasowaniem wybełkotał kilka słów, z których domyśliłem się raczej, że

prosi, abym mu udzielił wyjaśnień, co się właściwie stało. Zamiast tego odpowiedziałem mu:

„Przypuszczam, że pan pojmuje, iż w interesie własnego waszego dworu leży, aby wszystko skończyło się z jak najmniejszym rozgłosem, i abym jak najprędzej stąd oddalił się.“

On: „Ma pan słuszność, zajmę się tem właśnie.“

Jakoż wyszedł, a po godzinie powrócił z zawiadomieniem, że powóz już gotów i że mogę już jechać.

Była to mała kareta, oszklona ze wszystkich stron jak latarnia, i zaprzężona w parę koni. I w niej to rzekomo incognito o godzinie 6 rano, a więc w jasny dzień, wracałem noga za nogą, grzebiąc się w piasku. Czas dłużył mi się jak wieczność.

Niedaleko od Peterhofu wyskoczyłem z pojazdu i odesławszy go udałem się dalej pieszo w mojej kapocie i w popielatej czapce, nasuniętej na uszy. Wyglądałem, jak rozbójnik, ale w każdym razie mniej zwracałem uwagi, niż ten powóz dziwaczny. Doszedłszy do drewnianego domu, w którym mieszkałem wraz z kilku panami ze świty ks. Karola w małych pokoikach na parterze, widząc, że wszystkie okna tych pokojów są otwarte, i nie chcąc wchodzić przez drzwi, aby nie spotkać się z kimkolwiek, postanowiłem dostać się do mego pokoju przez okno. Ale omyliłem się i wskoczyłem do pokoju generała Ronikiera, który w tym czasie właśnie się golił. Spojrzał na mnie, jak na widziadło, ze zdziwieniem. Milczeliśmy czas jakiś, a potem wybuchnęliśmy śmiechem homerycznym. Powiedziałem mu wówczas: „Nie pytaj mnie, skąd przychodzę i dlaczego właśnie przez okno, i jako dobry patrjota daj mi słowo honoru, że nie powiesz nikomu o tem.“ Zachował się, jak żądałem, ale daremnie starałem się potem zasnąć w mem łóżku.

Dwa następne dni spędziłem w okropnem przygnębieniu. Z wyrazu twarzy czytałem, że wszyscy wiedzą o całej awanturze, chociaż nikt nie odezwał się do mnie o tem ani słowa.

Wreszcie jednak W. Księżna potrafiła zawiadomić mnie, że uczyniła starania w celu pozyskania sobie kochanki W. Księcia, a następnego dnia cały dwór zjechał do Peterhofu na święto św. Piotra (29 czerwca st. st., 11 lipca n. st.) patrona tej miejscowości.

Tegoż wieczoru odbył się bal. Tańcząc menueta z Elżbietą Woroncowówną, rzekłem do niej: „Pani mogłaby uszczęśliwić parę osób.“ „To już jest prawie zrobione,“ odpowiedziała, „przyjdź z Naryszkinem dziś po północy do pawilonu Monplaisir, gdzie mieszkają W. Książęta, tam w dole ogrodu“. Ścisnąłem ją za rękę, a po chwili porozumiewałem się już z Leonem Naryszkinem. Powiedział mi: „Przyjdź, znajdziesz mnie u W. Księcia.“ Zastanowiłem się wówczas chwileczkę, a potem zwróciłem się do Branickiego: „Czy zaryzykujesz ze mną tej nocy spacer tam w dół ogrodu. Bóg jeden wie, gdzie nas ten spacer zaprowadzi, przypuszczam jednak, że zakończy się dobrze.“

Przystał na mą propozycję bez wahania i o wyznaczonej godzinie udaliśmy się na wskazane miejsce.

O dwadzieścia kroków od salonu spotkaliśmy Woroncowównę. „Zaczekajcie tu czas jakiś,“ powiedziała: „u W. Księcia siedzi jeszcze kilka osób; palą fajki. W. Książę chce się ich pozbyć przed waszem przyjściem.“

Parę razy chodziła zbadać sytuację, wreszcie zawołała: „Wejdźcie“, i oto znaleźliśmy się przed obliczem

W. Księcia, który z wesołą twarzą podszedł do mnie i rzekł: „Jakiż z ciebie warjat, że nie uprzedziłeś mnie o tem zawczasu. Gdybyś to uczynił, nie byłoby całej tej zwady."

Jak można się spodziewać, zgodziłem się z tem zdaniem i zacząłem wynosić pod niebiosy dyspozycje militarne W. Księcia, dzięki którym nie mogłem wydostać się z pułapki. To tak go połechtało i wprawiło w taki humor, że po kwadransie rozmowy zawołał: „Skoro jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, brak tu jeszcze jednej osoby," i, wpadłszy do sypialni swej żony, wywlókł ją z łóżka tak szybko, że zdołała ledwo wdziać pończochy i włożyć na siebie szlafroczek. W tym stroju, bez obuwia, przyprowadził ją do nas, wołając na całe gardło i wskazując ją mnie: „Otóż i ona. Spodziewam się, że zadowoliłem was!"

W. Księżna skorzystała natychmiast z okazji i rzekła mu: „Obecnie brak tylko kartki twojej do wicekanclerza Woroncowa, aby postarał się o rychły powrót naszego przyjaciela". W. Książe kazał nato podać stół do pisania, a ponieważ znaleziono tylko jakąś deskę, położył ją sobie na kolana i napisał natychmiast gorący list do Woroncowa w mej sprawie. Jednocześnie dał mi pismo, skreślone ołówkiem a podpisane przez jego kochankę, którego treść była następująca:

„Może pan być pewny, że uczynię wszystko, co mogę, abyś powrócił. Będę czyniła o to starania wszędzie i przekonam pana, że nie zapomnę o tem.

Proszę, abyś pan nie zapomniał o mnie i abyś wierzył zawsze, że jestem twoją przyjaciółką i że zrobię wszystko, by ci usłużyć. Pozostaję szczerze oddaną sługą Elżbieta Woroncowówna."

Po tem wszyscy sześcioro zaczęliśmy gawędzić, śmiać się i dokazywać z małą fontanną, która biła w salonie. Byliśmy w takim humorze, jak gdyby nic nas nie przygnębiało, i rozstaliśmy się o godzinie 4-tej rano.

Jakkolwiek to wszystko może się wydać czemś nieprawdopodobnem i szalonem, świadczę, że jest to szczera prawda i że to właśnie było początkiem mej przyjaźni z Branickim.

Nazajutrz wszyscy byli dla mnie znacznie bardziej uprzejmi. W. Książę jeszcze cztery razy wezwał mnie do Oranjenbaumu. Przyjeżdżałem każdego razu wieczorem i tajemniczemi schodami udawałem się do pokoju W. Księżny, gdzie zastawałem i W. Księcia z kochanką. Zjadaliśmy razem kolację, poczem W. Książę odchodził z swą Woroncowówną, mówiąc: „Myślę, że macie mnie dosyć, moje dzieci." Zostawałem tedy tak długo, jak chciałem...

Na wyjezdnem z Petersburga, otrzymałem wyraźne pozwolenie, które, nie obrażając uczucia, zezwalało mi na pewną swobodę, wymaganą przez mój wiek, i potwierdzały to liczne listy, które dochodziły mnie z nad Newy. Dwa i pół lat nie korzystałem z tego pozwolenia i wciąż zapewniałem o swej wierności. — A kiedy wreszcie uległem, przyznałem się do swego postępku. Było to przed nastaniem zimy. Pocztyljon wiozący mój list utonął, przeprawiając się przez wezbraną rzekę. Dowiedziawszy się o tem poddałem się głupiej lojalności i napisałem drugi list. Odpowiedziano mi, że *istotnie oddawna spodziewano się tego nieszczęścia, ale że zniesiono je, nie zmieniając uczuć.* Niestety niedługo trwano w tej wspaniałomyślności. W krótce zastąpił mnie Orłow; zachowano ten fakt przede mną w ta-

jemnicy, listy jednak stawały się stopniowo coraz bardziej chłodne. Następnie śmierć cesarzowej Elżbietej, przemoc i groźne humory Piotra III. stały się naturalnym pretekstem, że listy przychodziły coraz rzadziej. Wreszcie kiedy rewolucja strąciła z tronu Piotra III, po kilku dniach otrzymałem przez kurjera ambasadora austrjackiego w Petersburgu Mercy Argenteau list następujący:

Dnia 2 lipca (1762).

„Proszę pana, abyś się nie śpieszył z przyjazdem tutaj, ponieważ pobyt pański w okolicznościach obecnych będzie bardzo niebezpieczny dla pana i może mi bardzo zaszkodzić. Rewolucja, która tu odbyła się na moją korzyść, jest godna podziwu; stało się wszystko z zadziwiającą jednomyślnością; jestem bardzo zajęta i nie mam czasu donosić o zdarzeniach obszernie. Będę całe życie starała się być pomocną zarówno panu, jak jego familji, lecz obecnie wszystko tu jest krytykowane; nie spałam trzy noce i jadłam zaledwie dwa razy w ciągu czterech dni. Adieu, portez vous bien Caterine“.

Napróżno starałem się wyperswadować sobie, że wkrótce będę przywołany. Moje położenie wobec złośliwego towarzystwa stolicy, a szczególnie przenikliwego wzroku nieżyczliwego dla mnie dworu było bardzo trudne. Dlatego udałem się pośpiesznie do Puław. Tam niepokój i smutek przyprawiły mnie o chorobę; zaledwie po 10—17 dniach starania i prawdziwa przyjaźń osobista Reymanna, lekarza mego wuja, doprowadziły mnie do rekonwalescencji. Pewnego dnia obudziłem się o 6-tej rano. Pod wpływem myśli, które mną władały, zacząłem zastanawiać się nad czynami, które stawały na przeszkodzie memu powrotowi, do Petersburgu; nie znałem jeszcze wówczas istotniego powodu. Wtem przyszło mi do głowy, że to poseł pruski w stolicy Rosji mi przeszkadza. Biła właśnie godzina 7-ma. W tej chwili poczułem znowu ból we wnętrznościach — i zpowrotem wpadłem w chorobę, z której mnie Reymann wyleczył. Przeszło tydzień trwała ta recydywa. W ten sposób przekonałem się, w jakim stopniu cierpienia duszy wpływają na cierpienia ciała...

Chociaż ledwo mogłem trzymać się na nogach, postanowiłem powrócić do Warszawy, w przekonaniu, że tam łatwiej dojdą mnie nowiny, których pożądałem. Daremnie starał się wuj mnie zatrzymać. Na środku Wisły, podczas przeprawy, otrzymałem list, w którym pisała Imperatorowa:

„Wysyłam natychmiast hrabiego Kayserlinga, mego posła w Polsce, aby po śmierci Króla wprowadził pana na tron; gdyby zaś to się nie udało, chcę księcia Adama (Czartoryskiego) widzieć królem polskim. Tu u nas wszystkie mózgi fermentują. Proszę cię nie przyjeżdżaj, gdyż boję się, że twoja obecność powiększy te niepokoje...

...List pański otrzymałam; regularna korespondencja może napotkać tysiączne niebezpieczeństwa, a ja muszę zachowywać dwadzieścia tysięcy pozorów i nie mam czasu pisać słodkich liścików, które mogą zaszkodzić. Jestem bardzo żenowana; nie mogę panu o tem pisać, ale jest to prawda rzetelna. Bądź pewny, że uczynię wszystko dla pana i pańskiej familji. Muszę zachować przyzwoitość i postępować bardzo ostrożnie. Wiedz, że wszystkie zdarzenia zaszły tu z powodu nienawiści do cudzoziemców i że nawet Piotr III uchodził tu za obcokrajowca. Adieu; zdarzają się na świecie bardzo szczególne sytuacje“...

Otrzymałem później listy, w których pisała:

1. „Dnia 9 sierpnia 1762. Muszę powiedzieć szczerą prawdę: narażam się na tysiączn niebezpieczeństwa, prowadząc tę korespondencję. Ostatni pański list omało nie został przyjęty: jestem śledzona i na skutek tego nie mogę dawać powodów do podejrzeń. Trzeba zachowywać się prosto; nie mogę pisywać do pana; proszę się uspokoić. Byłby niedyskrecją z mej strony wyjawiać wszystkie tajemnice wewnętrzne, wreszcie nie mogę tego czynić. Proszę się nie niepokoić: będę popierała rodzinę pańską...

Nie posiadam klucza do pańskiego szyfru, zginął podczas dni krytycznych. Proszę pozdrowić swoją familję i pisać możliwie jak najrzadziej — a właściwie zupełnie bez niezbędnych powodów; szczególnie zaś bez hieroglifów".

2. .....Czytasz moje listy nieuważnie; przecie pisałam już kilkakrotnie i powtarzałam, że znajdę się w najbardziej krańcowem niebezpieczeństwie z rozmaitych stron, jeśli pan przyjedzie do Rosji. Desperujesz — a ja się dziwię temu, gdyż każdy rozsądny człowiek winien panować nad sobą. Ani mogę, ani chcę udzielać wyjaśnień wielu rzeczy. Powiedziałam już i powtarzam raz jeszcze, że w ciągu całego mego życia będę czuła dla pana i familji jego szczerą przyjaźń, wdzięczność i szczególną przychylność"...

3. Dnia 11 listopada 1762.... Ani mogę, ani chcę odpisywać tych przeszkód, które stoją na drodze pańskiej do Rosji. Dość o tem pisałam w mych poprzednich listach i nie kłamię zupełnie. Tylko ja mogę rządzić sobą we wszystkich chwilach mego życia. Odradzam panu podróż potajemną, gdyż każdy mój krok musi być jawny... Proszę być pewnym, że pana podtrzymuję i będę podtrzymywała... W razie prześladowań, proszę mnie wezwać jako gwarantkę waszych wolności, w każdym liście piszę Kayserlingowi, żeby panu pomagał"...

4. „Dnia 27 kwietnia 1763. A więc dobrze, jeśli trzeba mówić szczerze, a pan postanowił nie rozumieć tego, co piszę od sześciu miesiącach. Otóż jeśli przyjedziesz do Rosji, możesz przyprawić mnie i siebie o śmierć... W czemże wykazałam tę okropną niewdzięczność? Czy w tem, że przeszkadzam i nie chcę, abyś przyjeżdżał tutaj? Mojem zdaniem, niema tu jeszcze powodu do skarg. — Pisałam już, że nasza korespondencja nie ma sensu, i że lepiej byłoby, abyś pan nie pisał... Ostatni kurjer, wiozący twój list do Breteuila o mało co nie został zabity — i brakowało tylko nie wiele, aby pakiet do mnie nie został otwarty i wszystko wydało się. Otrzymałam pański list; nie spodziewałam się po moich zapewnieniach, najbardziej szczerych, mej przyjaźni, że zostanę oskarżona o najczarniejszą niewdzięczność. Możesz sobie mówić, co chcesz, ja tymczasem dowiodę swych dobrych chęci i zamierzeń, podtrzymuję waszą rodzinę z całych moich sił"...

W ciągu zimy 1763—64 pisałem dwukrotnie do Imratonowej: „Proszę nie robić mnie królem, lecz proszę wezwać mnie do siebie". Z dwóch względów prosiłem o to: po pierwsze, powodowany uczuciem, które trwało w mem sercu, po drugie, uważałem, że będę pożyteczniejszy mej ojczyźnie u jej boku, niż na tronie. Daremne były jednak te prośby; nie wysłuchano ich zupełnie.

Czas jakiś milord Stormont, poseł angielski przy naszym dworze, na rozkaz swego, ułatwiał mi wysyłanie li-

stów do Rosji, gdy jednak w Anglji spostrzeżono, że w Petersburgu zmieniła się aura, oświadczył mi, iż nie może dłużej być mi użyteczny"...

We wrześniu 1764 Stanisław-August zasiadł z woli Katarzyny II na tronie polskim.

II

CIERPIENIA MIŁOSNE DUCZKA LOZAŃSKIEGO

(1772—1775)

Mémoires du duc de Lauzun. Bruxelles MDCCCXXVIII.

...Przyjechałem do Londynu dnia 20 grudnia 1772 r. i tegoż wieczoru hr. de Guines, ambasador francuski, zawiózł mnie na assamblę do milady Harrington. Znalazłem tam kilka osób, dawniej już poznanych. Wtem weszła do sali kobieta, ubrana i uczesana znacznie lepiej, niż wszystkie Angielki. Zapytałem o jej nazwisko i usłyszałem, że to — Polka, ks. Czartoryska.

Przy wzroście średnim ale kształtnym, a najpiękniejszych oczach, włosach i zębach, przy prześlicznej nóżce, acz bardzo zeszpecona przez ospę i pozbawiona świeżej cery, bardzo dobra i delikatna w obejściu oraz pełna nie dającej się naśladować gracji w najmniejszym poruszeniu się — pani Czartoryska była znakomitym przykładem tego, że można być zachwycającą, nie będąc jednocześnie piękną. Wnet dowiedziałem się dalej, że kochankiem jej jest Rosjanin, kniaź Repnin, człowiek dystyngowany i godny szacunku, b. ambasador w Warszawie, a który kocha ją tak mocno, iż porzucił wszystko, byle jej towarzyszyć i służyć na każdym kroku. Księżna wydała mi się kokieteryjną, wesołą i miłą, ale zdziwiłbym się niemało, gdyby ktokolwiek rzekł mi wówczas, że wywrze ona tak wielki wpływ na resztę mego życia,...

Hrabia de Guines kochał się w tym czasie najzupełniej otwarcie w bardzo ładnej kobiecie, którą głupstwa jego

i nieszczęścia, jakie na nią sprowadził, uczyniły wkrótce sławną w całej Anglji. Nie można było się nie zainteresować lady Craven, istotą szczerą, słodką i czułą. Odwiedzałem ją często i zawsze spotykałem tam niejaką p. Hampden, synową lorda Trevor. Była to kobieta wielkiego wzrostu, trzymająca się prosto i sztywnie, o dość zgrabnej figurze, ładnej cerze, dość ładnych oczach i pięknych rysach. Szpecił ją tylko brak zęba przedniego i każdy, kto ją zobaczył, napewno musiał zawołać: „Jaka szkoda, że ta kobieta nie ma pięknych zębów".

Ambasador poradził mi zwrócić do niej mój afekt, co też uczyniłem. Zostało to przyjęte nader przychylnie. A że w Anglji kobiety lubią pisać, włożyłem jej do zarękawka listy z oświadczeniami miłosnemi. Wieczorem na balu u posła rosyjskiego, dała mi odpowiedź w wyrazach żywych, czułych i wiele obiecujących. Czytałem ją w drugim pokoju i nie zdążyłem jeszcze skończyć, gdy p. Hampden, wpadłszy gwałtownie, wyrwała mi ją z ręki i wrzuciła do ognia, palącego się na kominku. Ten brak zaufania zraził mnie do niej i pogniewaliśmy się ze sobą. Daremnie chciała ona na nowo nawiązać nasze stosunki: odpowiedziałem jej stale drwinami... Pozostawałem tedy w Londynie bez żadnego zajęcia. Niestety, amory hr. de Guines z lady Craven rychło nastręczyły mi aż nazbyt dużo kłopotów. Głupstwa p. ambasadora i nieroztropność p. Craven wywołały wreszcie głośny skandal. P. de Guines, postanowiwszy przykuć ją na stałe do swego wozu tryumfalnego, poradził jej rozejść się z mężem, uczynił to jednak w ten sposób, że został zaskarżony przez lorda Craven i sądownie skazany na 10 tysięcy funt. szterlingów kary. W połączeniu ze skandalicznym procesem z Tortem, sekretarzem am-

basady, był to dla niego cios śmiertelny. W tych tarapatach byłem mu wiernym i oddanym przyjacielem, wszystko jednak zależało od odpowiedzi lady Craven, wywiezionej na wieś przez męża i uwięzionej tam bez możności porozumiewania się z kimkolwiek. Księżna Czartoryska odważyła się przezwyciężyć wszystkie trudności i niebezpieczeństwa, dotarła do uwięzionej i nauczyła ją, jak ma postępować, aby uratować i siebie, i kochanka. Ten postępek, szlachetny i czuły, zwrócił na nią moją uwagę, a znowu ona przypadkowo dowiedziała się o historji mojej miłości z lady Sarą Burnbury i o tem, jak jestem oddany tej, którą kocham. Sam, nie wiedząc o tem, przywiązałem się do niej i dopiero zbliżający się termin jej odjazdu pozwolił mi uświadomić to sobie w całej pełni.

Na parę dni przed wyjazdem księżnej do Spa hr. de Guines dał na jej cześć obiad w Vauxhallu w towarzystwie wielu pań, z któremi żyła. Powiedziała mi podczas tego obiadu, że wyśle swe dzieci i dwór wcześniej i spotka się z niemi dopiero w Calais, boi się jednak trochę odbyć tę podróż sama. Na to ofiarowałem jej swe usługi. Podziękowała mi serdecznie, wyraziła tylko obawę, czy nie wywoła to ujemnego wrażenia. Wszystkie jednak panie, obecne przy tem, zapewniły, że niema w tem żadnej nieprzyzwoitości, i tylko p. de Guines był z tego cokolwiek niezadowolony.

Następnego ranka odwiedziłem księżnę i zacząłem rozmowę o naszej podróży. Odpowiedziała mi, że jest serdecznie wdzięczna za moją usłużność, ale że zmieniła plany, zważywszy te plotki, które mogą powstać z powodu naszej podróży. Broniłem swej sprawy z takim zapałem, że wreszcie przystała na moje towarzystwo — a nawet wydała

mi się bardzo wraźliwą na cenę, jaką przywiązywałem do tego, by jej towarzyszyć.

P. de Guines odwiedził ją po mnie i znowu nastraszył, w złym świetle przedstawiając moje zabiegi. Powróciłem do niej w chwili, gdy ambasador wychodził, i odrazu odgadłem, co się dzieje w jej sercu. „Nie nastaję więcej", powiedziałem księżnie: „Wpływy postronne zwyciężyły odwagę pani. Jednak całe życie będę żałował okazji, która zapewne nie nadarzy się więcej, podczas której mógłbym wyjaśnić pani wiele szczególnych zdarzeń i dowieść jej, że postępowanie moje jest mniej niekonsekwentne, niż się pani wydaje."

Na to w oczach jej zarysowało się zaciekawienie i niejakie rozczulenie. „Niech się pan więcej nie obawia," rzekła mi: „Widzę, że zależy panu na tem by mi towarzyszyć i że straciłabym wiele, gdybym na to nie przystała. Moje postanowienie nie ulegnie już zmianie". Podała mi rękę, którą ucałowałem, i od tej chwili, gdyby tylko tego chciała, nie mogłaby wątpić w to, że ją ubóstwiam. Wreszcie ustaliliśmy, że wyjedziemy następnego dnia w południe.

Stawiłem się na ten termin punktualnie. „Moje sprawy", powiedziała mi księżna: „zostaną załatwione dopiero przed piątą, chodź ze mną pożegnać panią Puszkinową, która wyjeżdża do Bristolu". Ta rozstała się z księżną w wielkim żalu i obficie roniąc łzy. Podobnie baronowa Dierden i miss Johnson. „Byłbym jeszcze bardziej rozżalony, niż te panie," szepnąłem ks. Czartoryskiej: „gdybym nie jechał z panią." Czułe spojrzenie było odpowiedzią na to.

O piątej godzinie zjawiłem się u niej ponownie. Powiedziano mi, że jest niezdrowa i że śpi. Ten sen zdał się

mi podejrzanym. Wstąpiłem tedy do małej restauracji przy rogu Berkleysquare i napisałem do niej z prośbą o uspokojenie mnie. Otrzymałem odpowiedź, że wyjedzie jutro rano i że zawiadomi mnie o której godzinie. Nie mogę wyrazić, ile myśli najrozmaitszych krążyło w mej głowie . Z bólem widziałem, że pan de Guines, wciąż jeszcze tonący we łzach po stracie lady Craven, już knuje plany, w jaki by tu sposób zadowolić swą próżność kosztem kobiety, której tyle zawdzięczał, i kosztem mnie, który mu tyle przysług wyświadczył. Stwierdziłem wówczas, że ten człowiek jest niewdzięcznikiem i że miłość własna zabiła w nim wszelkie uczucia wdzięczności. Kochałem jednak księżnę tak gorąco, że obawa skompromitowania jej kazała mi być cierpliwym i rozsądnym. Powróciłem tedy do ambasadora, gdzie miałem spożyć kolację z lordem Sandwich i wszelką inną kanalją. Nie mogłem jednak zataić swego odkrycia: nie zwlekając napisałem do księżny, że nie wątpię, iż to właśnie p. de Guines pokrzyżował nam nasze plany; że jestem tem bardzo dotknięty; że podług samego siebie mogę wnioskować, jak mu było przykro nie widzieć jej i znać ją bez możności okazywania jej adoracji; że jestem daleki od tego, by źle mówić o p. de Guines, ale że dla mnie niema szczęścia bez niej, bez możności poświęcenia jej wszystkich dni mego życia... że wreszcie jestem istotą jak najbardziej niepodległą na świecie...

Podaję niżej odpowiedź księżny: ten krótki bilecik równie dobitnie oddaje jej charakter, jak uczyniłby to długi list.

„Nic w świecie nie mogło zadziwić mnie bardziej, niż to, co odczytałam. Ale nie dziwi mnie szczerość i czułość pańskiej duszy. Oddzielają nas od siebie przeszkody nie

dające się przezwyciężyć, do których, przysięgam, p. de Guines nie należy zupełnie.

Ja nie powinnam, ja nie mogę mieć kochanka, ale pan wzbudzasz we mnie zainteresowanie, które trwać będzie całe moje życie. Wymagam, by pan — bez względu na to, jakie kraje nas będą dzieliły, bez względu na to, jakie losy pana spotkają — donosił mi o sobie. Moja czuła przyjaźń dla pana daje mi do tego prawo. Nie możemy jechać razem do Duwru, przyjdź pan jednak do mnie przed moim odjazdem."

Ambasador zaproponował mi, abyśmy we dwóch odprowadzili księżnę do Duwru. Odmówiłem najspokojniej w świecie i w sposób najobojętniejszy, na jaki mogłem się zdobyć. Zato całą noc spędziłem w konwulsjach wściekłości i rozpaczy, zupełnie nie rozumiejąc siebie; obawiałem się o siebie; nie zapanowałbym nad sobą, gdybym u księżny Czartoryskiej spotkał p. de Guines. Postanowiłem wreszcie strzec się wszelkiego uniesienia, zamknąłem się w swoim pokoju i poleciłem jednemu z moich służących pójść do księżny i przyjść uprzedzić mnie, że już wyjechała. Miałem zamiar dopędzić ją w drodze, zatrzymać i rozmówić się z nią o sprawie tak obchodzącej nas oboje.

W tym stanie pozostawałem do godziny piątej po południu, gdy p. de Guines zastukał sam w drzwi mego pokoju i zapytał, czy przyjdę na obiad. Otworzyłem mu, a on powiedział mi wówczas, że księżna przesyła mi wyrazy pożegnania i że wyjechała w południe zdziwiona, iż jej nie odwiedziłem. Piorun z jasnego nieba nie zdruzgotałby mnie niespodzianiej. Odpowiedziałem p. de Guines (który podkupił mego służącego, by mnie nie dał znać o wyjeździe księżny), że nie będę u niego jadł obiadu, pobiegłem do stajni, sam sobie osiodłałem pierwszego lepszego konia i popędziłem co sił drogą do Duwru. Koń, młody i słaby, doniósł mnie zaledwie do Sittingborn. Tu dowiedziałem się, że ks. Czartoryska zaledwie przejechała i że połączyła się z taborem swoich dzieci i sług. Bojąc się skompromitować ją, nie pojechałem dalej i tylko wysłałem za nią list, napisany w uniesieniu, które dobitnie świadczyło o mojej miłości i o mojej rozpaczy.

Potem równie szybko odjechałem zpowrotem do Londynu i wróciłem jeszcze w czas, by w jednym z klubów grubo zagrać i w ten sposób dać się zauważyć i zaprzeczyć wszelkiej pogłosce o moim szalonym wyjeździe ze stolicy.

Następnego dnia otrzymałem od księżny odpowiedź, smutną i wzruszającą; zapewniała ona o swoim współczuciu dla mnie i jakgdyby zaznaczała swe niezadowolenie z tych więzów, które łączyły mnie z nią.

Po paru dniach otrzymałem list od kawalera d'Oraison. Donosił mi, że widział p. Czartoryską podczas jej przejazdu przez Brukselę, że wydawała się chorą i pożeraną przez jakieś cierpienia serdeczne.

Zabawiłem jeszcze miesiąc w Londynie, byłem w świcie króla w Portsmouth, wreszcie mniemając, że nie będzie mi to uważane za nieprzystojność, udałem się do Spa. Z ambasadorem rozstałem się dość chłodno. Przejrzałem go nawylot i czułem, że jestem mu już ciężarem. I oto jestem w Spa. Księżna przyjęła mnie dość ozięble i wydała mi się więcej, niż kiedy indziej, przywiązaną do kniazia Repnina. P. de Guines po jej wyjeździe z Londynu niczego nie zaniedbał, żeby przekonać mnie, że go kochała,

że mu dała swój portret i że miał od niej wszystko, co może dać kobieta. Postanowiłem tedy zerwać z nią i traktować ją jak najobojętniej. Żyłem też jak najlepiej z Repninem, który nie podejrzewał we mnie rywala. Księżna mówiła o ambasadorze w sposób, który mnie raził, ja zaś starałem się, by uwierzyła, że zająłem się kim innym, nic jednak nie mogło oderwać mego serca od niej.

Reduty i assamble sprowadziły znajomość moją z p. de Saint-Léger i jej córką. Były to Irlandki; matka, mająca od czterdziestu do czterdziestu pięciu lat, była kiedyś ładna i pod pozorami pełnemi godności zachowała jeszcze dużo zamiłowania do uciech tego świata. Córka — osiemnastoletnia panienka — była ładna i miła. Tańczyłem z niemi, jeździłem konno i podobałem się obu. Matka, chociaż zazdrosna o córkę i na tem tle dość surowa dla niej, opamiętała się jednak i zdała sobie sprawę, że straci mnie zupełnie, jeśli zabroni mi widywać się z córką, stałem się więc dość częstym gościem w ich domu. Zabiegi moje o pannę de Saint-Léger stały się wkrótce ogólnie wiadome. Księżna żartowała sobie nawet ze mnie z tego powodu, ale zajście, które miałem w tym czasie z p. Branickim przekonało, ją, że jestem daleki od tego, iż przestała mnie obchodzić.

Pan Branicki już oddawna kochał się w księżnie; przyjęty jednak zupełnie obojętnie pozwolił sobie odezwać się o niej wobec mnie w taki sposób, że nie mogłem na to pozwolić. Powiedziałem mu to zupełnie otwarcie i zawiązała się z tego powodu jedna z tych sprzeczek, jakie miewają miejsce pomiędzy dwoma ludźmi, którzy się nie lubią. Doszłoby nawet do czegoś więcej, gdyby nie lady Spencer, która postarała się załagodzić tę rozmowę.

Księżna dowiedziała się o tem, z jakim zapałem broniłem jej czci, i była mi za to wdzięczna. Wkrótce potem odbyły się wyścigi na których wygrał mój koń; zdobytą nagrodę ofiarowałem pannie do Saint-Léger. Gdym to czynił, p. Czartoryska zemdlała; odwieziono ją do domu. Nie podejrzewałem zupełnie, jaka jest tego przyczyna, i nie zastanawiałem się nad tem, jednak, gdy po tem zemdleniu rozwinęła się niebezpieczna choroba, nie opuszczałem jej zupełnie i otoczyłem ją wszelkiemi staraniami, które podszepnęło mi serce. W miarę powracania do zdrowia odsuwałem się stopniowo od niej, uważając, że starania moje są już niepotrzebne. Tymczasem skończył się w Spa sezon i wszyscy zaczęli się rozjeżdżać. Miałem i ja już wyjechać razem z paniami de Saint-Léger, gdy wtem kniaź Repnin, któremu nie dałem powodu do zazdrości, powiedział mi, że musi jeszcze zabawić nad morzem koło dwóch tygodni, opiekując się panią Szerfilcewową, i że sprawię napewno wielką przyjemność księżnie, jeśli odwiozę ją do Paryża. Nie kazałem sobie o tem mówić dwa razy: księżna była mi nazbyt drogą, abym mógł czegoś podobnego odmówić. Wyjechaliśmy tedy, a kniaź Repnin odprowadził nas kilka stacyj, jechaliśmy bardzo powoli. Pani Czartoryska była jeszcze bardzo osłabiona i, przybywszy do Brukseli, uczuła się nader zmęczona; nie chciała nic jeść i położyła się natychmiast. Pozostałem w celu dotrzymania jej towarzystwa. Rozmawialiśmy o Anglji i wkrótce prześliśmy do p. de Guines i lady Craven. Wtedy opowiedziałem jej wszystkie moje cierpienia po jej wyjeździe z Londynu; wzruszyło ją to, a oczy zapłynęły łzami. „Skończmy“, powiedziała mi: „i nie powracajmy już nigdy do tematów tak niebezpiecznych“. Niestety, było już zapóźno i losy

nasze spełniły się. Księżna kochała mnie i powiedziała mi o tem. Szczęście z tego powodu truł jej strach przed tem uczuciem i przed następstwami, jakie mieć mogłe.

Wobec tego chciała ona pozbawić siebie wszelkiej możności oddania się tej miłości. Rozstaliśmy się potem i każde z nas spędziło noc jak najgorzej.

Następnego dnia książę Czartoryski zaproponował nam wycieczkę do Antwerpji w celu obejrzenia zbioru obrazów, który chciał zakupić. Urządziłem tak, że księżna, nie mogąc protestować, musiała jechać ze mną we dwoje w małym powoziku, przywiezionym z Anglji i zaprzężonym w konie, któremi nieraz z wielkiem zadowoleniem powoziła w Spa.

Skorośmy tylko znaleźli się sami, zawiązała się rozmowa, podczas której księżna uczyniła mi następujące wyznanie.

„Nie potrzebuję ukrywać przed panem, p. de Lauzun, mojej miłości do ciebie, ale powinnam ze względu na tę właśnie miłość, która jest mi droższą nad życie, wystawić te wszystkie nie dające się uniknąć nieszczęścia, które pociągnie ona dla nas obojga w tym razie, jeśli nie zdobędziemy się na odwagę rozstać się natychmiast.

Posłuchaj mnie, nie przerywając, i rozsądź sam na zasadzie mego wyznania, czy powinnam być na nie narażona.

Urodzona w warunkach bardzo pomyślnych i wygodnych, w wczesnej młodości zaczęłam odbierać hołdy mężczyzn. Zadowalały one moją miłość własną i, odkąd znam siebie, jestem kokietką. Wyszłam za mego męża bez miłości i miałam dla niego zaledwie uczucie czułej przyjaźni, na które zasługuje stale.

Z pomiędzy tych, którzy zabiegali o moje łaski, król polski był najbardziej stałym. Przyjemność triumfowania nad najpiękniejszemi kobietami Warszawy kazała mi przyjmować te zabiegi z uznaniem; nie poddawałam się im jednak.

Tymczasem przybył do Warszawy kniaź Repnin, jako ambasador rosyjski. Zapałał on do mnie miłością, przyjęłam go jednak nieprzychylnie. Zamieszki, rozdzierające moją nieszczęśliwą ojczyznę, dały mu jednak możność okazania mi dobitnie, do jakiego stopnia byłam mu drogą. Mój mąż i jego rodzina rozdraźnili do najwyższego stopnia imperatorową, stając stale w opozycji do tego, czego ona chciała, i kniaź Repnin otrzymał rozkaz postępowania z nimi jak najostrzej. Książęta Czartoryscy wciąż jednak bruździli i wciąż pozostawali nietkniętymi. Wreszcie imperatorowa, wzburzona tem, że rozkazy jej wciąż nie są wykonywane, nakazała Repninowi pod karą najwyższej odpowiedzialności jak najostrzej postąpić z Czartoryskimi.

Książęta byli by zgubieni ostatecznie, gdyby kniaź Repnin nie miał odwagi nie posłuchać rozkazu. Wobec tego uważałam, że powinnam zapłacić za tyle względności — a oddając się mu z wdzięczności, właściwie poddałam się tylko uczuciu miłości, która się we mnie zrodziła.

Wkrótce byłam jedynem skarbem, który pozostał kniaziowi. Rozgniewana imperatorowa pozbawiła go ambasady, pensyj, swych łask — i oprócz mnie pozostało mu zaledwie tysiąc dukatów dochodu, jemu, człowiekowi, który swym przepychem oślepił całą Polskę. Oprócz tego nie mógł pozostać w Rosji i udał się w podróż zagraniczną, wezwawszy mnie, abym mu towarzyszyła. Nie zawahałam się i rzuciłam wszystko. Hrabia Panin, krewny

kniazia, przebłagał imperatorową, by kazała mu wrócić i objąć dowództwo korpusu w armji marszałka Rumiancowa, lecz on odrzucił tę łaskę i tem jeszcze bardziej rozgniewał Katarzynę.

Żyliśmy z sobą jak najzgodniej do czasu, aż kniaź zapałał zazdrością o hr. de Guines. Pasja to była tak gwałtowna i tak bezpodstawna, że uczułam się tem obrażona; wszak kobieta, która wszystko uczyniła dla niego, zasługuje na większe zaufanie!

Znosiłam cierpliwie pomimo wszystko te humory, ale ambasador wydał mi się milszym. Starałam się mu podobać i byłabym pokochała go niewątpliwie — wyznaję to szczerze — gdyby nie to, że on kochał zanadto samego siebie. Walczyłam z uczuciem, które rodziło się dla niego; ostatecznie zwyciężyła ta miłość, jaką pan zapałał ku mnie. Serce moje zanadto wyraźnie dostrzegło różnicy.

Jestem obecnie pewna, że będę żyła nieszczęśliwa i że nieszczęśliwą umrę, ale nie mogę pozwolić umrzeć z rozpaczy człowiekowi, który wszystko dla mnie poświęcił i któremu ja jedyna zostałam na świecie.

Uciekaj ode mnie, zapomnij o kobiecie, która, chociażby poddała się swej skłoności, nie może nic uczynić dla twego szczęścia.

Wierz mi, że miłość, która nie opiera się na zaufaniu, jest tylko męką, a jakież prawo mam do zaufania z twej strony. Czy mógłbyś ufać tej, która zdradziła Repnina i której podobał się de Guines?

Każda oznaka miłości, którą otrzymasz ode mnie, będzie i dla ciebie i dla mnie dowodem, że ja mogę kochać jeszcze raz. Kobieta, która raz zdradziła, może zdradzić po raz drugi, i czyż przypuszczasz, że ta, która niemiłosiernie opuściła Repnina, zawdzięczając mu tyle, oszczędzi ciebie, którego prawa skończą się z tą chwilą, w której ona ciebie kochać przestanie? Zresztą nie wiesz, do jakiego stopnia zdolną jestem kochać ciebie, nie zdajesz sobie sprawy z nieszczęść, które mogą być wynikiem tej pasji, i ze zgryzot, które będą ciągle mnie pożerały.

Zasłona, oddzielająca świat cały od ciebie, nie pozwoli mi widzieć nic poza tobą; zupełne zapomnienie o mojem położeniu, o mych obowiązkach w stosunku do męża, dzieci i rodziny, wreszcie do siebie samej; nieustanna a sprawiedliwa zazdrość kniazia Repnina, — wszystko to będzie ćmiło szczęście naszej miłości. — I powiedz sam, czy takie życie może trwać długo?“

— „Tak, istotnie zbyt dużo zawdzięczasz kniaziowi!“ odpowiedziałem jej na to: „Z nas dwóch ja właśnie muszę umrzeć zrozpaczony! Pozwól mi jednak patrzeć na siebie przez dni kilka, pozwól jednak użyć ostatniego szczęścia, jakie mi pozostaje — zanim odejdę nazawsze! Wspomnij jednak niekiedy o tem, że cię będę kochał do śmierci, do ostatniego tchnienia, i że cię straciłem. Wspomnij niekiedy, że cię kochałem do tego stopnia, żem musiał cię opuścić i bardzo być może — uczyniłbym dla ciebie więcej niż Repnin!

O najmilsza, najszlachetniejsza istoto! Twej miłości zawdzięczam, że nie zostanę potworem niewdzięczności, twej miłości będę zawdzięczał swoją szlachetność!

To przynajmniej będzie dla nas obojga osłodą rozstania!“

Oboje mieliśmy jak najszlachetniejsze zamiary, ale sami nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, do jakiego stopnia

kochaliśmy się. Niewątpliwie spotkały się tu dwa serca, w całym świecie najczulsze i najgorętsze!

W Antwerpji nie znaleźliśmy zbioru, po który książę Czartoryski wyprawił się, sprzedano go już. Natomiast powiedziano mu o innym, znajdującym się w Amsterdamie, i że przypadnie mu napewno do smaku. To zdecydowało go odbyć wycieczkę do Holandji.

Odmówiłem w niej udziału i trzymałem się mocno aż do wigilji odjazdu. Jedno wszakże spojrzenie księżny zmusiło mnie zapomnieć o postanowieniu. Przyjąłem zaproszenie księcia i następnego dnia udaliśmy się wszyscy do Amsterdamu.

Szczęście, a zarazem niebezpieczeństwo ciągłego przebywania ze sobą wstrząsnęło nasze dusze i podniecało nasze zmysły. Wszyscy towarzysze podróży na szczęście spali snem głębokim i podniecenie nasze pozostało niezauważone. Gdy noc zapadła, nie wstrzymywaliśmy się już więcej. Księżna płakała serdecznie, ja wtórowałem jej całem sercem. Nie przyświecał nam żaden promyk nadziei, wszystko naokoło napawało nas bojaźnią, wszystko groziło cierpieniem. Ból serdeczny przytłaczał nas i nie pozwalał nam nawet zdawać sobie ze wszystkiego sprawy...

O godzinie 11-tej wieczorem dotarliśmy do jakiejś wstrętnej chaty, w której musieliśmy przenocować. Księżna i jej garderobiana Bohdanowiczowa spały w jednej izbie, wszyscy inni w drugiej.

W parę godzin Bohdanowiczowa zaczęła krzyczeć przeraźliwie, nikt się jednak nie obudził. Nie zmrużywszy dotąd oka, porwałem się na ten krzyk i wpadłem do izby księżny. Jakiś człowiek schronił się w ich pokoju i nastraszył garderobianę. Z wielkim trudem udało mi się go

usunąć. Księżna, obudzona krzykiem Bohdanowiczowej, przywołała mnie do siebie. Upadłem na kolana przed jej łóżkiem, patrząc na nią wzrokiem, który, acz nie był w stanie wyrazić całej miłości, to jednak wiele o niej mówił.

„Twoje cierpienia“, powiedziała mi: „ranią mą duszę, ale są one mi bardzo drogie, gdyż odpowiadają moim. Jeśli nie możemy być szczęśliwi, bądźmy przynajmniej stali i bez zarzutu.“

Po tem obiecaliśmy sobie, że będziemy odważni i roztropni, nie zdając sobie sprawy, że to jest ponad nasze siły.

Wyruszyliśmy z noclegu trochę spokojniejsi i bardziej panując nad sobą. Dosięgnęliśmy wreszcie Moerdicku i natycmhmiast przeprawiliśmy się przezeń. Gdy wszyscy, obawiając się morskiej choroby, pozostawali na pokładzie jachtu, ja z księżną siedzieliśmy w kajucie. Czytałem jej głośno „Les sacrifices de l'amour“ Dorata, które tylko co się ukazały, a że kilka sytuacyj w tym romansie żywcem można było zastosować do nas, zajmował on nas bardzo i wzruszył serdecznie.

O, ileż uroku miała w sobie ks. Czartoryska. Lata cierpień i nieszczęść nie mogły mi zatrzeć jej obrazu!

Wreszcie dotarliśmy do Hagi. Tu z wielką radością powitał księstwo p. de Lachérésia, ambasador hiszpański. O nim mogę wspomnieć tylko z wyrazami pochwały. Natomiast pani de Lachérésia, wysoka, mocno zbudowana, żywa i gorąca Peruwjanka, odrazu zwróciła na mnie uwagę i po dziesięciu minutach byliśmy ze sobą jak dawni i dobrze znajomi. Ciągłemi pytaniami o mnie, zwróconemi do księżny, jak o nią, zwróconemi do mnie, zaambarasowała nas ogromnie.

Dwa dni bawiliśmy już w Hadze, gdy o drugiej w nocy zastukała do moich drzwi Bohdanowiczowa i zawołała w złej niemczyźnie: „Panie, niech pan idzie prędzej, księżna umiera!“ (Książę Czartoryski opuścił był Hagę, udawszy się na wieś z wizytą do ks. Oranji.) Wpadłem bez tchu do jej sypialni i znalazłem ją istotnie nieprzytomną. Dopiero, po paru godzinach udało mi się przywołać ją do przytomności. Spostrzegłszy mnie obok siebie, wyciągnęła do mnie ramiona i rzekła: „O jakżem szczęśliwa! Umieram w objęciach tego, kogo kocham, nie mając sobie nic do wyrzucenia.“ W ciągu następnego dnia miała kilka ciężkich ataków nerwowych i mdlała kilkakrotnie. Wiedząc, że w Lejdzie mieszka słynny lekarz Gaubius, udałem się do niego następnego ranka. Opowiedziałem mu, nie wymieniając jej nazwiska, jak najdokładniej ze wszystkiemi szczegółami i chorobę księżny w Spa, oraz tę nową, na którą zapadła w Hadze.

Dowiedziawszy się, że nie jestem ani lekarzem, ani chirurgiem, jak również, że chora nie jest moją żoną, lecz tylko siostrą, bo tak odpowiedziałem na jego pytania, zawołał z zapałem: „W takim razie jesteś pan najczulszym i najinteligentniejszym bratem pod słońcem!“

Uspokoił mnie dalej co do jej stanu, zapewnił, że nie jest groźnym, przepisał pewien skuteczny sposób leczenia, wreszcie polecił donosić sobie o przebiegu choroby, wyraziwszy żal, że nie może sam udać się do chorej z powodu starości i podagry, i poleciwszy przywieść ją do niego, gdy się stan jej zdrowia poprawi odpowiednio. Wróciłem śpiesznie do Hagi a księżna z wielką przyjemnością dowiedziała się o mojej wyprawie i staraniach o jej zdrowie.

Zdecydowaliśmy, że odprowadzę ją do Brukseli, przedłużymy naszą podróż jak można najbardziej, i że po tem wyjadę do Włoch.

Kochankowie są jak dzieci, cierpienia przeszłe czują tylko chwilkę i poświęcają wiele dla czasu teraźniejszego. Dziesięć lub dwadzieścia dni wydały nam się wartemi tego, by je okupić naszem życiem. Ta krótka zwłoka uspokoiła nas — a księżna wróciła do zdrowia. Nie żądałem od niej nic takiego, czego musiałaby później żałować. Patrzyłem na nią czule i nie pożądałem niczego. Stałem się jednak zazdrosny o nią, chociaż nie było po temu żadnego powodu — i raz zachowałem się tak niepoczytalnie, że nie mogę pominąć tego milczeniem.

Jeszcze w Londynie poznałem młodego księcia Poniatowskiego, bratanka królewskiego, a kuzyna księcia Czartoryskiego, który wychowywał się w Anglji — i na którego nie zwróciłem szczególnej uwagi. Pani Czartoryska zawiadomiła mnie, że spodziewają się go w Hadze. Zaniepokoiło mnie to ogromnie, zacząłem się obawiać tego trzeciego.

I oto, gdy pewnego razu byłem w teatrze z Czartoryskimi, zawiadomiono po cichu księcia, że przyjechał Poniatowski, na co wstał i wyszedł. Nie umiem wypowiedzieć wzruszenia, które mnie ogarnęło. Przedstawiłem sobie wszystkie te szczegóły, które pozwoliłyby młodemu Poniatowskiemu podobać się księżnie, z którą miał stykać się stale — i dostałem zawrotu głowy. Porwałem się z krzesła, opuściłem teatr i wpadłem do siebie. Tu zacząłem snuć najokropniejsze obrazy przyszłości; zdawało mi się, że księżna jest już dla mnie stracona, że nie mam tu

co robić — i wpadłem w taki stan podenerwowania, że postanowiłem uciec natychmiast do Włoch.

Posłałem po konie pocztowe i kazałem sposobić mój pojazd. Było to już po dziesiątej.

Księżna, zdziwiona, że nie zjawiam się u pp. Lachérésia, gdzieśmy mieli zejść się na kolację, opuściła nic nie mówiąc salon, wsiadła do pierwszego lepszego napotkanego pojazdu, stojącego na podwórzu pałacu, i udała się do mnie. Zdziwiona widokiem zaprzężonej i naładowanej karety, stojącej przed naszą oberżą, weszła do mego pokoju i zapytała: „Co to ma znaczyć? gdzie jedziesz?"

„Jadę umrzeć z rozpaczy zdala od ciebie; jadę, bo chcę uniknąć nieszczęścia znacznie większego, niż rozłąka!" zawołałem w uniesieniu.

„Nie rozumiem ciebie; wytłumacz się; zupełnie nie panujesz nad sobą; czyż mniemasz, że mogę żyć, zobaczywszy cię w takim stanie?" odrzekła na to, a w oczach jej wyczytałem najdobitniej zupełną niesłuszność mojego podejrzenia, oraz, że mam wszelkie dane po temu by być spokojnym.

Księżna nie zrobiła żadnej wymówki, ani też dopuściła się jakiegoś żartu. Ucałowała mnie serdecznie i rzekła: „Nie bój się, że stracisz moje serce. Boleję bardzo, żeś tak cierpiał, ale miłość twą odczuwam jak najżywiej. Nie traćmy jednak czasu, gdyż czekają na nas u ambasadora hiszpańskiego. Najmniejszy pretekst wystarczy, by nas wytłumaczyć," — a zwracając się do mego służącego, zawołała z niedającą się wyrazić gracją: „On już nie pojedzie, on już nie pojedzie!"

Wreszcie wyjechaliśmy z Hagi do Amsterdamu a po drodze wstąpiliśmy do Lejdy do Gaubiusa. Ten długo rozmawiał z Księżną. Między innemi powiedział: „Są

cierpienia bardzo niebezpieczne dla kobiet, a których lekarze nie umieją leczyć. Brat pani," dodał śmiejąc się: „wie o tem więcej, aniżeli ja (tu księżna spłonęła rumieńcem), bądź pani stałą i rozsądną a będziesz szczęśliwą. Nigdy nie widziałem kobiety bardziej kochanej" — i opowiedział jej całą naszą rozmowę.

Nic nie traciło się z tą duszą tak czułą. Nie można było sobie wyobrazić kogoś milszego.

Późną nocą ruszyliśmy w dalszą drogę do Amsterdamu. Noc była ciemna. Siedziałem z księżną w głębi wielkiej gondoli, przyciskając jej ręce do mego serca, ściskałem ją w mych ramionach — nie czując sprzeciwu. Położyła się spać bez kolacji, a ja stosownie do ustalonego już zwyczaju siadłem u jej łoża.

Z chwilą gdyśmy zostali sami, padliśmy sobie w objęcia. Nie potrafiłem zapanować nad pożądaniem, które — zdawało się — i ją ogarnęło, pozwoliłem sobie zbyt wiele i natychmiast zostałem ukarany. „Nie przypuszczałam," rzekła do mnie z bólem i oburzeniem: „że istota tak mi droga zapomni tak prędko o swoich obietnicach i swoich postanowieniach i że dla chwili rozkoszy zechce poświęcić szczęście mego życia. Byłam tak szczęśliwa, ufając, że twoja szlachetność zapewni mi spokój!"

Tu weszła jej garderobiana, a księżna pożegnała mnie, mówiąc, że chce spać.

Niema straszniejszego stanu nad ten, gdy się czuje, że zasłużyło się na gniew osoby, którą się kocha. Spędziłem całą noc, czyniąc sobie srogie wymówki i kając się.

Na drugi dzień o ósmej rano pani O-eska wstąpiła po mnie i pomimo wszelkich mych starań musiałem towarzyszyć jej w zwiedzaniu wszystkich godnych widzenia

w Amsterdamie rzeczy aż do ósmej wieczorem. Gdyśmy się zobaczyli, księżna przyjęła mnie ozięble, co wprawiło mnie w rozpacz. Ale kochała mnie zanadto, aby nie spostrzec tego i aby nie uczuć litości. Zbliżyła się do mnie i szepnęła: „Popatrz, jaka jestem godna pożałowania. Karać ciebie, gniewać się na ciebie jest ponad moje siły. Jestem pewna, że nie zasłużysz więcej na karę!"

Te słowa powróciły mi życie i kolacja upłynęła wesoło — odjazd nasz wyznaczyliśmy na dzień następny, a zaproponowano jechać w małych kabrjoletach, mieszczących zaledwie dwie osoby, przyczem potrzeba powozić samemu, a jedzie się bardzo szybko.

Mnie, jako najlepszemu woźnicy, przypadło w udziale towarzyszenia księżnie. Z początku broniła się przed tem, ale, zauważywszy smutek, malujący się w moich oczach, zgodziła się wreszcie. Ruszyliśmy. Spostrzegłem, że jest w bardzo poważnem usposobieniu i zapytałem dlaczego.

„Nie chcę ci robić wymówek", odpowiedziała: „Darowałam ci winę z dobroci serca, ale nie mogę zapomnieć przykrego wrażenia, jakie pozostawiło całe to zdarzenie. Nie z ciebie, ale właśnie ze siebie jestem niezadowolona. Muszę siebie winić o to, że miałam do ciebie ślepe zaufanie, sobie powinnam robić wymówki!"

Z łatwością rozproszyłem jej obawy, płacąc za swe przestępstwo gorzkiemi łzami.

Cały następny tydzień zabawiliśmy w Hadze, ale wreszcie trzeba było wracać do Brukseli, gdzie mieliśmy się stosownie do naszych postanowień rozstać nazawsze. Umieraliśmy z rozpaczy — a ja kilka chustek codziennie zwilżałem swą krwią. Księżna nie była w lepszym ode

mnie stanie i była bliska śmierci, gdyśmy przepływali Moerdick. Spędzałem tę noc przy niej.

„Zaangażowaliśmy się bardziej, niż możemy podołać", powiedziała mi wtedy. „Mógłbyś mnie wyratować, gdybyś kochał nadewszystko i gdybyś miał dostateczną odwagę. Ale czyż byłbyś zdolny — mój ty najukochańszy, nie być zazdrosnym o Repnina, zadowolnić się mem sercem tylko i nie żądać niczego więcej?"

I ułożyliśmy w jaknajlepszej wierze jeszcze jeden plan urządzenia sobie życia, równie jak i pierwsze nie dający się wykonać. W Brukseli zabawiliśmy zaledwie jedyny dzień i puściliśmy się wreszcie w podróż do Paryża. Pożegnałem księżnę w Senlis i zabawiłem jedną dobę w Haute - Fontaine, zupełnie zmieniony w porównaniu z tem, jakim byłem, opuszczając to miejsce.

Następnego dnia wieczorem o godzinie dziewiątej stanąłem w Paryżu, zatrzymawszy się w Hotêl des Chartres, gdzie mieszkała p. Czartoryska. Spotkałem tam również kniazia Repnina, który przywitał mnie grzecznie, ale zimno i z pewnym przymusem. Pani Czartoryska leżała w łóżku, bo poczuła się nagle niedobrze, powiedziała, że chce spać, i pożegnała nas obu. Zdołała jednak wsunąć mi do ręki mały pakiecik, w którym znalazłem czuły liścik i kędzior włosów, którego pożądałem już dawno.

Około godziny jedenastej wieczorem przyszedł do mnie d' Oraison. „Tylko co był u mnie warjat," rzekł do mnie: „któremu musiałem obiecać, że go odwiedzę jutro wczesnym rankiem. Oto co mnie zmusiło przyjść do ciebie tak późno. Kniaź Repnin nabił sobie głowę tem, że ty kochasz się w księżnie, a ona w tobie. Zapewniłem go, że tak nie jest; że wiem, iż serce swe umieściłeś gdzieindziej

dla pewności jednak przyszedłem pomówić z tobą o tem.“

Moje zmięszanie i wzruszenie przekonało go odrazu, że się mylił. „Jesteś największym letkiewiczem ze wszystkich mężczyn,“ powiedział: „A piękna Marjanna, czyż już nie kochasz jej?“ Opowiedziałem mu wszystko, co zaszło od chwili wyjazdu jego z Londynu, i potem mniej gderał na mnie, współczuł mi nawet, ale nie uspokoił mnie co do przyszłości.

Spędziłem całą noc w najprzykrzejszych rozmyślaniach. A rano poszedłem odwiedzić księżnę, która się czuła już cokolwiek lepiej. Kniaź Repnin, którego znowu tam spotkałem, wydał mi się spokojniejszym. Księżna przyjęła mnie ozięble, nie poskarżyłem się jednak na to i cierpiałem w głębi duszy.

Tak minęło kilka dni; kniaź Repnin ani razu nie pozwolił mi pozostać z nią sam na sam. Wyglądał zadowolony i minę miał spokojną, ja natomiast nie mogłem ani jeść, ani spać. Plułem krwią i, aczkolwiek starałem się to ukryć, chustka moja zdradziła mnie.

„Co widzę!“ szepnęła wzruszona, przechodząc koło mnie: „Przyjdź o siódmej godzinie, będę sama. Chcę pomówić z tobą.“

Stawiłem się punktualnie. „Mój drogi,“ rzekła do mnie przy przywitaniu: „jesteś chory, z mojej winy napewno. Z dwóch ludzi tak mi drogich, jeden musi umrzeć z rozpaczy! Co za nieszczęście! Co ci jest? zwierz mi się, chcę tego, żądam tego, proszę cię o to na kolanach!“

„Nic mi nie jest,“ odpowiedziałem, tuląc ją w moich ramionach: „Potrzebuję dodania odwagi, a ty tylko możesz to uczynić. Powiedz, że mnie kochasz! Potrzebuję to usłyszeć!“

— „O mój przyjacielu, mój drogi, czuły przyjacielu! Kocham cię, ubóstwiam cię! I żadna siła nie może powstrzymać mnie od tego, iżbym ci to powiedziała. Uzbrój się w cierpliwość, trwaj w swem postępowaniu, które budzi we mnie obok wielkiej miłości tyleż poważania, jak najbardziej zasłużonego. Postępujesz z kniaziem Repninem znakomicie: nie może ci zarzucić ani złości, ani fałszu. Wyrzucam sobie gorzko, że jestem przyczyną twych cierpień. Staram się nie czynić mu przykrości, ale kosztuje mnie wiele to, że nie mogę być szczerą i że w jego obecności muszę traktować cię tak ozięble. Tej ostrożności zawdzięczam jednak, że czuje się on wciąż pewnym w swych prawach; z chwilą, gdy straci tę pewność, możemy się spodziewać dla nas jak najfatalniejszych skutków. Nie gniewaj się, mój drogi; rozum radzi, ale miłość tylko daje rozkazy. A gdy ona mówi, głos jej jest najpotężniejszy ze wszystkich. Oszczędzaj swoje życie, które jest całem mem szczęściem; oszczędzaj swą krew, za którą zapłaciłabym całem mem życiem.“

— „Wlewasz balsam na rany moje, sprowadzasz spokój w moją duszę. Serce moje jest godne twego, moja najdroższa! Jest zdolne postępować równie szlachetnie. Oddaję kniaziowi sprawiedliwość, na którą zasługuje. Oby Bóg uchronił go od nieszczęścia, którego byłbym sprawcą! Niech wszystkie twoje zasługi, niech wszystkie względy będą dla niego. Jedno spojrzenie zadowoli mnie, przypominając, że jestem ci droższy, niż wszystko na świecie, i, jeśli będę niesprawiedliwy, przywodząc mnie do porządku. Najdroższa, tylko potrzeba czynienia ci usprawiedliwionych wymówek, może rzucić mnie w przepaść rozpaczy!“

Ledwo skończyliśmy tę rozmowę, wszedł najniespodziewaniej kniaź Repnin. Zmięszaliśmy się i pomimo wszelkich naszych starań spostrzegł to napewno, gdyż od tego dnia nie potrafił już zapanować nad swoją zazdrością, która objawiała się zgodnie z jego gwałtownym, żywym ale szlachetnym charakterem.

Wiedział dobrze, jak wybuch zraniłby duszę księżny, starał się więc jej tego oszczędzić i wychodził natychmiast, skoro tylko zauważył, że nie jest już pewnem siebie.

Pewnego wieczoru skarżył się przed panią l' Huilier: „Umieram, nie mogę już dłużej znieść więzów, które sam sobie nałożyłem. Muszę otworzyć przed panią całą moją duszę.

Pan de Lauzun kocha księżnę i jest przez nią kochany. Jest człowiekiem dumnym i zazdrosnym tak, jak ja. Musi mnie nienawidzieć. Godny, szlachetny i spokojny sposób postępowania jest najlepszem dowodem opanowania go przez przyjaciółkę pani, co mogla ona okupić tylko ofiarą swego serca i ciała. Karczemne wybuchy nie mogą mieć miejsca pomiędzy dwoma ludźmi, którzy są jej godni. Ale jeden z nas musi zginąć; inaczej obaj nie będziemy mieli spokoju. Porwał mi jedyny skarb, jedyne szczęście moje. Muszę go bronić przed nim!"

Napróżno p. l' Huilier starała się go uspokoić. Następnego dnia otrzymałem następujący list:

„Znasz mój szacunek i moją nienawiść dla ciebie. Walczmy z bronią w ręku o szczęście, którego nie możemy podzielić pomiędzy siebie: Jeden z nas musi zginąć z ręki drugiego. Z zupełnem zaufaniem pozostawiam panu wybór czasu, miejsca i broni. Repnin."

Odpowiedziałem w sposób następujący:

„Kniaź Repnin nie może mnie wszak wziąć za tchórza. Poważam go dosyć, by móc odmówić mu honoru spotkania, które mnie zaproponował. Nie zgadzam się na walkę, która może skompromitować osobę, poważaną przeze mnie. Jeśli kniaź zaatakuje mnie, będę się bronił w ten sposób, by nie przelać ani kropli krwi tego, komu księżna Czartoryska tyle zawdzięcza. Lauzun."

Otrzymawszy taką odpowiedź, poprosił mnie, abym oczekiwał go następnego dnia o wczesnym ranku. Jakoż istotnie zjawił się u mnie w mojem mieszkaniu przy ul. Saint-Pierre, a gdyśmy pozostali sami, rozpoczęła się następująca rozmowa:

Kniaź Repnin: „Posłuchaj mnie, panie de Lauzun, a napewno nie odmówisz mojej prośbie wczorajszej. Ciebie, mego rywala, mego wroga, wzywam, abyś osądził sam, w jak okropnej znajduję się pozycji. Mianowany ambasadorem rosyjskim w Polsce na początku zamieszek, poznałem i pokochałem księżnę Czartoryską. Poświęciłem wszystko, by przekonać ją o mojem uczuciu. Rodzina jej męża obraziła imperatorową. Otrzymałem rozkaz ukarania ich w sposób najbardziej ostry, nie wykonałem go jednak, co sprowadziło na mnie najostrzejsze wymówki; uczyniono mnie wreszcie odpowiedzialnym za dalsze postępowanie Czartoryskich. Ale, chociaż zachowywali się wciąż wrogo i krnąbrnie względem mej monarchini, nie spotkała ich żadna z mej strony kara. Straciłem wreszcie zaufanie i łaski imperatorowej. Runęła karjera, która się tak świetnie zapowiadała. Zostałem odwołany z Warszawy, abym się wytłumaczył. Tylko dzięki staraniom mego wuja nie straciłem życia. Imperatorowa kazała mi udać się do armji Rumiancowa, odmówiłem. Wówczas straciłem

wszystkie swoje dochody oprócz małego dochodu, który nie mógł wszakże wystarczyć człowiekowi, który swym przepychem oślepił całą Polskę.

Księżna, kobieta szlachetna i uczuciowa, uważała za swój obowiązek wdzięczności opuścić wraz ze mną Warszawę, gdzie nie mogłem pozostawać, nie narażając się na niebezpieczeństwo, i udaliśmy się w podróż. Wszędzie oddawano jej hołdy, ale musiała ona zawsze spostrzec bądź głupstwo, bądź próżność, bądź złe intencje tych hołdowników. W parę tygodni po księżnie udałem się do Londynu i wówczas to spotkałem pana w Calais; razem przepłynęliśmy cieśninę. Kawaler d'Oraison, którego poznałem już dawniej, często mi opowiadał o panu. Twoja miłość gorąca do lady Sary była wiadoma całej Anglji i czyniła cię interesującym ogólnie. Odrazu zacząłem obawiać się o to, byś mi nie zaszedł drogi. Ale widząc, że gdzieindziej skierowałeś swój wzrok i że starasz się o względy innej młodej i miłej osoby, uspokoiłem się zupełnie. Niedorzeczne zabiegi waszego ambasadora nie nabawiało mnie żadnym niepokojem. Udaliśmy się tedy spokojnie do Spa, gdzie i pan później przyjechał. Księżna była ciągle smutna i chora, nie podejrzewałem jednak przyczyny, widząc, że jesteś zajęty panną de Saint-Léger.

Wobec tego tak daleko byłem pewien siebie, że, zaangażowawszy się bez możności cofnięcia się względem pani Czerniszewowej, byłem zadowolony z towarzystwa pana w podróży księżnej ze Spa do Paryża. Grzeczność, jaką okazywałeś mi podczas zetknięć naszych w Spa, wywołała we mnie pewną sympatję ku tobie. Byłbym cię pokochał jak brata, gdyby los nie sprawił, że muszę cię nienawidzieć.

Podczas podróży w Holandji księżna nie napisała do mnie ani słowa. Strach spadł na moją duszę, smutna przyszłość zarysowała się przede mną i byłem pewien mego nieszczęścia, zanim nareszcie przekonałem się o niem.

Obecnie wszystko aż nadto dobitnie przekonywa mnie o tem, że księżna kocha ciebie. Znam ją zbyt dobrze, abym nie widział, że pożerają ją wyrzuty sumienia: nie może widzieć mnie bez zmieszania, patrzeć na mnie bez odrazy. Cierpi ona okropnie. Gdyby nie ty, byłbym dla niej wszystkiem. Jeśli nikt z nas nie zginie, straci w końcu nas obu. Nie mam nadziei, bym mógł w ojczyźnie znaleść przystań spokojną, w ojczyźnie, którą dla niej rzuciłem. Gdy będę żył, nie możesz być zupełnie pewnym serca, które tyle cenisz. Z drugiej strony ja wciąż będę myślał, że kocha ona ciebie więcej, niż mnie. Dla wszystkich nas każda chwila będzie dostarczała nowych wybuchów, nowych niepokojów."

Lauzun: „Twoja nienawiść jest słuszna, kniaziu! Zasługuję na nią w zupełności, ale serce moje jest jak najbardziej godne twego, jak również tych uczuć, które żywi dla księżny. Długo walczyłem z uczuciem, które — rozumiałem to dobrze — mogło wywołać tylko okropne cierpienia. Za największe uważałem zniszczenie spokoju twej duszy. Porwany — pomimo mej woli — tą sprzeczną z wszelkim rozsądkiem miłością miałem nieustannie przed oczami to, że swojemi czynami wywołują tylko zgryzoty sumienia. Jestem gotów dokonać wszelkich poświęceń — a nie wymagam żadnych. Zdaję sobie sprawę ze wszystkich cech twoich, które są wyższę od moich — i z tego, że mogę tylko zburzyć twoje szczęście. Gdybym oddalił się od niej zmuszony okolicznościami, zniszczyłbyś moje, jeśli

mogłem kiedykolwiek jego się spodziewać. Nie mogę jednak kompromitować go, walcząc o nie; zwycięstwo, jakkolwiek zaszczytne, powinno pozostać nieznanem. Nie chcę, aby księżna mogła zarzucić mi, że sięgałem po życie tego, komu tyle zawdzięcza. Gdybym zginął, śmierć moja byłaby łatwo usprawiedliwiona, gdybym zaś zabił ciebie, księżna niedługo przeżyłaby śmierć twoją. Oddalę się tedy, kniaziu; pójdę szukać śmierci, nie czyniącej mnie winnym. Współczuję tobie, szanuję ciebie, ale również nienawidzę. Ale nie skrzyżuję szpady z tobą — nawet mimowolnie —; uprzedzam cię, że jestem tu i będę bez oręża."

Repnin: „Dosyć tego — panie. Powinienem być szczery z adwersarzem tak szlachetnym. Postaram się menażować wrażliwość pani Czartoryskiej. Nie skompromituję jej czci, ale uczynię, co mogę, aby opuściła kraj, gdzie nie może być szczęśliwą. Uprzedzam pana o tem i wzywam, byś mi dał słowo, że nie udasz się za nią.

Lauzun. Nie mam potrzeby obiecywać tobie cośkolwiek. Nigdy nie zawaham się uczynić tego, co według mego mniemania będzie potrzebne dla szczęścia księżny, i tylko siebie mogę uważać za sędziego w takim razie."

Kniaź Repnin wyszedł i udał się do księżny i asystował jej przez cały dzień. Wydawała mu się bardzo i głęboko wzruszona. Była chora, zamknęła się wcześnie w swym pokoju i nie chciała widzieć ani Repnina, ani mnie. Zdarzają się sytuacje bolesne, ponad odwagę, ponad siły wszystkich i ponad postanowienia najrozsądniejsze. Nie to, że się wszystko poświęca dla ukochanej istoty, jest najważniejsze; znacznie więcej ma znaczenie sposób, w jakim się to czyni. Jeśli się nadto okazuje, co to kosztuje, co się cierpi, poświęcenie przestaje być poświęceniem. W tym właśnie okresie byłem w zupełności opanowany przez swą pasję. Ubóstwiałem księżnę; siebie miałem za nic, ją tylko stawiając na pierwszem miejscu; wszystkie najokropniejsze nieszczęścia wydawały mi się niczem w porównaniu z tem, że mogę wzbudzić w jej duszy burzę i zgryzoty sumienia. Dusza moja stała dla niej otworem; w oczach naszych malowała się miłość i rozpacz; kochała mnie i pomimo swej woli poddawała się mojej miłości. Ale chciałem, ale mniemałem, że mogę być szlachetnym. Czułem całą mą władzę nad jej duszą i używałem mego wpływu w celu bronienia się przede mną.

Wzbudzałem w niej zaufanie i, ufna w moją szlachetność, nie unikała mnie więcej. Jej spokój wzburzył mnie; przebudziła się we mnie zazdrość, stałem się nieufny, nie oceniałem już należycie jej postępowania. I dlatego, że się uspokoiła, nabrałem przekonania, że nie jest mi oddana. Ośmieliłem się dać jej to do poznania, a ona mogła znieść wszystko, tylko nie brak zaufania do jej stałości. Zwyciężona przez swą miłość, nie kryła więcej swej czułości dla mnie, ani też swych pożądań. Wreszcie przekonałem się, że mnie ubóstwia. Miałem oddalić się na osiem dni, byłem przecie jeszcze w pułku gwardji francuskiej i nic nie mogło uwolnić mnie od warty w Fontainebleau. Było to dla mnie obecnie powinnością ponad siły. Księżna przyszła do przekonania, że może mnie uspokoić tylko oddawszy się mi przed moim odjazdem.

Wzdrygam się do szpiku kości, ale nie mogę pominąć tego, bobym złamał swe przyrzeczenie, które obowiązuje.

Było to 5 listopada 1773 r. Następnego dnia miałem udać się do Fontainebleau. Wbrew swoim zwyczajom księżna zabroniła służbie przyjmować kogokolwiek, nawet

kniazia Repnina. Byłem z nią sam na sam; wyrzucałem jej, że jest ze mną poważna i smutna.

„Masz, weź mnie,“ odpowiedziała: „Użyj wszystkich praw, jakie daje tobie nasza miłość. Chcę tego.“ Rzuciłem się w jej ramiona i zostałem szczęśliwy — a raczej przestępstwo zostało spełnione! Proszę sobie wyobrazić mój smutny los nawet w tej chwili. Nie odczuwała ona rozkoszy, łzy zalewały jej policzki, wreszcie odepchnęła mnie.

„Stało się!“ zawołała: „Niema więc granic mym szaleństwom, będę więc nieszczęśliwa bezgranicznie. Wyjdź stąd natychmiast!“ Chciałem pozostać, ale rzuciła się mi do nóg, wołając, abym — na miłość Boga — wyszedł. Jak piorunem rażony, nie ośmieliłem się protestować dłużej i wyszedłem.

Noc spędziłem w cierpieniach, które mnie tylko są znane.

Rano wpadłem do niej. Zasłony jej łoża były zasunięte. Wstrząsany dreszczem strachu rozchyliłem je.

Była nieprzytomna, a z ust sączyła się krew. Małe pudełeczko z białym proszkiem, leżące obok, wskazało mi, że się otruła. Mniemając, że już nie żyje, połknąłem resztę trucizny. Straciłem przytomność i nie wiem, co się działo ze mną w ciągu doby. Znalazłem się w domu, gdzie miałem mocny krwotok; wstrząsały mną kurcze nerwowe. Krwotoki, powtarzające się kilkakrotnie, uratowały mi zapewne życie.

Pani de Lauzun, moja żona, zajechała po mnie, aby zawieść mnie do Fontainebleau. Byłem w takim stanie osłabienia i odurzenia, że dałem się powodować. Poprosiłem p. de Lauzun, aby zaczekała, ubrałem się z wielkim trudem i dowiedziałem się o zdrowie księżny. Była wciąż prawie

umierająca. Mimo to pojechałem do Fontainebleau. Chodziłem tam jak warjat. Poza godzinami służby nie widywałem nikogo. Byłem istotnie bardzo chory. Po paru dniach otrzymałem list księżny, który podaję niżej.

„O mój najdroższy, o mój najmilszy! Ty, którego ubóstwiam, który włada całkowicie mem sercem, nie jesteś przy mnie! Pojechałeś, jak tego chciałam. O, pocoś usłuchał mnie!

Czyż nie powinnam była zrobić coś, ze względu na obowiązki, które na mnie ciążą. Z okropności, które mnie otaczają, śmierć jest najmniejszą z tych. O gdybyś wiedział, co za przyszłość mnie oczekuje! Straciłam wszelką nadzieję, wszelkie prawa być szczęśliwą. Nie śmiem obiecywać czegokolwiek, zdradziłam przecie moje przyrzeczenia! Oby twoja miłość przynajmniej zastąpiła mi to, co straciłam. Ale pocóż mówię o przyszłości w chwili, gdy konam. Nie będę barbarzyńsko dodawała ci odwagi, abyś żył dalej. Nie wiem, co się ze mną dzieje; coś, czego nie znałam dotychczas. Czuję, że usta moje, na których wciąż czuje twe palące pocałunki, wydają ostatnie tchnienia. Nie trać ani chwili i przybywaj! Umrzyjmy w splocie naszych ramion! Niech szczęście i rozkosz będą ostatnią naszą sensacją! Ale, nie! nie słuchaj tych pożądań, zrodzonych w gorączce! Niech wyrzuty sumienia, które odczuwam, będą karą za mój grzech! Oby uczucie, że odkupiłam go ceną mego szczęścia i życia, dało mi chociaż trochę prawa szanować siebie samą!“

To pismo, skreślone drżącą ręką, wilgotne od łez, doreszty mnie obłąkało. Gdy noc nastała, poleciałem do Paryża. Wezwałem księżnę do lokalu, w którym mogliśmy się widywać bez obawy. Przyszła osłabiona do osta-

teczności, mdlała co chwila. Ja również nie byłem silniejszy. Nie będę opisywał naszego widzenia się, aby nie znużyć tych, którzy jeszcze nie kochali, albo nie będą kochali w chwili, gdy to czytać będą — powiem tylko, że rozmowa, którąśmy wówczas mieli, zrobiła nam obojgu pod wielu względami dobrze, pod wielu zaś źle.

Wróciwszy do Fontainebleau, oddałem się mym obowiązkom, które dłużyło mi się niby cały wiek. Zniecierpliwością oczekiwałem powrotu do Paryża. Parę tygodni zachowanie się nasze było podejrzane, ale szlachetny Repnin nie poznał się na niczem. Przekonany, że księżna rychło opuści Paryż, że ja nie widuję jej sam na sam, przestał się niepokoić, uspokoił się — nawet współczuł mnie.

Ale mylił się. Widywałem od czasu do czasu księżnę, spędzałem z nią sam na sam poza jej mieszkaniem. Ostrożność i umiarkowanie mego postępowania, zdawało się, usunęły niebezpieczeństwa, którego tak obawiała się. Miłość i zmysły mają swe prawa, od których trudno się uchylić. Czyż można odnowić czegokolwiek kochankowi, którego się ubóstwia, szczególniej, gdy niczego nie żąda? Księżna oddała mi się, zrezygnowała ze wszystkiego...

Wreszcie Repnin powziął pewne podejrzenia. Księżna zauważyła, że szpieg z jego ramienia chodził za nią. Wówczas przyszła do przekonania, że lepiej jest zdecydować się nawet na największe przykrości, niż go oszukać. Zdecydowała się wyznać mu wszystko — i tu jedna szlachetna dusza spotkała drugą taką samą. Kniaź Repnin nie pozwolił sobie na żadną skargę, na żadną wymówkę.

„Bądź szczęśliwą!" powiedział jej: „Nie mogę jednak być świadkiem twego szczęścia. Za dwa tygodnie opuszczę Paryż i udam się do Rosji."

Nie mogliśmy wobec tego sprawiać temu szlachetnemu człowiekowi boleści — i powziąłem postanowienie, zdawało się, ponad moje siły, udania się do Chanteloup do p. de Choiseul. Wykonałem je jednak, chociaż cierpiałem szalenie i prawie nie żyłem; księżna pisywała do mnie codziennie.

Powróciłem, gdy Repnin wyjechał. I dziwna rzecz: nie odczuwałem w całej pełni dobrodziejstw swobody. Wciąż przyszłość wydawała mi się czarną, wciąż targała mną obawa, że moje szczęście skończy się rychło. Wciąż układaliśmy plany urządzenia sobie życia tak, aby nie potrzeba było rozstać się kiedykolwiek. Nieraz wydawało się nam, że to jest możliwe, ale zawsze stawały na przeszkodzie jej dzieci. Tak je czule kochała, tak była do nich przywiązana, tak dobrze je chowała! Przyzwyczaiwszy się kochać wszystko, co było bliskie i drogie mej pani, pokochałem serdecznie te dzieci. Gdym je pieścił, oczy moje napełniały się łzami. I wolałem raczej narazić się na wiele niepokojów, niż odebrać im matkę, którą im nikt nie byłby w stanie zastąpić. Księżna odczuła uczucia, któremi była przepełniona moja dusza — i dzięki im jeszcze bardziej przywiązała się do mnie. Wiedziała znakomicie o tem, że oddałbym połowę mego życia, gdyby dała mi jedno z tych drogich dzieciątek, których ojcem czułem się niemal. Nie rozstawaliśmy prawie zupełnie. Dwa razy dziennie odbywaliśmy konno wycieczki, aby uniknąć rozmaitych nieznośnych wizyt.

Wreszcie zbliżył się termin jej odjazdu do Polski. Książę Czartoryski zostawał jeszcze w Paryżu z powodu jakiegoś procesu sądowego.

Postanowiłem odprowadzić ją jak najdalej i w jak największej tajemnicy; jakoż istotnie pożegnałem ją o dwie

mile od Warszawy. Podróż tą odbyliśmy jak najprzyjemniej; księżna była przez cały czas coraz bardziej czuła i coraz milsza.

Chwila rozstania była okropna.

„Mój drogi,“ powiedziała mi: „muszę ci odsłonić tajemnicę, którą z trudem starałam się chować przed tobą. Otóż będziesz miał dziecię, którego tak pożądałeś. Postanowiłam oddać ci najlepszą cząstkę siebie samej: jestem w ciąży. Od czasu naszego związku nie żyłam z mężem. Jestem na tyle odważna, że potrafię wyznać wszystko memu mężowi, jak również uzyskać od niego zgodę na oddanie tobie tego dziecka“.

To wyznanie sprawiło na mnie piorunujące wrażenie, Straciłem przytomność, wpadłem w omdlenie — a kiedy przyszedłem do siebie księżny już nie było!

Ojciec jej męża, który wyjechał na jej spotkanie, zmusił ją, aby mnie pozostawiła, nie czekając, aż oprzytomnieję. Pozostawiła jednak jednego ze swych służących, by się mną zaopiekował. Byłem w takim stanie przygnębienia, że nic nie mogło mnie zeń wyprowadzić. Ani jedząc, ani pijąc, w głębokim milczeniu (nie odezwałem się do nikogo ani jednem słowem) dowlokłem się do Wrocławia, gdzie zatrzymałem się w oczekiwaniu na wiadomości od księżny. Otrzymawszy je, uspokoiłem się cokolwiek i udałem się do Frankfurtu; tu doszły mnie wiadomości o zapadnięciu mego króla na ospę.

W księstwie Dwóch-Mostów dowiedziałem się o jego śmierci. Pomięszała mi ona moje szyki: nie byłem w stanie złożyć mego uszanowania nowemu królowi i musiałem się skierować do legji królewskiej, której byłem pułkownikiem, stacjonującej w Szampanji w Mouzon. Pędziłem tu żywot

w samotności jak najzupełniej i nie widywałem nikogo poza moimi oficerami. Czas dzieliłem między me obowiązki wojskowe i korespondencję z księżną. Każda poczta przynosiła mi list od niej; dowiadywałem się z nich, że źre ją smutek, że jest chora. Wreszcie listy ustały. Zaniepokojony tem, wysłałem do Warszawy posłańca, który sprawił się dobrze. Przywiózł mi wiadomość, że p. Czartoryska zachorowała niebezpiecznie i nie miała przy sobie nikogo, kto mógłby mnie zawiadomić o tem. Stało się to potem, gdy uczyniła to okropne wyznanie mężowi. Przyjął je z wyrozumiałą delikatnością, ale wapory, ataki nerwowe, jakaś śmiertelna nuda i smutek przewlekły, połączone ze zwykłemi objawami ciąży, wprawiły ją w stan godny pożałowania. Gorąco żądała mego widoku, ale nie miała nadziei, że to może nastąpić.

Wobec tego zwróciłem się do p. de Conflans, który był moim zwierzchnikiem, z prośbą o pozwolenie mi udania się na trzy tygodnie na wieś w okolice Frankfurtu — a otrzymawszy je, puściłem się sam w jak największej tajemnicy w podróż do Warszawy.

Ostatniego dnia zbłądziłem i kierowałem się do jakiegoś domu, z którego dochodziło mnie światło. Ku memu największemu zdziwieniu, było to mieszkanie angielskiego ogrodnika, znajdującego się na służbie u księżny. Wiedziałem o tem dobrze, że z łatwością można się dostać do parku powązkowskiego, ale nie chciałem zdradzić swego incognito. Obawiałem się, że zostanę zatrzymany przez jakikolwiek patrol i będę musiał wylegitymować się. Była już godzina jedenasta w nocy. Przeczekałem, aż patrole przeszły i dostałem się do parku, gdzie napadły mnie z głośnem szczekaniem dwa psy, które spuszczano na noc

z łańcucha. Szczęściem jednego z nich znałem, gdyż podarowałem go księżnie w Anglji. Zawołałem nań; Cezar poznał mnie i zaczął się łasić; to uspokoiło drugiego psa i mogłem zbliżyć się do domu. Tu zobaczyłem dwie kobiety spacerujące; jedna z nich weszła do domu, druga zaś skierowała się ku mnie.

Była to p. Parisot, garderobiana, którą poleciłem księżnie.

„Chodź pan“, rzekła do mnie: „serce nie oszukało jej. Czekała na ciebie.“

Za chwilę byłem w objęciach księżny.

„Serce moje zawsze odgaduje twoje czyny. Wiedziałam, że nie pozostawisz mnie na pastwę mych okropnych myśli, że przyjdziesz, że uczynisz mi to moje schronienie milszem, że mnie utulisz!“

Spędziłem w Powązkach dwie doby; wszystko mnie tu zatrzymywało — ale musiałem wracać. Zapewniłem sobie tylko możność znajdowania się przy jej połogu, lub przynajmniej w pobliżu.

Powróciłem do Mouzon cokolwiek spokojniejszy, niż pierwszym razem. Obłożyłem się wszystkiemi, jakie mogłem dostać, dziełami o Polsce, Prusach i Rosji, i na ich zasadzie wypracowałem pewien plan politycznych stosunków tych trzech państw. Wyłożyłem go w obszernym memorjale i posłałem go księciu Adamowi Czartoryskiemu. Bez mojej wiedzy doręczył go on Stackelbergowi, ambasadorowi rosyjskiemu w Warszawie, ten zaś przesłał go swej monarchini. Pisałem tę pracę w nadziei, że może zostanę ambasadorem lub posłem francuskim w Warszawie że w ten sposób będę stale mieszkał w jednem mieście

z księżną, która w zupełności zaaprobowała mój plan i w każdym liście słała mi coraz to nową zachętę.

We wrześniu doniosła mi, że jest mniej zadowolona z postępowania swego męża; że moja bytność stała się mu wiadoma i że obawia się, aby to, co chcę uczynić, gdy będzie rodziła, nie wywołało jakichkolwiek przykrych zajść, ale że nieobecność moja napewno przyprawi ją o śmierć.

W końcu września wyjechałem do Polski. W Strasburgu znalazłem list księżny, przysłany sztafetą, że prosi mnie na wszystko, abym opóźnił swój przyjazd. W Frankfurcie zastałem drugi, który jeszcze wyraźniej zapowiadał złe zamiary księcia i niewątpliwie miał na celu zastraszenie mnie. Nic jednak nie mogło powstrzymać mnie od wykonania powziętego zamiaru. Zatrzymałem się w Toruniu, a do księżny posłałem z listem niejakiego Muszkowskiego, Polaka, którego miałem przy sobie. Przywiózł on mi odpowiedź. Pisała, że, wiedząc, iż jestem tak blisko, nie może nie pożądać mego widoku bez względu na niebezpieczeństwa, które mi grożą; że powinienem dołożyć wszelkich sił, aby nikt nie wiedział o moim przyjeździe; że pani l'Huilier przechowa mnie u siebie; że wreszcie przyjdzie mnie tam odwiedzić.

Nie straciłem ani chwili i puściłem się natychmiast, co koń wyskoczy, do Warszawy. Niepokój, wzruszenie, zmęczenie zmieniły mnie nie do poznania.

„Nie zobaczysz dziś swej księżny“, powiedziała p. l'Huilier, witając mnie: „Ma ona boleści tak mocne, że kazano jej położyć się do łóżka. Prawdopodobnie ustaną one w nocy i będzie ona mogła odwiedzić cię jutro rano.“

Nazajutrz jednak, niestety, bóle powiększyły się; z trudem uzyskałem, że wpuszczono mnie do pałacu Błękitnego,

gdzie p. Parisot zamknęła mnie w wielkiej szafie na suknie, znajdującej się za łóżkiem księżny.

Cierpiała okropnie prawie w ciągu 36 godzin. Słyszałem jej krzyki — i za każdym zdawało mi się, że to już ostatni. Nie będę się kusił nawet na opisanie tego, co działo się w mojej duszy. Był to skutek mej zbrodni, a ta, którą kochałem najwięcej na tej ziemi, była jej ofiarą.

Wreszcie cierpienia ustały, kazano mi wyjść z mego ukrycia i pozwolono wejść do pokoju księżny. Oblałem memi łzami jej lica i nie mogłem wydobyć z siebie słowa nawet.

„Uratowałeś mi życie," rzekła do mnie: „wiedziałam, że jesteś obok mnie i to dodało mi sił i odwagi do zniesienia tego wszystkiego. Czyż mogłam bać się czegokolwiek, będąc pewną, że w razie śmierci tobie oddam me ostatnie tchnienie. Ucałuj to dziecię, które jest mi droższe, niż wszystkie inne. A teraz wyjdź, bo może to mu grozić wielkiem niebezpieczeństwem, jeśli cię tu znajdą. Idź, zamieszkaj w wiosce, którą dysponuję, oddalonej o cztery mile stąd. Weź to pismo, zapewni ci ono dobre przyjęcie u dobrych ludzi, którzy tam mieszkają. Zobaczymy się wkrótce, a zanim to nastąpi codziennie będziesz otrzymywał wiadomości ode mnie." Musiałem usłuchać i udać się do nowego schronienia.

Znalazłem skromny domek, ale tak czysto, tak starannie utrzymany, że graniczyło to z elegancją. Powitał mnie mężczyzna pod lat sześćdziesiąt o budzącym szacunek wyglądzie. Żona jego, trochę młodsza, musiała być kiedyś piękną. Oprócz tych dwojga szanownych starców składały rodzinę dwie młode panie bardzo sympatycznie wyglądające (jedna z nich była w ostatnim okresie ciąży) i młoda

dzieweczka. Po przywitaniu wręczyłem p. Dąbrowskiemu list następujący:

„Panie Dąbrowski, proszę cię, przyjm u siebie oddawcę tego listu. Powierzam ci tego, który mi jest najdroższy na świecie. Spodziewam się, że otoczycie go wszelkiemi wygodami i zachowacie wszystko w jak największej tajemnicy. I. Czartoryska."

„Bądź pan, jak u siebie," rzekł do mnie dobry starzec, przeczytawszy pismo księżny: „Dysponuj nami według potrzeby: jesteśmy tu wszyscy nieskończenie obowiązani księżnej — pani za jej niedającą się opisać dobroć i za dobrodziejstwa, które nam wyświadczyła." Zasnąłem w swym pokoju, nie spożywszy nawet kolacji — a nazajutrz otrzymałem list od księżny z wiadomością, że czuje się lepiej, co uspokoiło mnie ogromnie.

Poszedłem z p. Dąbrowskim na spacer do dość dużego sadu. Podczas spaceru opowiedział mi swoje dzieje.

Był to szlachcic miernej fortuny, która mu jednak w zupełności wystarczała. Ożenił się z miłości, miał kilkoro dzieci i nic nie mąciło mu szczęście. Ale wtem książę Radziwiłł, do którego partji należał już od dawna, wezwał go do udziału w konfederacji barskiej. Poszli z nim również i dwaj młodzi ludzie, zakochani w dwóch jego córkach, chcąc w ten sposób jak najbardziej zaskarbić sobie ich ojca. Niestety wkrótce wszyscy trzej w jednej z bitw zostali ranni, dostali się do niewoli, a potem zesłano ich na Syberję. Majątek zaś ich spalono, zdewastowano i zasekwestrowano. Pani Dąbrowska, pochodząca z okolic, gdzie leżały majątki niegdyś hrabiego Fleminga, ojca księżny, i która w swej młodości poznała ją jeszcze dzieckiem, udała się do niej, rzuciła się jej do nóg i bez trudu pozyskała sobie to serce

szlachetne i współczujące. Księżna z zapałem zajęła się losem nieszczęśliwej rodziny. Uzyskała dla zesłanych przebaczenie i powrót z lodów Syberji, pożeniła kochające się pary, wyrobiła nowożeńcom znakomite posady na Litwie, a staruszkom darowała ładną wioskę, gdzie osiedli uszczęśliwieni i błogosławiąc swą dobrodziejkę.

Zaiste, odkąd żyję z ludźmi, nie widziałem szczęśliwszych od nich i bardziej wdzięcznych.

Codziennie miałem wiadomości od p. Czartoryskiej, a gościnność mych gospodarzy czyniła mi pobyt u nich nader miłym. Wciąż słyszałem błogosławieństwa dla tej, którą kochałem. Cały miesiąc spędziłem w tym sympatycznem zaciszu.

Pewnego dnia, gdy niepokoiłem się brakiem wiadomości, ujrzałem księżnę, która przybyła, zachowując jak najstaranniej incognito. Bóstwo, gdyby zstąpiło z niebios, byłoby napewno mniej czczone, niż ona. Wreszcie pozostawiono nas samych.

„Mój drogi", powiedziała p. Czartoryska: „powinnam ci wyjaśnić wiele. Wystarczyło mi odwagi wyznać wszystko mężowi, jak zamierzałam. Zlitował się nad stanem, w jakim byłam, i nie zrobił mi żadnej — najmniejszej nawet wymówki. „Pozostawię ci to dziecię," powiedział mi wówczas: „ale przysięgnij, że nie zobaczysz już nigdy jego ojca." Łzy były moją odpowiedzią. Czyż mogłam obiecać, że zerwę z tobą? Znasz mego męża: może on mieć chwilę gniewu, zmuszony do tego przez złych ludzi, ale osnowa jego charakteru jest pełna wyrozumiałości i szlachetna. Wcale nie jest zazdrosny i napewno rychło będzie w stanie widzieć ciebie bez wstrętu.

Spędź czas jakiś w Dreźnie lub Berlinie, niech to wygląda jak gdyby Warszawa nie była jedynym celem twojej podróży — a napewno rychło będę znowu ściskała ciebie w moich ramionach." Podczas tej naszej rozmowy córka p. Dąbrowskiego urodziła. Trzymaliśmy ją do chrztu i nadaliśmy jej imiona księżny i moje i to, co sobie przyniosła: Izabella, Armancja, Fortunata. Potem księżna odjechała do Warszawy a ja do Drezna.

Ta okolica jest wreszcie smutna, jak jej władca. Elektorowa natomiast miała duży temperament. Ostrożność, z jaką przyjmowałem jej umizgi do mnie, pozyskała mi uznanie elektora. Razu pewnego elektorowa zdecydowała się przemówić dobitniej: Dopadła mnie we wnęce okna i rzekła: „Jak na Francuza, jesteś za małym galantem, oraz za mało przenikliwym." A ponieważ milczałem, dodała: „Czyż mam pana pytać, by otrzymać chociaż słowo z jego ust? Czyż żadna z kobiet drezdeńskiego dworu nie podoba się tobie?"

„Tak jest istotnie — pani!"

„A to dlaczego?"

„Dlatego, że starsze mnie nie tentują, a młodsze wszystkie mają kochanków."

„Czy wszystkie? Zdaje mi się, że mylisz się. Znam takie, które nie mają kochanków, a które napewno przystałyby na ciebie, gdyby mogły mieć pewność, że twoja miłość będzie gorąca. Zgadnij, która?" — dodała z zachęcającem spojrzeniem.

Tę rozmowę, rzucającą się wszystkim w oczy, przerwał mu elektor, zbliżywszy się do nas.

Nie chcąc wywołać drugiej, podobnej, i narażać elektorowej na pokusy, opuściłem Drezno i udałem się do Berlina. .

Księżna wciąż jeszcze nie pozwalała przyjechać do Warszawy. Pilnie tedy studjowałem sprawy wojskowe i rządy wewnętrzne w Prusach. Wysłałem w tych sprawach kilka memorjałów do p. marszałka de Muy i do p. de Vergennes, ministra spraw zagranicznych. Panna v. Hartefeld, dama dworu królowej pruskiej, która w swoim czasie kochała się w p. de Guines, wiedząc o tem, że jestem ożeniony z jego siostrzenicą, uważała za swój obowiązek okazywać mi wiele przyjaźni. Rychło zawiązała się między nami bliższa znajomość, zwierzyła mi się ze swego przywiązania do p. de Guines — a wkońcu zawróciła sobie mną głowę. Tymczasem listy księżny równie, jak przedtem, często zaczęły się stawać coraz obojętniejsze i coraz dalej odsuwały termin mego przyjazdu do Warszawy.

Nawiązałem ściślejsze stosunki z p. Harris, ministrem angielskim, i towarzystwo jego było mi najmilszem w Berlinie. Wprowadził mnie wszędzie i rychło zżyłem się znakomicie z całem towarzystwem nadsprewańskiem. Po powrocie króla z Poczdamu często składałem mu swoje attencje, a książę Henryk zaszczycał mnie swoją przyjaźnią. Bywałem bardzo często u niego; razu pewnego powiedział mi, że król życzy sobie bardzo, abym postarał zostać ministrem francuskiem przy jego dworze, i że ze swej strony uczyni wszystko, co może ułatwić mi to. Ale to nie odpowiadało moim planom, podziękowałem tedy gorąco za łaskę i odmówiłem tej propozycji, podając jako przyczynę moje przywiązanie do karjery wojskowej i świadomość, że nie posiadam talentu politycznego. Książę Henryk kilkakrotnie ponawiał swoją propozycję, ale ja stale odpowiadałem odmownie.

W tym czasie panna v. Hartefeld, którą często widywałem, zainteresowała się mną na dobre. Nie ukrywałem przed nią, że kocham kogo innego, ale to nie zmniejszyło jej przywiązania do mnie. Byłem tem bardzo wzruszony i uczułem dla niej wiele wdzięczności. Uważałem, że powinienem odpłacić jej za to przyjaźnią. Pocieszałem ją, współczułem jej, ale nie zostałem jej kochankiem i nie przestałem kochać nawet na chwilę mojej księżny. Tymczasem, sądząc z pozorów, zapatrywano się na to inaczej; ogólnie przyjęto, że kocham pannę Hartefeld i doniesiono o tem p. Czartoryskiej. Ta uwierzyła tej bredni i napisała do mnie list, w którym, twierdząc, że powinniśmy zerwać nasze stosunki, prosiła, abym nie przyjeżdżał do Warszawy zupełnie.

Tak odprawiony od księżny, małom nie umarł z rozpaczy. Dałbym był wówczas życie za kwadrans rozmowy z nią. Tysiąc projektów, jeden niedorzeczniejszy od drugiego, snuło mi się po mojej biednej głowie. Wreszcie powodowany miłością do księżny i obawą skompromitowania jej, zdecydowałem się usłuchać i powrócić do Francji. Ale w wigilję mojego wyjazdu zjawił się u mnie jako kurjer p. de Rullecour, oficer francuski, pozostający w służbie polskiej, z listami od księcia Adama, wzywającymi mnie, abym, dając mu dowód przyjaźni, przybył na dobę do Warszawy w sprawach pierwszorzędnej wagi, dodając, że łatwo, gdy zechcę, będzie mi zachowywać incognito i ukryć się odpowiednio. Nie zawahałem się ani chwili i wyjechałem tegoż wieczora, wysławszy wszystkich mych ludzi

do Lipska i zachowawszy przy sobie tylko jednego strzelca, Polaka.

Wziąłem powóz otwarty, jako lżejszy, i aczkolwiek było bardzo mroźno tak, że wiele osób wówczas zamarzło, ledwo to odczułem. Nadzieja zobaczenia księżny w zupełności zawładnęło mojemi zmysłami. Przyjechawszy do Warszawy, zamieszkałem u p. de Rullecoura w Marywillu. Książę Adam zjawił się u mnie natychmiast. Powiedział mi, że zakomunikował mój memorjał o sprawach polsko-rosyjskich Stackelbergowi, że ten posłał go swej monarchini, na którą wywarł wielkie wrażenie, i że z tego powodu chce pokonferować ze mną o nim. Odpowiedziałem księciu, że z chęcią zobaczę się z ambasadorem rosyjskim, ale że nie mam żadnych pełnomocnictw od rządu francuskiego i że będzie mi cokolwiek trudno porozumieć się z człowiekiem, którego nie znam. Stackelberg odwiedził mnie w nocy, rozmawialiśmy długo a w wyniku tej rozmowy powstał memorjał, który posłałem w odpisie do Paryża, a on do Petersburga.

Trudno mi było ukrywać się czas dłuższy, aż powrócili nasi kurjerzy z odpowiedzią. Wobec tego prezentowałem się u dworu i złożyłem wszędzie wizyty.

Pani Czartoryska bawiła wówczas na wsi i powróciła dopiero we dwa dni. Ujrzałem ją w teatrze. Nie umiem wyrazić wzruszenia, które ogarnęło mnie, gdym ją zobaczył. Złożyłem jej wizytę w loży. Przyjęła mnie bardzo ozięble i ledwo po wielu prośbach otrzymałem pozwolenie zobaczenia się z nią sam na sam.

Gdym się stawił nazajutrz w oznaczonym miejscu, nie chciała zupełnie wysłuchać mych wyjaśnień i zażądała, żebym oddał wszystkie jej listy i portret, który mi była ofiarowała. Zrobiłem, czego żądała i zamknąłem się zrozpaczony w swem mieszkaniu. Następnego dnia wezwała mnie do siebie, znalazłem ją bardziej spokojną i mniej surową. Musiałem opowiedzieć z najmniejszemi szczegółami o mych stosunkach z panną v. Hartefeld, spalić przy niej wszystkie listy i portret tej ostatniej i złożyć przyrzeczenie, że nie odpowiem ani słowa na listy, które od niej otrzymam, czego dotrzymałem święcie. Panna v. Hartefeld jest jedyną kobietą, względem której zachowałem się nieprzyzwoicie. Wyrzucam to sobie często dotychczas.

Kosztem tego wszystkiego zyskałem przebaczenie, którego udzieliła mi księżna z wdziękiem niesłychanym, właściwym jej we wszystkiem.

Ale, gdy chciałem wejść w posiadanie mych dawniejszych praw, zaprotestowała kategorycznie.

„Obrażasz mnie," powiedziała: „będziesz zgubiony, jeśli w twych ramionach cośkolwiek zburzy moje szczęście!"

Pan Branicki, wielki hetman koronny, kochał się w niej wówczas bardziej, niż kiedy indziej, okazując to jej każdego dnia w coraz to niedorzeczniejszy sposób. Księżna traktowała go źle i rzadko go przyjmowała, ale całe towarzystwo wojewodziny połockiej, w którem p. Czartoryska często bywała, było mu całkowicie oddane. Tylko w tym jednym domu nie starano się mnie mieć. Do tej kamaryli przyłączyła się księżna Poniatowska i księżnę oblężono tak ze wszystkich stron, że zabiegi obronne, które musiała czynić, zabierały nam wiele czasu, podczas którego mogliśmy się widywać.

Drażniło mnie to, a mniemając, że było w tem dużo i jej winy, poskarżyłem się jej Lulli.

„Ależ kocha pana" — odpowiedziała mi ona: „ale uważa pana za skarb, o który trzeba być zazdrosną. Trochę zadrości — a będzie znowu twoją, jeszcze czulszą. Doda to jej także odwagi do usunięcia tego wszystkiego, co dzieli pana od niej. Odwiedzaj towarzystwo i postaraj się, aby którakolwiek z pań zajęła się tobą. Zrobi ci to dobrze!"

Na szczęście poszedłem za tą radą. Kochanek pani Czartoryskiej nie mógł niezaciekawiać innych pań; niektóre z nich czyniły mi awanse bardzo pochlebne. Między niemi była pani Potocka, starościna tłumacka, kuzynka pani Ogińskiej, hetmanowej wielkiej litewskiej, w której domu spotykałem ją stale. Udałem, że się nią zająłem poważnie, księżna zauważyła to, ale nie powiedziała mi nic o tem. Pani Potocka była wielką kokietką, szczególniej w stosunku do mnie. Na jednym z balów maskowych towarzyszyłem jej, a ona, opierając się o moje ramię, prawiła mi o tem, pod jakiemi warunkami zgodziłaby się mnie oddać a nawet udać się ze mną do Francji. Nie przypuszczałem, że to już tak daleko zaszło, i bynajmniej do tego nie dążyłem. Starałem się na to nic nie odpowiadać, unikałem wszystkiego, co mogłoby tę sprawę zaostrzyć. Wtem tuż koło mnie porwała się jakaś maska i zniknęła w tłumie. Nie zwróciłem na to większej uwagi i rychło opuściłem salę balową. Nazajutrz, jak i zwykle, pojechałem do Powązek, najmilszego dla mnie miejsca spaceru. W chwilę po mnie przyjechała księżna, ale, zoczywszy mnie, rozkazała zawrócić swemu pojazdowi. Chciałem się do niej zbliżyć, lecz rzuciła rozkaz woźnicy, by zaciął konie.

Nie rozumiałem, co to znaczy. Odwiedziłem ją trzy razy w ciągu dnia, nie przyjęła mnie. Wówczas napisałem

do niej, że nie pojmuję, dlaczego tak postępuje. Otrzymałem odpowiedź, która przyprawiła mnie o zawrót głowy.

„Widziałam na własne oczy, słyszałam na własne uszy to, czemu nie uwierzyłabym. Zdradzasz mnie z panią starościną tłumacką."

„Zgubiłaś mnie", zawołałem do Lulli.

Wróciłem do siebie i wpadłem w gorączkę najokropniejszą. Lulli odwiedziła księżnę i powiedziała jej: „Cóżeś zrobiła! Lauzun umiera. To twoja wina." Pani Czartoryska, posłyszawszy to, odwiedziła mnie i spędziła u mnie cały dzień i noc, ale nie poznawałem jej. Gdym oprzytomniał, zobaczyłem ją klęczącą u mego łoża, zalaną łzami. Gwałtowne przejście od rozpaczy do radości o mało nie kosztowała mnie życia. Przychodziłem do zdrowia z trudnością, ale czuła i troskliwa opieka, jaką otoczyła mnie księżna, kazała mi przenosić mą słabość nad moc, którą straciłem.

Pan Branicki zaczął mi zazdrościć, skarżył się na to głośno, a nawet groził, że mnie zabije.

„Nie kocham waćpana," rzekła mu księżna: „a nie karz mi nienawidzieć cię."

„Dość tego, moja pani," wybuchnął Branicki: „przekonam się, czy p. de Lauzun godzien jest tego skarbu, za który zapłaciłbym całą swą krwią!" „O nie bój się," odparła księżna z godnością: „wie on aż nadto dobrze, że życie jego jest związane z mojem; potrafi je obronić!"

Pan Branicki uspokoił się i nic się nie stało. Pomimo tego uprzedzano mnie, że dla hetmana niema nic świętego, że powinienem obawiać się tych łotrów, któremi się stale otaczał. Radzono mi, abym nie chodził bez ochrony. Nie

przedsiębrałem jednak żadnych ostrożności oprócz tej, że byłem dobrze uzbrojony, i nic mi się nie stało...

Jednego wszakże wieczoru, podczas balu maskowego, pan Branicki jakgdyby szukał zaczepki.

„Skończymy raz, panie hetmanie," powiedziałem mu wtedy: „wystarczy pięć minut pobytu naszego na Woli. Jest to bardziej godne nas obu, niż kłótnie na balu."

Przystał na to i wyznaczyliśmy sobie godzinę ósmą rano nazajutrz. Cała Warszawa dowiedziała się jednak o tem, a król, dotknięty tem srodze, posłał o godzinie szóstej rano po pana Branickiego i miał z nim długą rozmowę, po której hetman zjawił się u mnie w licznej asyście, że cofa wszystkie obraźliwe dla mnie słowa i że prosi o przyjaźń, która opiera się na szacunku, jaki ma dla mnie. Cóż miałem czynić? Przyjąłem te przeprosiny, a książę Kazimierz Poniatowski, brat króla, kazał się nam ucałować i pogodzić. Pani Ogińska przysłała mi nazajutrz wspaniałego bachmata tureckiego, parę pistoletów i szablę z zapewnieniem, że to wszystko przyniesie mi szczęście.

Tegoż wieczoru wrócili kurjerzy, wysłani do Paryża i Petersburga. Imperatorowa zgodziła się na moje propozycje, napisała do mnie list bardzo łaskawy i przysłała pełnomocnictwa bardzo daleko idące. Pan de Vergennes zaś wzywał mnie do jak najprędszego powrotu. Wyznaczyłem mój wyjazd na trzeci dzień, a wigilję spędziłem w Powązkach, gdzie jadłem obiad z księżną. Długo ściskałem ją w swych objęciach. Musiałem się jednak rozstać z nią. Opuszczałem Powązki z złem przeczuciem, że nie ujrzę jej już nigdy.

W Wersalu stanąłem w końcu marca 1775 r. Pan de Vergennes, którego nie znałem, przyjął mnie z dużem

zainteresowaniem, wynikającem naturalnie z ważności tych pertraktacyj, które nawiązałem. Pochwalił mnie gorąco i zapowiedział rychły wyjazd mój do Petersburga w charakterze ambasadora, ale rychło zmienił swą dyspozycję. Nie chciał, abym był ambasadorem przy dworze Katarzyny, czego życzyła ona sobie bardzo, i nie życzył sobie, aby ważna ugoda została zawarta przeze mnie. Zaczął zwłóczyć z dnia na dzień, wyszukiwał trudności i wreszcie zupełnie, jak gdyby zapomniał o całej sprawie. Daremnie deptałem mu po piętach... W tym samym czasie przegrałem proces o osiemdziesiąt tysięcy lirów renty, o co zresztą nie dbałem, jak wogóle o wszystkie sprawy pieniężne. Wreszcie zerwał się mój stosunek z panią Czartoryską.

Listy księżny zaczęły przychodzić coraz rzadziej, były coraz krótsze, coraz obojętniejsze. Doniesiono mi z Warszawy, że zawładnęła nią zupełnie koterja wojewodziny połockiej i że pan Branicki jest stałym u niej gościem. Napisałem list ostry, lecz moje uwagi przyjęła źle i nieprzychylnie. Zrozpaczony odpowiedziałem listem pełnym uniesienia i indygnacji. Zażądałem mego dziecka. „Nie chcę," pisałem: „aby wychowywali je moi wrogowie". Nie otrzymałem go. Pogniewaliśmy się ostatecznie i przerwaliśmy korespondencję i wszelkie stosunki. Opanował mnie głęboki smutek. Pozostawałem wciąż wierny pani mego serca i zupełnie obojętny na wdzięki i wszelkie awanse, jakie czyniła mi wówczas dość ładna, malutka pani M....

III

SMUTNA HISTORJA KASZTELANOWEJ

(1792—1795)

Antoni Andrzejowski: Ramoty Starego Detinka o Wołyniu. Wilno 1914. T. I.

Po powrocie z Galicji (w r. 1792) mój ojciec objął zarząd majątku kasztelanowej Bierzyńskiej, majątku pięknego, choć na Polesiu. Pani to była książęcego rodu, siostra Adama i Kaliksta Ponińskich, wdowa, lat ledwie czterdzieści liczyła, piękna jeszcze i do piękności szlachetność uczuć i wysokie ukształcenie łączyła. Była matką trojga dzieci. Starsza córka Eleonora od lat dwóch wydana za pana Jaraczewskiego, zamożnego obywatela w Poznańskiem. Młodsza Apolonja, czyli jak ją zwykle z francuskiego zwano, Poneta, miała dopiero lat piętnaście. Najmłodszy z rodzeństwa Adam, trzynastoletni młodzieniec, w Collegium Nobilium na naukach zostawał. Wszyscy troje odznaczali się pięknością familijnych rysów i jeszcze piękniejszemi przymiotami umysłu i serca. Wychowanie odebrali staranne i szczęśliwym trafem osoby, trudniące się pierwiastkowym ich wychowaniem, nie zachwyciły goszczącej już u nas mody myślenia i tłumaczenia się po francusku i w uczniów swoich znajomość tylko obcego języka, a uczucia i sposób myślenia nasz ojczysty przelać potrafiły. Nim Adasia do szkół oddano, wychowaniem jego zajmował się powinowaty kasztelana p. Węgierski, brat sławnego poety, wysoko uczony człowiek. Z tęgością ducha i słodyczą charakteru łączył szczególniejsze zaniedbanie siebie i z litością spoglądał na niedowarzonych zwolenników ówczesnej fran-

cuskiej filozofji, spaczone opinje narodowe. Mało dbający o siebie, poświęcony dla drugich, skromny a gruntowny w sądzeniu, miły w towarzystwie, p. Węgierski powszechną życzliwość i szacunek posiadał. Bawił ciągle w domu kasztelanowej, a znający się na wszystkiem, we wszystkiem był jej poradą.

P. Poneta miała jeszcze guwernantkę, Francuskę p. Robertin. Dobra to była osoba, ale oprócz swego języka, nie wiele umiała. Nie młoda już i nie piękna, ale panna, z wielkiem staraniem zawsze ubrana była, bo nadzieję znalezienia męża, choćby to był „*un ours de Polonais*", jedyne jej marzenie, życie jej utrzymywało. Jak zwykle w owych czasach kasztelanowa miała liczny fraucymer, na którego czele była panna stołowa, p. Dziusówna, z rodziny szlacheckiej, nie młoda, bez pretensji, gruntownie rozsądna i poczciwego serca. Zaprzyjaźniła się z moją matką i w ścisłej były zażyłości. Przy kasztelanowej bawił bratanek jej, wojewodzic Poniński. Miły z postaci, ukształcony podług ówczesnej metody, posiadał wszystkie przymioty do świetnienia w salonach potrzebne. Wychowanie brał od Francuzów, których napływ do Polski pod ostatniem panowaniem był już niepospolity. Wojewoda chciał mieć syna Polakiem, ale wojewodzina, mając silny wpływ na męża, potrafiła przeważyć swojem zdaniem i podług swego widzimisię wychowawszy jedynaka, jednego z takich napływowych Francuzów, wyprawiając za granicę na wojaż, za mentora mu dała. Podróżując po obczyźnie nie dla nauki, a dla rozrywki, wojewodzic wywiózł ze swoich kilkoletnich wędrówek nienawiść i wzgardę dla swojej ojczyzny i wszystkiego, co polskie, zasady ówczesnej francuskiej filozofji, przewrotność Włochów, zarozumiałość angielską i ze-

psucie obyczajów wszystkich europejskich rządów. Gdy wrócił, rodzice już nie żyli, objął więc piękny majątek i przywiązał się do dworu króla Stanisława. Mieszkał w Warszawie, żył na wielką skalę i żył wolno, a prowadzeniem się swojem niewiele się różnił od znanego podówczas w całym kraju Henryka Niemirycza. Wojewodzic tak się umiał zastosować do wszelkich form towarzyskich i tak posiadał dar przybrania na siebie charakteru, jakiego okoliczności wymagały, że istotny charakter jego trudno było odgadnąć, ale w gruncie rzeczy był dumny, zarozumiały i przewrotny, stąd to, ile w salonach był poszukiwany, unikano jego przyjaźni, a nieprzyjaźni lękano się jak śmierci. Co najgorsze, żadnej nie miał religji. Bawiąc przy kasztelanowej, potrafił łatwo zjednać sobie jej ufność i przywiązanie. Dama ta podobnie jak on ukształcona, czuła i egzaltowana, naczytana Russa i Woltera i angielskich romansów, nie mogła być obojętną na zabiegi i nadskakiwania nader miłego bratanka. Panna Robertin słodkie do niego robiła oczka, a i panny Apolonji młode serduszko czuło może więcej, niż braterski afekt dla kuzyna, ale stosunki i dość bliskie pokrewieństwo upoważniały jakoś to przywiązanie i poufałość.

Dom kasztelanowej mało był uczęszczany, bo sąsiedztwa nie wiele było w okolicach Ludwipola. Najbliższy Niewirków, po wyrznięciu Wyleżyńskich opustoszały, oczekiwał przybycia p. rejenta kor., który miał tę majętność po bracie odziedziczyć. Z Tuczynem nie było stosunków, bo p. wojewoda sieradzki, lubo z kasztelanem był w przyjaźni, z Ponińskim nie sympatyzował. Stecki chor. kor., tertio voto ożeniwszy się z młodą i piękną kasztelanką Popielówną, jeszcze był w miodowych miesiącach. Pla-

terowie, Worcelowie, ks. ks. Lubomirscy byli dalszymi. Brat kasztelana, podkomorzy, mieszkał daleko w Andruszówce pod Berdyczowem i, zdaje się, bratowej nie bardzo sprzyjał. Siostra kasztelanowej, księżna Kasprowa Lubomirska, stęskniwszy się swojem wdowieństwem, świeżo wyszła za szambelana Winnickiego i kasztelanowa z nią dla takiego mezeljansu zobojętniała. Pruszyńscy, Lubienieccy, Trzebuchowscy, Jabczarski składali najbliższe sąsiedztwo, ale szlachta dawna i zamożna nie bardzo sprzyjała arystokratycznemu domowi, wojewodzica nie lubili, a pańskich progów zbijać nie byli skwapliwi. Towarzystwo więc ludwipolskie nieliczne było, z tem wszystkiem nie zbywało na ubiegających się o rękę pięknej Ponety, ale ona o tem i słyszeć nie chciała, a matka znajdowała córkę zanadto młodą do zmiany stanu, i tym sposobem zbywano konkurentów.

Pałacu w tych dobrach kasztelanowa nie miała, ale w Ludwipolu był dom obszerny i porządny, choć bez piętra i wcale wygodny. Każdy z domowych miał swój apartament a i dla gości jeszcze kilka pokojów zostawało. Rodzice moi w oficynie mieszkali, osobne swoje wiedli gospodarstwo, ale matka zmuszona była najwięcej przebywać we dworze, bo kasztelanowa zajęta już to interesami z moim ojcem, już to lekturą z wojewodzicem, Ponetę z jej guwernantką przy mojej matce zostawiała. Nie rozumiała matka moja po francusku, bo przy niej mało nim mówiono, Francuska nawet lubiła mówić po polsku, choć mową swoją wszystkich śmieszyła. W takim składzie rzeczy rok prawie upłynął. Ojciec mój szczęśliwie rządził, kasztelanowa zadowolona była, miała kasę pełną, bo wydatki połowy intraty nie dochodziły, oddawała sprawiedliwość mojemu ojcu, a do matki coraz się więcej przywiązywała, a nawet nam, dzieciom, często na pańskich pokojach bawić się wolno było.

P. wojewodzic zawsze przyjemny, układny, zajmował się czytaniem książek francuskich z kasztelanową, prowadzał ją na spacery lub towarzyszył w konnych przejażdżkach. Panna Poneta z guwernantką czytała, lub grała na klawikardzie. P. Węgierski polubił moich rodziców i częstokroć prostą z nimi rozmowę lub pogadankę z babką moją o Litwie przenosił nad modne, jak je nazywał, wolteryzmy salonowe. Wojewodzic niecierpiał Węgierskiego, bał się go nawet, bo w nim widział surowego sędziego swego sposobu myślenia, ale że wielce był cenionym od kasztelanowej, wojewodzic okazywał mu wysoki szacunek. Poznawał się na tej komedji Węgierski i za okazywane grzeczności dworską obojętnością odpłacał.

Jesień w naszych stronach zwykle najpiękniejszą jest porą, zwykle bardzo ciepłą. Jednego takiego w październiku wieczora kasztelanowa, wróciwszy z przejażdki konnej z wojewodzicem, uczuła się niezdrową, a opuściwszy kompanję, udała się do swego pokoju i matkę moją ze sobą wezwała. „Kochana pani Detiukowa!“ — rzeknie pomięszana, ściskając matkę moją za rękę — „spuść drzwi na klucz, bo mam ci powierzyć ważne odkrycie, nie wiem nawet, jak ci to powiedzieć!“ Zamilkła, spuściła głowę, a po niejakim czasie, zanosząc się od płaczu, wołała: „Czy mego stanu nie zauważyłaś?“ — „J. W. pani ma dość ciała.“ — „Tak! ale ta otyłość czemże jest? Nieszczęśliwa, znowu matką będę!“ i jeszcze mocniej płakać zaczęła. Osłupiała na to wyznanie p. Detiukowa, nie śmiała oczu podnieść, ledwie oddychać śmiała. — „Przeraża cię moje wyznanie? może i pogardzasz mną, wszak prawda?“ — Matka moja

płakała. — „O! widzę współczucie we łzach twoich! tak, twoje poczciwe serce lituje się nad nieszczęsną! Słuchaj więc dalej. Ojcem tej biednej istoty jest wojewodzic, którego kocham, uwielbiam! Miłości mojej zwalczyć nie umiem, ani chcę nawet. Ach! on potrafił do serca mego przemówić, opanować je i od wszystkiego oderwać! Czytaliśmy razem „Nową Heliozę“ Russa!“ — Jęk przerwał mowę kasztelanowej, pochyliła głowę na piersi i jeszcze rzewniej płakać zaczęła. Matka moja ucałowała jej ręce płacząc i łzy obydwóch zmięszały się, ale po chwili jakby natchniona zawołała: „Pani jest niezależna, wolna, czemużby z ulubionym śluby małżeńskie nie miały cię połączyć i miłości waszej uprawnić?“ Podniosła głowę kasztelanowa, w oczach jej podziwienie, nadzieja, radość nawet z pod łez błysnęły.

— „Małżeńskie śluby! O jaki duch niebiański tę myśl ci natchnął i pocieszające słowa do ust podał? Czemuż wśród tylu marzeń moich namiętności, marzenie o ślubach małżeńskich nigdy do myśli mojej się nie wcisnęło! — „Boś pani o to nigdy myśli do Boga nie wznosiła,“ — odpowiedziała nieśmiało matka moja: „Bóg widzi nasze błędy i skory do odpuszczenia, czeka tylko, ażebyśmy się jak dzieci przed ojcem ukorzyli!“ — „O! prawda, prawda! oddana całkiem uczuciom ziemskim, o Bogu zapomniałam. Ale tyś we mnie natchnęła bogobojnego ducha! Dzięki ci! nigdy serce moje tych braterskich rad nieprzypomni, nigdy nie zapomnę religijnego twego dla mnie współczucia. Tak, poślubię Karola, i odtąd pomna na moje ułomności modlitwami i dobremi uczynkami winę moją zgładzić będę się starała. Ale dla spełnienia tego zamiaru trzeba mi opuścić te okolice. Szanowny nasz pasterz, choć powinowaty, pozwolenia swego odmówi, bo nas z wojewodzicem związki krwi łączą, a wyznać przyczynę zniewalającą mię do tego małżeństwa, za nic, nigdy, nigdy się nie odważę! Powracaj do salonu, oświadcz, żem niezdrowa i nikogo dziś widzieć nie mogę. Ponetę sam odprowadź do jej pokoju, a przyszlij mi swego męża, potrzeba mi z nim o tym interesie i o innych się naradzić.“ Matka moja ucałowała rękę kasztelanowej i wyszła.

W salonie nie było nikogo, w przyległym pokoju p. Węgierski z p. Robertin żywą prowadzili rozmowę, a gdy weszła matka moja, nieznacznym skinieniem wskazał na buduar kasztelanki. Drzwi były otwarte, lampa alabastrowa księżycowym blaskiem słabo oświecała przedmioty: kasztelanka siedziała na sofie, piękne jej ramiona zarzucone były na szyję klęczącego przed nią wojewodzica, twarze ich zbliżone. Można sobie wyobrazić jakie na ten widok było wchodzącej zdumienie. Tu dopiero miała przed oczyma występną matkę, tu jeszcze występniejszą córkę. Zerwała się Poneta żywo i, rzuciwszy się na szyję mojej matce: „Ty mię nie zgubisz! — zawołała z płaczem: — „ty nie wydasz tego, coś tu widziała!“ Gdy tych słów domawiała, wojewodzic z piorunującym wejrzeniem i wybladłem obliczem tak się do mojej matki odezwał: „Masz w. pani teraz w ręku los całej naszej rodziny i jednem słowem możesz zerwać wszystkie węzły krwi, miłości i honoru. Ale jedno słowo z ust w. pani, a biada wam i dzieciom waszym! Ja w połowie tylko mścić się nie umiem!“ To rzekłszy wyszedł. Kasztelanka, nie wypuszczając matki mojej ze swego objęcia — „O! przyrzecz mi, przyrzecz, — wołała: — że tę tajemnicę w sercu swojem ukryjesz! u nóg twoich oto błagam!“ — to mówiąc osu-

nęła się na kolana. Matka podchwyciła klękającą i przyciskając ją do piersi swoich, — „Panno Poneto! — rzeknie — ten sekret odtąd staje się moim, bądź spokojna! milczeć umiem i cierpieć potrafję.“ — „Nie lękaj się pani uniesień Karola: nie, on mnie kocha, on mojemi uczuciami powodować się będzie, zaufajmy!“ — Ścisnęły sobie ręce, matka moja odprowadziła Ponetę do jej pokoju, a tej całej sceny nie było świadka żadnego.

Wzruszona i utrudzona tylu tak dziwnemi wieczora tego okolicznościami, wcześnie udała się na spoczynek, ale zasnąć nie mogła. W godzinę wrócił ojciec, stąpał po cichu, aby żony nie zbudzić, ale usłyszawszy, że czuwa. — „Ty nie śpisz — rzekł — wielką ciekawość przynoszę.“ — „Cóż takiego?“ — „Kasztelanowa wybiera się do Warszawy, może nawet na mieszkanie.“ — „Mówiła mi o tem“ — odparła matka, ale ze słów męża zmiarkowała, że tajni istotnej kasztelanowa nikomu powierzyć nie chce. — „A wiesz z jakiego powodu?“ — „Żeby wyjść za wojewodzica.“ — „To pokazuje się, nam obojgu ten sekret powierzony. Mnie poleca zupełny zarząd majątku i interesów wszelkich, jutro jadę z panią do Łucka, gdzie ma przed aktami przyznać mi plenipotencję.“ — „Daj Boże tylko, ażeby ten związek przyniósł jej szczęście“ — rzekła smutnie moja matka.

W dziesięć dni potem dziedziniec zapełniały powozy, rój ludzi uwijał się po dziedzińcu, ci wynosili kufry i paki, drudzy układali je na powozy i bryki, wszędzie był ruch, było działanie, ale był ład, a mój ojciec był wszędzie. Kiedy już wszystko gotowe było do wyjazdu, kasztelanowa wezwała rodziców moich do swego gabinetu, gdzie nikogo nie było, i tak do nich przemówiła: „Żegnam was, moi dobrzy przyjaciele, i żegnam z żalem i za wami i za moim

kochanym Ludwipolem. Dziękuję wam za waszą tak poczciwą dla mnie przychylność, a tobie, kochana pani Detiukowa, za dochowanie sekretu. Odjeżdżam, unosząc z sobą wdzięczność dla was i szacunek, zostawiam spokojna mój majątek pod okiem w. pana, bo w ciągu jego tu pobytu przypatrzyłam się uczciwości i gorliwemu działaniu w zarządzie dóbr moich i odjeżdżam z tem przekonaniem, że los mojej fortuny w ręku przyjaciela złożyłam. Jeżelibyś miał w czem jakąś wątpliwość, naradzaj się z p. Węgierskim, który moim i waszym jest przyjacielem. Skoro wyjadę, proszę zaraz przenieść się do tego dworu i jak w domu sposobu życia nie zmieniać. Bądźcie zdrowi i mnie zawsze życzliwi! przyjmijcie uściśnienie i te bagatele na pamiątkę.“ To powiedziawszy, uściskała z rozrzewnieniem obojga, ojcu wręczyła śliczny złoty repetjer Gugenmusa, a matce błam pięknych lisów i czarny atłas na szubę. Ucałowali oboje ze złami ręce dobrej pani, a matka dodała: „J. w. pani pozwoli mi jeszcze parę słów powiedzieć?“ — „Mów! mów! pewnie to jest jakaś rada i pewnie dobra.“ — Pani przyjechawszy do Warszawy zaraz weźmiesz ślub z p. wojewodzicem?“ — „Niezawodnie!“ — „Czy nie byłoby przyzwoiciej, ażeby od tego dnia p. Poneta, aż do wiadomego pani terminu bawić mogła u ciotki której, lub u siostry?“ — „Słusznie mówisz i bardzo słusznie, ale z Winnicką nie jesteśmy dobrze, Bironowa za granicą, więc ją zawiozę chyba do Leosi, a gdyby i to nie dało się zrobić, to przez ten czas zabawi u przełożonej Wizytek, mojej ciotki. Dziękuję ci serdecznie za to przypomnienie!“ I jeszcze raz uściskała matkę moją. Przeszła pani do sali, a z nią i moi rodzice, kasztelanowa żegnała zostających dworskich i oddawała ich w opiekę mojemu

ojcu. Poneta rzuciła się na szyję mojej matki i całując ją w twarz, szepnęła do ucha: „Pamiętaj o mnie!“ — „Zawsze!“ — odpowiedziała moja matka, oddając uściśnienie za uściśnienie. Wojewodzic zimną grzecznością pożegnał moich rodziców, wejrzeniem tylko przemówił do mojej matki: lękaj się i milcz! W karecie usiadła kasztelanowa z córką, wojewodzic i p. Węgierski, który odprowadził ich do Uściługa, w koczu umieścili się Francuska, Dziusówna i p. Lesiecki odniedawna gatunek konfidenta niby marszałka wojewodzica, w rzeczy samej pieczeniarz, próżniak i intrygant. Dziusówna, nim siadła do powozu, pobiegła jeszcze raz pożegnać moją matkę, ucałować ręce babuni i wziąć na drogę jej błogosławieństwo. Wzięła adres mego ojca i jeszcze raz uściskawszy obojga: „Bądź zdrowa Kasiu! bądźcie zdrowi! — rzeknie — nie zaniedbam żadnej okazji doniesienia wam, co się z nami dziać będzie.“

Podług żądania kasztelanowej, rodzice moi przenieśli się zaraz do dworu, i my, dzieci, swobodnie bawiliśmy się w tych senatorskich komnatach. Nadeszła zima, zbliżały się święta, a po nich kontrakty. Korzystna sprzedaż drzewa z nietkniętych siekierą lasów ludwipolskich, podniesiona arenda, sprzedana pszenica szyprowi, łowczemu Jabczarskiemu, przysposobiły piękną gotówkę w kasztelańskiej kasie. Ojciec mój zajmował się gorliwie gospodarstwem i interesami, a w wolniejszych chwilach, z jednym lub drugim sąsiadem zapolował. Bo też go lubili sąsiedzi, a osobliwie Lubienieccy szczególniej mu sprzyjali. Dwa miesiące upłynęło od wyjazdu pani, a ojciec mój żadnego nie miał od niej zgłoszenia. A chociaż wcześnie zawiadamiał o przygotowanych na kontrakty 20,000 czerw. zł., któremi z mocy

plenipotencji miał prawo rozporządzić, zapytywał jednak, co z temi pieniędzmi ma zrobić? ale ani list, ani na doniesienie o złożonej sumie żadnej nie odebrał odpowiedzi...

Nadeszły święta, zjechał mój wuj z bawiącemi przy nim siostrami i ze mną, i nasze kółko familijne zwiększyło się. Prócz naszej rodziny zaprosił ojciec imieniem swej pani miejscowego plebana, rachmistrza i kluczowego ekonoma, nieżonatych, a tem samem domu swego nie utrzymujących. Starodawnym zwyczajem mniej dwunastu potraw na wieczerzę wigilijną u szlachty być nie mogło, ubodzy nawet na sześć się zdobywali. Z łaski kasztelanowej wigilja nasza była pańska. Gdy już podano wieczerzę, ojciec, wziąwszy talerzyk z opłatkami, podszedł z nim do swojej matki. Powstała staruszka, przeżegnawszy się wzięła opłatek i postąpiła z nim do plebana, a potem błogosławiąc syna, synową i wnuki, łamała z nim ten chleb uroczysty, potem z przybraną rodziną, mojemi ciotkami i wujem, dla których macierzyńskie miała uczucia, szła dalej do zaproszonych oficjalistów, nakoniec do usług naszych. Rodzice moi tąż samą koleją za matką postępowali. Uroczysty to obchód! Przy łamaniu się opłatkiem wynurzają się najżyczliwsze uczucia, jednają poróżnieni i równają wszystkie stany, dzieci u nóg rodziców składają serdeczne życzenia i odbierają równie serdeczne błogosławieństwa. Tak było i u nas: oboje rodzice i nas troje dzieci, pokłoniliśmy się u nóg naszej sędziwej babuni i z opłatkiem błogosławieństwo jej odebrali. Było nas osób dwanaście: na pierwszem miejscu siedziała nasza babka i ks. pleban, my dzieci na szarym końcu. Stół sześcioma jarzącemi świecami był oświetlony. Długo ciągnęła się wesoła wieczerza i podawano już kucję,

kiedy pod oknami odezwały się skrzypce, gęśle i kilka głosów zgodnie zakolendowało: „Anioł pasterzom mówił.“

Noc była śliczna, zimowa, czysty i jasny księżyc lał swe srebrzyste światło po ubielonych grubą warstwą śniegu Słuczy nadbrzeżach, droga sanna była wyborna, mróz niewielki, powietrze ciche. Łaskawi sąsiedzi, uwinąwszy się wcześnie u siebie z wieczerzą, nadjechali pocichu i kolendą pozdrowili. Wyszedł ojciec na spotkanie miłych gości i z całą naszą narodową uprzejmością do pokoju zaprosił. Goście nasi, była zacna rodzina Łubienieckich, trzech braci i trzy siostry, dwóch Trzebuchowskich, których siostra była za średnim Łubienieckim. Nastąpiły przy opłatku życzenia i przyjacielskie uściski. Wszedł kielich ze starym malinnikiem, a z nim i buteleczka nie dzisiejszego węgrzyna postąpiła. Damy matka kawą i zimowemi gruszkami przyjmowała, a panny Łubienieckie nas, dzieci, wybornemi pierniczkami i domowemi suchemi konfiturami zasypywały. Podochoceni muzykanci uderzyli w skrzypce i gęśle; dźwięcznie brzmiały pod palcami Kamińskiego żelazne struny, w ręku ociemniałego Lewandowskiego miło śpiewały skrzypce, czternastoletni syn mu wtórował. Obaj ci muzykanci była szlachta z ludwipolskiego zaścianka, znajomi w okolicy i od wszystkich lubiani. Kolenda szła za kolendą, młodsi Lubienieccy i Trzebuchowski, mój wuj i rachmistrz Wojakowski ochoczo stanęli do koła.

„Za pozwoleniem! przepraszam ww. państwa!“ — ozwie się powstawszy ze swego krzesła babka nasza — „Nie tak bywało za moich czasów na Litwie, u ś. p. ciotki mojej, pani pułkownikowej Kościowej, Panie świeć nad jej duszą. Mości wojski! proszę z sobą, — mówiła do starszego Lubienieckiego. — Nie dla tego żebyś nas laty przewyższał, ale żeś najdystyngowańsza między nami osoba, służę w. panu dobr.; panie Lewandowski! „W żłobie leży!“ Zabrzmiały struny tę poważną kolendę, wszyscy patrzą co to będzie; staruszka, zacząwszy śpiew drżącym głosem, posuwa się kilka kroków, wszyscy podziwiają, że kolenda w taniec się zmienia, poglądają po sobie, ale babka posuwa się dalej i stanąwszy przed obrazem Narodzenia, który w pośród innych główną ścianę sali przystrajał, zatrzymała się i z wniesionemi do obrazu dłońmi prześpiewawszy parę strof, w czem już i cała kompanja dopomagała — „Teraz panie Lewandowski narodowego“ — rzeknie, a obracając się do mojej matki — „Kasiu kochana, pani synowo, wyręcz mię do tańca! a w. pana dobr.“ — mówiła dalej — „przepraszam za moją śmiałość, ale przypomnijcie sobie, że żłóbek nowonarodzonego Zbawiciela i króle i pasterze, zarówno śpiewem i pokłonem witali. Nie od tegoż i nam, szlachcie, zacząć należało?“ — Ucałował wojski ręce staruszki, i — „P. Łukaszu!“ — zawołał — „szafuj wina, wypijemy zdrowie mamy dobr., a my tymczasem z namiestnikową dobr. jaki raz i drugi wywiniemy się narodowego. P. Lewandowski, kościuszkowskiego!“ — Musnął wąsa, poprawił wyloty i posunął w pierwszą parę z moją matką, za nimi ruszyli i drudzy.

Po skończonym polskim, młodzi stanęli mazura w cztery pary, starsi pociągali węgrzyna, to za zdrowie naszej dobrej babuni, to za gospodarstwa, to za reszty kompanji, i miła, przyjacielska toczyła się pogadanka, to o tem, to owem, nareszcie z kolei i o kasztelanowej wspomniano. Zerwał się z krzesła p. wojski i uderzając się po głowie: „P. Łukaszu! — zawołał — przepraszam, zapomniałem, wszak to ja do ciebie mam ekspedycję. Oto listy z Warszawy.

które przed trzema dniami na poczcie w Warkowicach odebrałem.“ — W samej rzeczy był to list do mego ojca od pani, a drugi do mojej matki od Dziusówny. Rozpieczętował zaraz ojciec pismo, w którem kasztelanowa dziękowała za pomyślny kierunek interesów, polecała, żeby pieniądze złożyć w kantorze banku Teppera, mającego być w Dubnie na kontraktach i wziąć od niego weksel. Z resztą rządzić tak, jak mu rozsądek i uczciwy jego charakter każą. Trybu życia nie zmieniać i na porządne utrzymanie się kasy jej nie oszczędzać. Pozdrawia żonę i dzieci. Podpisano L. P. Pan wojski czytał wraz z moim ojcem, a doczytawszy się podpisu: — „Cóż to? — zapyta — omyłka jakaś? P. zamiast B.?“ — „Nie, nie omyłka, istotna prawda.“ — „Cóż to za zmiana?“ — „Zmiana smutna, — ozwie się moja matka — p. kasztelanowa jest tylko wojewodzicową.“ — „Jakto? wyszła za pana Karola?“ — zawołano chórem. — „Tak, — rzecze mój ojciec — wiedzieliśmy o tem przed ich wyjazdem, to ich nawet i do Warszawy popędziło.“ — Tfu! — zawoła p. wojski — oszalała, czy co? No! potrzeba jej zdrową głowę... — „No.“ — „Ale daj Boże, żeby jej nieboraczce na złe to nie wyszło!“ — rzeknie starsza panna Lubieniecka. — „Mnie się ten p. wojewodzic — mówił dalej p. Wojski — wcale nie podobał. Nie widziałem, żeby się kiedy choć przeżegnał w kościele, a Woltera na pamięć umie.“ — „Co się p. brat dziwuje, — ozwie się stary Trzebuchowski, — cały świat wie, że on farmazon, a czyż farmazoni wierzą w Pana Boga?“ — „A prawda!“ — odezwali się drudzy. Tymczasem w kościółku odezwały się dzwony i muzyka umilkła. — „Na pasterkę kto łaskaw“, — rzekł mój ojciec i całe towarzystwo udało się do kościoła. Po mszy, na

której wszyscy jednogłośnym śpiewem, kolendą Boga chwalili, goście wymogłszy przyrzeczenie, że babka moja, rodzice i cała nasza rodzina, jutro do p. wojskiego na obiadek przyjacielski zjadą, odjechali. Nasi udali się na spoczynek do domu.

„Przeczytaj!“ — rzeknie moja matka, podając ojcu niedoczytany jeszcze list Dziusówny. Ojciec czytał te słowa: „Wstrzymywałam się z pismem do was, oczekując waszej odezwy, a jeszcze bardziej, ażeby zebrać więcej dla doniesienia wam o nas. Piszę nareszcie i, ażeby was ten list doszedł, sama go na pocztę odnoszę, bo mi się zdaje, że są tu u nas osoby, chcące wszelką komunikację z Ludwipolem rozerwać, ale o tem potem. We trzy tygodnie po przyjeździe naszym do Warszawy pani nasza zmieniła swój tytuł prywatnie i wieczorem u Kapucynów ślub wzięła z wojewodzicem. Poneta, starościna Bilska i ja asystowałyśmy tej ceremonji. Pan Węgierski, którego pani uprosiła, że nas do Warszawy odprowadził, nieodstępny wojewodzica p. Lesiecki, jakiś ogromnie wąsaty p. rotmistrz i jakiś Niemiec, czy Francuz, licho tam jego wie, bo nie katolik, jak to widać było z jego prezentacji w kościele, ze strony wojewodzica świadkami byli. Poneta zachodziła się od płaczu w czasie ślubu matki, na twarzy wojewodzica było coś takiego nieludzkiego, że patrzeć na niego było strasznie. Adasia na ślubie nie było. Nie myślcie jednak, że wszystko poszło łatwo i gładko i że p. młody w pretensjach swoich był tak umiarkowany, jak się okazywał w sentymentach gorący. O! nie, było przeciwnie! Sentymenta ostygły, a pretensje rozgorzały. Trzy dni trwały narady i targi, nie mało było sporu i swarów. Pan Węgierski z całą swoją zacnością utrzymywał stronę pani; stanęło na-

koniec na tem, że pani jedną wieś w Poznańskiem oblubieńcowi darować musiała. Odbył się więc ślub, ale nie powiem wesele, bo smutek jakiś i przymus na wszystkich twarzach rozlane były. Pani nawet, lubo tak pragnęła i tak potrzebowała tego połączenia, ze zmiany położenia nie kontenta. Wszyscy jesteśmy jak pod obuchem, nikt nikomu nie ufa, a mnie mimowolnie dreszcz jakiś po ciele przechodzi, jak pomyślę, co dalej jeszcze będzie.

P. Jaraczewska ze słabą matką męża wyjechała do Włoch na całą zimę. Trzeciego dnia po ślubie pani z Ponetą odwiedziły księżniczkę Annę, przełożoną Wizytek, ciotkę swoją, i na usilne (niby) jej naleganie Ponetę na trzy miesiące tam zostawiła. Gdy wróciła do domu sama, zadziwił się wojewodzic i pół z gniewem, pół z szyderstwem zapytał żony, co z córką zrobiła? — „Ciocia żądała mieć Ponetę u siebie na parę miesięcy." — „A toż co znowu, na parę miesięcy? Mamy teraz mały karnawał, ona się tam zanudzi." — „Ciocia jest tak dobra, tak ją kocha, że znajdzie sposoby rozerwania jej, a nawet zabawienia." — „Przeorysza Wizytek!" — rzekł drwiąc wojewodzic. — „Księżniczka Anna" — odparła z powagą pani. — „Ależ w klasztorze — mówił łagodniej — jakież zabawy? Czyż to są bale, te świetne bale stolicy, na których wyższy świat się zbiera, na którychby Ponetka pięknością swoją brylować mogła." — „Ponetka jeszcze za młoda do tych balów, a gdyby nawet dorosła była, z kimżeby teraz pokazać się mogła? Ty wiesz, że zdrowie moje na tych balach bywać mi nie pozwala. Więcej ci powiem, Ponetka ochotnie przy babuni została." — Nic więcej nie odpowiedział wojewodzic, ale widziałam, jak się nachmurzył, zagryzł usta, nie małżonka

czułego okiem spojrzał na żonę i wyszedł. O! niema tu miłości, niema i spodziewanego szczęścia, daj Boże! żeby choć spokojność została. Pani mówiąc ze mną, nie tai się, że żal jej za Ludwipolem, wspomina was z życzliwością, nieraz łzy ją obleją, ale się nie użala, cierpi, ale tego dać poznać nie chce. Święta się zbliżają, życzę wam przepędzić je zdrowo i wesoło, zacząć rok podobnie i nadal wszystkiego dobrego — Tekla Dziusówna." — „O! to już miesiąc jak ten list pisany, data listu kasztelanowej późniejsza. Chwała Bogu! jeszcze to wszystko dobrze" — mówił mój ojciec, składając list — „obaczymy, co dalej będzie."

Na kontrakty do Dubna wyjechał mój ojciec z pięknym zapasem dukatów. W rzeczy samej został już kantor Teppera zawiadomiony o przywiezionej sumie, wręczył więc ją do banku i odebrane weksle wysłał zaraz pocztą do Warszawy, do kasztelanowej, od której jednak na ten raz przez Teppera żadnego pisma nie odebrał...

Po powrocie ojca do domu wszystko szło podawnemu. Po zapustach i matka z Korca wróciła, a z Warszawy żadnej wiadomości. Tymczasem rzeczy krajowe szły gorzej, konfederacja targowicka działała silnie, bo i król do niej, niepomny na zaprzysiężoną konstytucję 3 maja, przystąpił. Wojska pruskie weszły już do Wielkopolski i już głucha wieść chodzić zaczęła o nowych zaborach sąsiednich na naszej biednej ojczyźnie. Napływ wojsk rosyjskich coraz się powiększał i na Ludwipol też szły pułki...

Jużeśmy potem przechodu wojsk nie mieli. Ucichło wszystko, ale na straszniejszą burzę się zanosiło. Prusacy zajęli Wielkopolskę i już o podziale nowym biednej naszej ojczyzny mówiono! Smutno, wśród smutnych wieści czas uchodził, a u nas z Warszawy żadnej wiadomości jak

niema, tak niema. Nareszcie około ostatnich dni kwietnia wrócił p. Lesiecki i pierwszą wiadomością z ust jego była wiadomość o drugim podziale Polski i o wyjeździe króla do Grodna. Wręczył potem mojemu ojcu list wojewodzica w tych słowach: „Interesa nasze tak się złożyły, że wyjeżdżamy do Poznania i dalej. Majątek poleski puściliśmy w dzierżawę p. Lesieckiemu, jemu więc WMPan oddasz zarząd dóbr, kasę i papiery, a sam wolny od obowiązku u nas, innego szukać możesz; póki go nie znajdziesz pozwala mu się mieszkać w dworskiej oficynie. K. P." Zmartwił taki list moich rodziców, tem bardziej, że od kasztelanowej ani słowa. Rada w radę, ojciec tegoż samego dnia oddał wszystko p. Lesieckiemu, mieszkania nie przyjął i na zaścianku blisko miasteczka, u wdowy po oficjaliście Zawadzkim, siostry Dziusówny, najął porządny dworek, gdzieśmy się wygodnie umieścili.

Wróciła wiosna. Piękna, ciepła kwietniowa pogoda ożywiła naturę, drzewa się rozwijały i w bliskim lasku pełno już było wiosennych kwiatów, a że to już był ostatni tydzień przed Wielkanocą to i ja byłem do domu z Korca przywieziony. Dzień był śliczny; rodzice, babka i gospodyni domu siedzieli w ganku, my biegaliśmy sobie po niewielkim, ale czystym dziedzińcu. Wtem z poza domu pokazał nam się kozak dworski: był to Szelest, który z panią jeździł do Warszawy, znajomy nam dobrze, bo nieraz mnie na ręku nosił i bawił. „Szelest, Szelest!" — krzyknęliśmy wszyscy troje. Obrócili się rodzice. Kozak oglądając się ostrożnie na wszystkie strony: — „A można?" — z cicha zapytał. — „Chodź! chodź, mój kochany! — zawołał ojciec — nie bój się." Podszedł kozak, nisko się pokłonił, każdego w rękę pocałował. — „Cóż tam u was, masz jaki

list?" — „Mam, od p. Dziusówny. O, niedobrze tam u nas w Warszawie. Pełno zgrai, a pani, od kiedy poszła za p. Wojewodzica, zawsze płacze po kątach, a on na wszystkich swarzy się, łaje, na panią fuka; jedna tylko panna kasztelanka jego się nie boi, ale jej teraz niema, jeszcze w klasztorze, to też pan strasznie się gniewa, a z madamą coś raz wraz szwargoczą. Jeszcze to było jako tako, póki był p. Węgierski, ale on po zapustach wyjechał w Krakowskie i u nas teraz takie nieszczęście." — Rozpieczętowała matka list Dziusówny, w którym donosi, że ostatnich dni lutego pani powiła syna, że na wojewodzicu nie było widać ojcowskiej radości i że nawet wymógł na żonie, ażeby w maju dziecię odesłane było z mamką do dóbr poleskich, lub oddane było komu z sąsiadów. „Pani żądała, żeby tobie oddać go zupełnie na wychowanie, ale wojewodzic ani chciał tego słuchać. Dlaczego syna usuwa od starań i pieszczot matki, od swojego oka jest zagadką, której nikt odgadnąć nie zdoła. Mały ma imię Juljusz i śliczne dzieciątko! Z tego, na co tu patrzę, przewiduję, że nas jeszcze coś okropniejszego czeka. Mamy wyjeżdżać do Poznania. Pani smutna, wojewodzic coraz nieznośniejszy, wziął panowanie nad wszystkiemi, jedna tylko Poneta mu nie ulega. P. Węgierski nas opuścił, jakże to opuszczenie czujemy! On umiał jeden trzymać despotę na wodzy. P. Eleonora wróciła z Włoch i wzywa nas na wieś do siebie, jutro wyjeżdżamy, a tam zabawiwszy czas jakiś, do Poznania na mieszkanie. Coś tu bardzo często i o Berlinie mowa, czy nie myślą i tam się udać? O! upadam do nóg, pomiędzy szołdrów, lutrów, jechać nie myślę, a jeżeli mię do Ludwipola nie odeślą, to tu zostanę i albo dogodnego sobie miejsca szukać będę, albo wstąpię do klasztoru. Ale,

ale, jeszcze jedna rzecz: Posesja Lesieckiego jest tylko komedją, a istotnie z narady jego z wojewodzicem wypadło, ażeby się was pozbyć, bo pani mówiła, że z waszej porady Ponetę wywiozła i że do powrotu siostry gościem była u matki, na co się wściekał wojewodzic i na was się pomścił. Pani długo na wasze usunięcie zgodzić się nie chciała, ale po wyjeździe p. Węgierskiego, dla spokoju domowego ustąpić musiała. Kazała mi wam to napisać i upewnić, że w jej sercu też same przyjazne uczucia na zawsze zachowa. — Bądźcie zdrowi! Do zobaczenia, daj Boże. T. D.“ — I Szelest o tym wyborze mówił i to nie uszło jego uwagi, że wojewodzic i kasztelanka mają się do siebie i że nawet sama pani, zdaje się, to zauważyła. Szelest, uwolniony od służby dworskiej, miał pozwolenie od samej pani służyć u mego ojca. Przyjął go chętnie, bo był przywiązany do nas, zręczny i stateczny chłopiec, a ojciec, mając przed sobą częstą podróż dla szukania obowiązku, właśnie takiego sługi potrzebował. Po świętach ojciec odwiózł matkę i mnie do Korca, siostry z babką zostawił, a sam to wyjeżdżał, to wracał, szukając obowiązku.

W czerwcu matka wróciła do Ludwipola...

W końcu lata jednego wieczora pod nieobecność mojego ojca, po odmówionych pacierzach, wszyscy siedzieliśmy sobie na ganku, wtem otwierają wrota, krakowska bryka z budą zajeżdża prosto przed ganek, z niej wysiada dama porządnie ubrana i rzuca się w objęcia mej matki, a potem p. Zawadzkiej. „Dziusówna! Siostra!“ zawołały obie razem. W rzeczy samej była to Dziusówna, zadziwił wszystkich jej przyjazd, a po mocno wypakowanej bryce poznać było można, że już zupełnie do domu wróciła, co i natychmiast oświadczyła siostrze. „O! nie macie wyobrażenia okropności, na jakie przez te kilka miesięcy oczy moje patrzały!“ — „A kasztelanowa? — zapytała żywo matka moja: — „cóż się z nią dzieje?“ — „Módl się za nią!“ — „Jakto, nie żyje?“ — Żyje ciałem, ale umysł jej uległ pod ciężarem trosk i zgryzot. Zwarjowała!“ — „Jak? co? mów, mów, kochana Teklusiu!“ — „Pisałam do was, że się wybieramy do Poznania, i tak się stało. Zabawiwszy w Omęcinie u p. starościny Eleonory najprzyjemniejsze dwa tygodnie, na usilne nalegania wojewodzica wyjechaliśmy na mieszkanie do tego przeklętego Poznania i, szczęśliwie stanąwszy, rozlokowaliśmy się w kamienicy naszego pana i od pierwszego dnia uczuliśmy nad sobą żelazną jego rękę. Poneta miała zostać u siostry, ale wojewodzic tak umiał owładnąć wolą swej żony, że córkę z sobą wziąć zmuszona była. O! czemuż Bóg nie natchnął ją stałością i uporem w tej okoliczności! Teraz odkryło się jawnie, cośmy dotąd tylko podejrzewali: wojewodzic kocha się w pasierbicy i jej wzajemność posiada. Zaślepiona matka długo tej intrygi nie dostrzegała i nikt jej o tem ostrzec się nie poważył. Piekło wrzało w domu przez dwa miesiące, nakoniec jednej nocy wojewodzic i kasztelanka zniknęli. Co się u nas wtedy działo, opowiedzieć nie umiem. Bóg nas natchnął przytomnością i męstwem uzbroił. Posłałam po ks. prałata Wolickiego, koligata i wielkiego przyjaciela pani, i sztafetę wysłałam do p. Eleonory. Trudno było znaleść środki wlania jakiegokolwiek pokoju do duszy nieszczęśliwej żony i matki, ani słodkie i bogobojne refleksje ks. prałata, ani najczulsze starania i pieszczoty drugiej córki nie wywołały uspokojenia w udręczonym macierzyńskiem sercu. Ale to, co nas czekało, było jeszcze straszniejsze. Starościna zabrała nas

na wieś; tam otoczyła matkę najrzewniejszą i najtroskliwszą opieką i usuwała wszystko, coby jej ranę rozdrażnić mogło. kasztelanowa opuściła ten pierwszy wybuch silnej rozpaczy, zimna tylko i cicha boleść została. Serce uciśnione we łzach ulgi nie miało, sen ją odstąpił, umysł upadał pod ciężarem cierpienia. Obojętna na wszystko, na wszystko zimnym okiem spoglądała, a o ile pierwej wyrzekała na męża i córkę, tyle teraz wspomnienia ich unika. Religja nie przyszła w pomoc udręczeniu i nie otarła łez rozpaczy. Dwa tygodnie przeszło bez żadnej odmiany. Ledwie kiedy na kilka minut sen zamykał jej oczy i natychmiast budziła się z nowem cierpieniem, tem straszniejszem, że w ponurem milczeniu. Cierpiało serce, umysł upadał, ciała jedno zdrowe i czerstwe zostało. Wyobrazić sobie nie możecie, jak w pośród tych udręczeń piękną była. Na jej twarzy ani wieku, ani śladów cierpienia nie widać było. Ale nadeszły dni okropne. Była to niedziela. Po przepędzonej bezsennej nocy przy pani, poszłam tylko się przebrać do mego pokoju, lecz zaledwie bieliznę zmieniłam i narzucić zdołałam suknie, aż wbiega pokojowa p. Eleonory z krzykiem: „Ach! p. Dziusówna! biegnij, ratuj moją panią, bo umiera!“ Nie wiem już, jak wleciałam do pokoju starościny, zastałam ją leżącą na kanapie w okropnej opresji serca. Mąż z całem przywiązaniem i najczulszą troskliwością niósł jej ratunek. Skoro mię spostrzegła. — „Dziusiuniu!“ — zawołała: — „Poneta została kalwinką i ślub wzięła z Karolem!“ — „A poczwary! — przerwała opowiadanie babka moja — o Boże! i Ty to cierpisz! przeklęci!“ — I jam toż pomyślała, a możem i wyrzekła, — mówiła dalej Dziusówna — tego nie pamiętam, bo com uczuła, opisać nie umiem. Uspokoiłam nięco starościnę

i gorzko zapłakawszy, pierwszem mojem staraniem było otoczyć kasztelanową ostrożnością, ażeby ta wieść do niej nie doszła. Ani na krok jej nie odstępowałam, tem więcej, że p. Eleonora nie miała ani dosyć sił, ani dosyć męstwa odwiedzić matkę. Sam starosta podzielał czas swój między żonę i kasztelanową; a to serce anielskie, ta dusza szlachetna oddała się cierpieniom drugich. Kilka dni tak przeszło. Jednej nocy, o Boże! straszno wspomnieć... siedziałam przy pani, nie imał się sen moich oczu, snuły się czarne myśli, do modlitwy ducha zebrać nie mogłam. Już było po północy, dziewczyna służąca weszła po cichu, dając znać, że w przyległym pokoju staruszka jakaś chce ze mną mówić. Ze wstrętem jakimś słuchałam tego wezwania, odprawiłam dziewczynę i zostałam przy pani, ale po chwili pokazała się we drzwiach uboga, głucha staruszka, którą pani bardzo lubiła i wiele ją wspierała. Podeszłam ku drzwiom, dając jej znak, żeby się nie odzywała, bo kasztelanowa od wyjazdu Ponety pierwszy raz spokojnie usnęła. ‚Pójdź, odpocznij trochę w drugim bliskim pokoju, ja tu posiedzę i pani pilnować będę.“ Nie bardzo opierałam się jej oświadczeniu, bo znałam ją i nieraz już w słabościach pani przesiadywała z nami po nocach, ani spojrzałam na twarz staruszki w ledwie słabo jedną lampą oświetlonym pokoju. Dawszy się namówić do spoczynku, zostawiłam ją na mojem miejscu i w przyległym pokoju, rzuciwszy się na sofę, mocno zasnęłam. Jak długo trwał mój sen, powiedzieć nie potrafię, ale krzyk przeraźliwy w pokoju pani moje uszy uderzył i ze snu obudził. Zerwałam się i jednym krokiem byłam przy jej łóżku. O! straszno powiedzieć, wspomnieć straszno! Lampa stała na gierydonie przy łóżku, pani w najokropniejszych konwulsjach miotała się na pościeli. Sta-

ruszki już nie było, a na posadzce koło stolika leżał list otwarty i zmięty. Porwałam go bez myśli i w pierwszych słowach wyczytałam przyczynę okropnego stanu kasztelanowej. Nieprzytomna, zamiast nieść ratunek cierpiącej, krzyczałam na cały głos, wzywając pomocy. Zbiegli się słudzy, nadbiegli starostwo. Na szczęście doktór przyjaciel ich i sąsiad, z własnej woli odwiedzający państwa, znalazł się pod ręką i zajął się troskliwie ratunkiem kasztelanowej. W niemem osłupieniu czekaliśmy wyroku doktora. Po dwóch śmiertelnego oczekiwania godzinach, wróciło życie, ale zdrowie umysłu nie wróciło! Gorączki żadnej nie miała, ale nie poznawała nikogo, mówiła od rzeczy, śmiała się, śpiewała, zrywała się z łóżka. — „Puśćcie mnie! — wołała — puśćcie na wesele Ponety! O, idą do ślubu, moja córka z Karolem, jaka piękna para! jak pięknie postrojeni! Ale gdzież mój Adaś? gdzież mój Julek? O, biedna matka nie warta była mieć go koło siebie! O, biedny Julek! biedna matka! Ale wy cicho! cicho! nic, nic o tem nie gadajcie, bo będzie wam od p. wojewodzica, będzie bieda, wielka bieda!... Hej, Karolu! dalej na twojem z Ponetą weselu, dalej ze mną Menuette à la Reine! ze mną! Czegóż się odwracasz? Nie poznajesz Ludwiki? Czym ja nie twoja? Twoja i nowa Heloiza... A nasz Julek, śliczne dziecię! niedźwiedziom ludwipolskim oddamy go na edukację, i znowu będzie wesele Ponety z Julkiem. Wesele, wesele! muzyka graj skocznego!" — Takie i tym podobne brednie plotła kasztelanowa, śpiewała, klaskała w ręce, zrywała się do tańca i znowu wpadła w bezsilność i okropne osłupienie. Po trzech dniach nakoniec oświadczył doktór państwu, że warjacja jest zupełnie zdeklarowana, że ten stan obłąkania, pochodzący z tak silnych uderzeń na umysł, jest

nieuleczalny, a że konstytucja ciała mocna i żadnym defektom nie podlega, choroba ta długie lata pociągnie. Biedna p. Eleonora ciężko ten cios odcierpiała, aniby więcej na zgon matki uczuć i boleć mogła. Nie odstępowała jej jednak i ja z nią czuwałam, ale pilnując chorej pani i sama na zdrowiu upadać zaczęłam, musiałam więc żądać uwolnienia. Wiedziała to starościna i choć z żalem na moje oddalenie zezwoliła. Panią umieszczono na pensji u Sióstr Miłosierdzia, a mnie, hojnie udarowaną, ze łzami pożegnawszy, przez Galicję do domu wyprawili. O! złote to serce tych pp. Jaraczewskich. Wspomnieniu ich dobroci w sercu mojem towarzyszy zawsze modlitwa, aby im Bóg błogosławił. Z Brodów odesłałam im powóz, ludzi i konie, a tym Żydem najętym tu do was przyjechałam." — „A list od kogo był? Cóż się ze staruszką zrobiło?" — zapytała moja matka. — „List był bez podpisu i bez daty, a staruszki nigdzie odszukać nie mogli."

Tyle było opowiadania Dziusówny, przerywanego częstemi łzami opowiadającej i słuchaczów, — i na tem się skończyła smutna historja kasztelanowej.

IV

W GROBIE KOCHANKI

(1793–1794)

I. Fryderyk Szulc: Polska w roku 1793. Warszawa 1900.
II. Stanisław Wodzicki: Wspomnienia z przeszłości... Kraków 1873.

I. ... „Julja z Lubomirskich Potocka była niezrównanego wdzięku. Gdy jej maleńka śliczna nóżka, unosząca zaokrąglone elastyczne kształty utoczonej postaci, zwijała się w mazurku i zdawała ledwie dotykać ziemi, gdy z rąk jednego w objęcia drugiego mężczyzny przelatywała, unoszona, porywana, wiedziona, gdy naostatek wróciła do swego tancerza, który ją gwałtownie porywał i okręcał się namiętnie, a jej głowa jak ze znużenia spadała mu na ramię lub pełna wdzięku rozkosznego a jednak skromnego na piersi się chyliła, lub jak gdyby zwyciężona uczuciem wylewała je w spojrzeniu na swego towarzysza, — otaczające ją tłumy, wstrzymując oddech, całe oczyma ją pożerały, jako nieporównaną. „Ah! grand Dieu! que Julie est belle!“ — wyrywało się im z przepełnionych zachwytem piersi to ciszej, to głośniej“.....

II. ... „W połowie sierpnia (1794), ile spamiętać mogę, miałem osobliwe spotkanie. Pojechałem był do Tarnowa za jakiemiś interesami w cyrkule; wtem zbliża się do mnie znajomy żyd faktor i powiada w sekrecie, jako książę Sanguszko, generał, przyjechał tu dziś rano od Kościuszki. Zaintrygowała mię ta wiadomość. Poznajomiwszy się z nim jeszcze w obozie i nawet wyświadczywszy mu pewną przysługę, za którą bardzo mię polubił, tem śmielej pośpieszyłem do niego, żeby się dowiedzieć, co go sprowadza

w nasze strony. Przyznam się, że zjawienie się jego zatrwożyło mię. Miałyżby rzeczy być tak zdesperowane, że już je opuszczają tacy ludzie, jak on?...“

Przychodzę do pałacu i pytam, gdzie młody książę? Jakiś oficjalista, który znać nie znał mię, zaczął bąkać pod nosem: „Niema księcia; nie wiem, może wyszedł; tu księcia nie było“ — i tym podobne sprzeczności; i gdy tak chce mię z kwitkiem odprawić, spostrzegam przez drzwi szklane chodzącego księcia po ogrodzie. Nie uważając na zmieszanego oficjalistę, poskoczyłem doń i powitałem zdaleka.

On, jakby z głębokiego zadumania ocknięty, spojrzał ku mnie i, biegnąc z otwartemi rękami, zawołał: „Jak się masz kolego! co tu robisz? Jakżeś się o mnie dowiedział?...“

Odpowiedziałem, że przez wszystkowiedzącego faktora.

„Te bestje Żydy“, rzekł książę: „słyszą nawet jak trawa rośnie. Chciałem sekret zachować, ale przed Żydem nic się nie utai; szczęściem, że poczciwy... Za parę godzin odjeżdżam...“

— „Dokąd jedziesz?“

„Jużci do obozu. Tylko nie wiem, gdzieby się najbezpieczniej można przeprawić?...“

— „W tem mógłbym ci usłużyć. Porobiłem sobie teraz stosunki z strażnikami i często-gęsto przeprawiam to listy, to osoby, to broń i amunicję. Jeżeli ci dogodzę, zawiozę cię do siebie...“

„A toś mi zdjął ciężki kamień ze serca; dałem słowo honoru Kościuszce, że pojutrze stawię się w obozie.“

— „Widać nie liczysz na przeszkody. Przecież musisz się przedzierać przez oddziały Moskali i Prusaków, którzy zajmują Sandomierskie...“

„A jakżeż, przedarłem się do Krakowa!“

— „Jakto, byłeś w Krakowie? w paszczy samego smoka?“

„Zgadłeś, że omal nie wpadłem w paszczę, bo smok już mię trzymał w pazurach... ale nie mówmy teraz o tem... w drodze ci opowiem.“

Po rannem śniadaniu książę miał konferencję ze swoim komisarzem, który mu przyniósł trzos złota, co niedługo trwało, bo dobrze przed południem wyjechaliśmy z Tarnowa.

Widząc księcia smutnym i często wzdychającym, nie chciałem go rozrywać rozmową, lecz on sam, jakby pragnąc ulgi ściśniętemu sercu, przerwał milczenie i opowiedział mi swoją przygodę:

„Jest temu tydzień, jak byłem na poczcie w Warszawie, gdzie, odbierając listy, zaszedłem w pogadankę z dyrektorem, bardzo zacnym człowiekiem, i od niego dowiedziałem się, że znana ci zapewne, choć nie z osoby, to ze sławy swych wdzięków Julja (Potocka Janowa z Lubomirskich) zostaje bez nadziei życia... Na dowód pokazał mi list świeżo odebrany z Krakowa. Jeżeli ci wiadomy stosunek, jaki mnie łączył z tą osobą, pojmiesz, co się ze mną nie działo. Byłbym jak długi runął na ziemię, gdyby dyrektor, postrzegłszy moją bladość i osłupienie, nie pośpieszył był z ratunkiem... Nie wiem już, jak mi przytomność wróciła, ale to wiem, że stanęła we mnie determinacja widzieć ją przed śmiercią. Otrzymać pozwolenie od Naczelnika, przebrać się w mieszczańską kapotę, wziąć do kieszeni pie-

niądze i parę pistoletów i tak wyjść za rogatki było dziełem jednej godziny. Piechotą podczas nocy przedzierałem się przez pruskie i moskiewskie placówki, a często też manowcami, omijając nieprzyjaciela, pędziłem konno po mil kilkanaście, póki koń nie padł lub nie udało mi się kupić świeżego. Na czwarty dzień byłem już w Krakowie; biegnę na Rynek wprost do jej mieszkania, zastaję bramę zawartą a przed nią starego sługę, znanego mi dawniej. Pytam: „Jak się ma pani?..." Wpatrzył się we mnie zdziwionem okiem i nie wiem, czy mię poznał, bo nic nie odpowiedziawszy wskazał tylko palcem ku Grodzkiej ulicy... Spojrzałem. Tłum ludu posuwał się zwolna, jakieś światła migały i dolatywał mię śpiew księży. Nie wierzyłem strasznej rzeczywistości, tylko puściłem się za owym tłumem, a przedarłszy się do karawanu, nie potrzebowałem pytać kogo chowają. Machinalnie zaszedłem na Zamek, byłem na nabożeństwie, widziałem, jak trumnę spuszczono do grobu...

Nie wiem, czy mnie poznano w mojem przebraniu.... Lecz tylko ksiądz jeden, znający miłość moją do zmarłej a szczerze mi życzliwy, przywitał ze łzami i dopomógł w tem, com sobie ułożył. Chciałem ją jeszcze raz widzieć po śmierci!...

Opłaciwszy kościelnych dziadów, wszedłem do grobu i kazałem, żeby mi nie przeszkadzano, póki znać nie dam. Jakoż spuszczono na mnie grobowy kamień, a ja czując się swobodnym podniosłem wieko od trumny... Słaby promyk dzienny, wpadający przez zakratowany otwór, oświecił śliczną jej twarz i tę gracyjną kibić, nie mającą nic równego na świecie... Bladość zmieniła jej zwykłą cerę, zresztą wydawała mi się żywą, tylko uśpioną.

Wołałem ją po imieniu, najtkliwszemi budziłem zaklęciami, pewny będąc, że głos mój ją ożywi...

Nie ożywiła się, a ja w szale rozpaczy przytknąłem usta do jej ust, westchnąwszy do Boga, żeby moją połówką duszy jej zwłoki ożywił...

Prośba, aczkolwiek gorąca, nie została wysłuchana... I wtedy dopiero pojąłem, co to jest śmierć... Dotąd zawsze mi się zdawało, że ci, których kocham, muszą być ze mną, że nie może być innego rozłączenia tylko chwilowe... W tych kilkunastu godzinach, spędzonych w jej grobie, zrozumiałem marność życia!..."

Mówiącemu łzy płynęły i ja także niejedną otarłem lubo kryłem się z tem, żeby mu do rozrzewnienia nie pomagać. Nastroiwszy się zatem wewnątrz, zapytałem go wcale obojętnym głosem: „I długo książę tam siedział?"

— „Blisko całą dobę... i zapewne byłbym dłużej pozostał; ale wyobraź sobie, ile to w człowieku zwierzęcości, głód mię stamtąd wypędził..."

„A cóż, książę wspomniałeś o jakiemś niebezpieczeństwie, żeś się omal nie dostał w ręce Moskali czy Prusaków?"

— „Prawda! kaducznie było już ze mną krucho. Wystaw sobie, że, kiedy z katedry wyszedłem i posiliłem się u poczciwego kanonika, nie miałem już co robić dłużej w Krakowie. Jakoż natychmiast pożegnałem go i puściłem się przez Stradom na Kazimierz do mostu podgórskiego. Właśnie podchodziłem już ku mostowi, przemyśliwając, jakby zręcznie przemknąć się przez rogatkę, gdzie straż trzymali Prusacy, kiedy postrzegam, jak wprost przeciw mnie jedzie na koniu jakiś rosyjski generał; przypatruję się lepiej: znam go! to książę de Nassau, wiesz, ten sam urwisz

i awanturnik, cośmy mu dali indygenat polski... Już myślałem w bok dać kominka, ale, jak się domyślałem, musiał być uprzedzony o mojej bytności, jako z domami polskiemi zażyły, bo mię poznał i krzyknął na gapiących się moskiewskich żołnierzy: „Łowit' jewo, eto miateżnik!"

Widząc, że tu nie przelewki, kopnąłem się z miejsca i zastępującego mi Moskala poczęstowawszy w brzuch kułakiem, utorowałem sobie drogę do mostu, który przeleciałem w największym pędzie, a widząc się już blisko rogatki austrjackiej, goniącym mię pokazałem figę... Na austrjackiej komorze znajomy urzędnik przyjął mię z uszanowaniem i cieszył się wielce, że już odstąpiłem pana Kościuszkę, który źle skończy, zadarłszy z trzema potencjami.

— „Mnie się zdaje, że tylko z dwoma," odpowiedziałem mu. Na to urzędnik: „To chyba Eure Durchlaucht nie wie, że teraz cesarskie wojska idą zajmować Wołyń i Chełmskie, żeby się zasłonić od insurgentów, odbierających pomoc od Robespierra".

— „To być nie może! przecież choć nie pomagały, to nam nie przeszkadzały"...

„O tak jest, mogę zaręczyć!" powtarzał urzędnik: „Wiem od oficera z generalnej komendy."

Nie chciałem go dalej słuchać, tylko kazałem sobie dać ekstrapocztę i na całą noc puściłem się do Tarnowa"...

... Rozumując i rozmawiając o naszej publicznej doli, przyjechaliśmy na komorę, gdzie nic nie mówiąc strażnikom, kogo przeprawiam, udało mi się zyskać ich pomoc. W moment znaleźliśmy szwarcownika, który się podjął przewieść księcia przez Wisłę i oddać go w pewne ręce. Pożegnałem go serdecznem uściśnieniem ręki, życząc powodzenia w boju. Książę był młodzieńcem wielkiego animuszu a do tego znał

sztukę wojskową, jako kształcony w dobrej szkole wojskowej w Strassburgu, skąd wyszedłszy, służył kilka lat w francuskim pułku Royal Allemand, który wydał wielu bardzo znakomitych oficerów. W ciągu sejmu czteroletniego, gdy uchwalono powiększenie armji i wzywano Polaków, służących w zagranicznem wojsku, aby wracali, i on powrócił dla poświęcenia swych usług ojczyźnie. Wtenczas to, przebywając w Warszawie, był świadkiem zajścia w materji starostw na sejmie między księciem wojewodą wołyńskim, ojcem swym, a Kazimierzem Rzewuskim, pisarzem polnym koronnym. Pomiarkowawszy z uszczypliwych słów, że to się nie skończy na sucho, chciał ojca swego uprzedzić i wyręczyć. Jakoż zaprosił Rzewuskiego, znanego pojedynkarza, żeby chciał się z nim bez świadków nazajutrz bardzo rano rozprawić. Rzewuski przyjął wyzwanie i nazajutrz, choć jeszcze było szaro na dworze, wpadł do mieszkania księcia i, hałasując na śpiącego, przycinał mu, że się nie bardzo śpieszy. Młodzieniec przebudzony zerwał się z łóżka a wziąwszy szablę powiedział, że gotów mu natychmiast służyć. Tego też właśnie chciał Rzewuski, żeby przeciwnika znienacka nastraszyć i dobrze naznaczyć, przeciw czemu sam się zawarował, nakładłszy na siebie watowanych kaftaników... Złożyli się więc w pokoju i po kilkunastu minutach zaciętej walki Sanguszko wyszedł lekko draśnięty, a Rzewuski mimo kaftaników potężnie pokiereszowany. Na koniec tej sceny trafił wojewoda, ale nie było się z kim rozprawiać, bo przeciwnik otrzymał już karę. W czasie rządów targowickich, gdy Sanguszkowie obawiali się o dobra swoje na Wołyniu i Litwie, aby nie były nie skonfiskowane lub zrabowane, jako stronnikom patrjotycznej konstytucji, wymogli na młodym księciu, żeby

koniecznie jechał do Petersburga i przedstawił się u dworu, gdyż podobny krok wystarczał do zasłonięcia się od gwałtów i prześladowań, jakich dopuszczali się Kossakowscy, hetman i biskup, na osobach, sprzyjających ustawie 3-go maja... Pomimo wstrętu do świecenia się na dworze Katarzyny, trzeba było zrobić tę ofiarę dla ocalenia majątku, który byłby się dostał w ręce jakiego moskiewskiego generała lub innych spodlonych kreatur. Pojechał tedy książę Eustachy i nadzwyczaj dobrze został przyjęty a nawet uhonorowany stopniem generalskim i pułkiem dragonów. Po półrocznym może pobycie w Petersburgu, gdy go doszły wiadomości o gotującem się w kraju powstaniu, wyrobił sobie urlop na Litwę i, stamtąd przebierając się coraz bliżej ku Warszawie, trafił właśnie na tę chwilę, gdy Madaliński w okolicach Ostrołęki podniósł sztandar insurekcyjny. Złączywszy się z nim, przybył w Krakowskie i robił dobrą kampanję pod Kościuszką, jako generał dywizji.

Ów książę Naussau, który go kazał chwytać przy moście podgórskim, za przybyciem swoim do Petersburga opowiedział imperatorowej, że Sanguszkę przebranego widział w Krakowie. Katarzyna przeznaczyła go już w myśli swojej na ofiarę zemsty za sprzyjanie warszawskim jakobinom, ale, gdy Nassau, świadomy całego zdarzenia, zaczął mówić o jego romansie z piękną Julją, o awanturowaniu się przez obozy pruskie i rosyjskie, aby ją jeszcze raz przed śmiercią zobaczyć, a nareszcie, gdy na dobitkę odmalował scenę zamknięcia się w grobie z jej ciałem, tak zmiękło serce kochliwej Katarzyny, że mu raczyła przebaczyć. Po upadku powstania nie prześladowano go już na osobie ani na majątku".

V

W SZPALERACH CARSKOSIELSKIEGO PARKU

(1794—1815)

Csse Golovine: Mèmoires. Paris. Plon.
Szymon Askenazy: Uwagi. Warszawa 1924.

...„Księżniczka Ludwika Badeńska, po wyjściu zamąż za wielkiego księcia Aleksandra, przybrała imię Elżbiety. Łączyła ona w sobie nie dające się wyrazić urok i grację z taktem i umiejętnością panowania nad sobą... Każdy jej krok zdradzał, że zabiegi jej matki, tak przez nią szanowanej i kochanej, nie pozostały bez wyniku... Umysł jej jasny i bystry z niezwykłą łatwością przyswajał sobie wszystko, czem mógł się tylko wzbogacić, jak pszczoła wysysa miód z kwiatów najbardziej nawet trujących. Rozmowa jej odźwierciadlała świeżość młodoś połączoną ze szlachetnością zasad... Była to młoda i piękna roślina, która pod opieką umiejętnej ręki mogła się rozwinąć bujnie i wspaniale, ale którą wichry i burze mogły również potargać... Przykuwała ona do siebie wzrok wszystkich. Jej anielska twarzyczka, wysmukła i wykwintna postać, lekkie ruchy wywołały zachwyt ogólny. Kiedy wchodziła do imperatorowej wszyscy wpatrywali się w nią, jak w tęczę...

Gdy pewnego wieczoru przyszłam do w. księżny, otworzyła ona drzwi swego gabinetu tak, iż znalazłyśmy się na vis - à - vis... Przyznam się, że wzięłam ją za jakieś cudne zjawisko. Jej włosy blond były rozrzucone; miała na sobie białą suknię, t. zw. koszulę grecką, na szyi złoty łańcuch a rękawy zawinięte do góry, gdyż tylko co zerwała się od harfy.

Zatrzymałam się i zawołałam: „Boże, jak w. wysokość dobrze wygląda!“ — aby nie krzyknąć: „Boże! jakaś ty śliczna!“...

Przepiękne stadło w. ks. Aleksandra, i w. ks. Elżbiety tworzyło obraz przyjemny i zajmujący. — Niczem Amor i Psyche. Uczucia ich były zgodne... Oboje traktowali mnie jednakowo przychylnie. Jeśli poswarzyli się kiedykolwiek między sobą, to mnie przypadała w udziale rola sędziego. Pewnego razu, po jednej z podobnych sprzeczek otrzymałam rozkaz, abym się stawiła nazajutrz o godzinie 7-mej rano w apartamencie mego wuja, hr. Szuwałowa, znajdującym się na parterze pałacu i wychodzącym na wielki park. Znalazłam się tam o wyznaczonej godzinie. Rychło zjawili się oboje na tarasie. W. książe wlazł przez okno, wystawił przez nie fotel, wyskoczył zpowrotem i zmusił mnie do naśladowania go. Chodziło niewątpliwie o to, aby rzeczy najniewinniejszej nadać charakter przygody; była to zabawa w przygodę. Następnie wziąwszy mnie oboje za ręce, poprowadzili w głąb parku do starej altany, gdzie posadzili mnie za stołem, a sami zaczęli mówić oboje naraz. W ten sposób proces rozpoczął się... skończył się zaś wyrokiem na korzyść w. księżny, która istotnie miała rację. W. książę musiał to przyznać, co zresztą uczynił chętnie... W najweselszem usposobieniu poszliśmy potem na ranną przechadzkę...

W r. 1794 imperatorowa starała się wszelkiemi sposobami uprzyjemnić letni pobyt w Carskiem Siole... Chciała widzieć swe wnuczęta szczęśliwemi i zadowolonemi. — Uciechy szły za uciechami. Urządzaliśmy wspaniałe wycieczki. Przed pałacem na łące odbywały się zabawy...

Zubow brał w tem wszystkiem udział. Uroda i gracja w. księżny rychło porwały go. Pewnego wieczoru podczas jakiejś gry w. książę podszedł ku mnie, wziął mnie za rękę, drugą prowadził Elżbietę i rzekł:

— „Zubow zakochał się w mojej żonie.“

Te słowa wyrzeczone w jej obecności ubodły mnie bardzo boleśnie. Zaprzeczyłam temu stanowczo, jako rzeczy niemożliwej. Dodałem wreszcie, że gdyby nawet Zubow pozwolił sobie na takie szaleństwo, to zasługuje na pogardę i nie należy na to zupełnie zwracać uwagi. Ale stało się! Te nieopatrzne słowa wzniosły zamięszanie do serca w. księżny. Wstrząsnęły nią całą. Niema bowiem nic niebezpieczniejszego nad zwrócenie uwagi młodej kobiety na uczucie, którego czystość i szlachetność duszy nie pozwalają dostrzec.

Jak zwykle po zabawie wieczerzałam u w. księstwa. Odkrycie w. księcia opanowało moją myśl całkowicie.

Następnego dnia mieliśmy być na obiedzie u w. ks. Konstantego, w jego domku w Sofji. Udałam się do w. ks. Elżbiety w celu towarzyszenia jej w tej wyprawie. Spostrzegłszy mnie, powiedziała:

— „Pójdźmy prędzej cokolwiek, muszę się pani z czegoś zwierzyć!“

Usłuchałam rozkazu, ona wzięła mnie za rękę i, gdyśmy oddaliły się na tyle, że nikt nie mógł nas słyszeć, rzekła:

„Dziś rano był u w. księcia hrabia Rostopczyn i utwierdził go jeszcze bardziej w przekonaniu co do uczucia Zubowa. W. książę z takiem uniesieniem i z taką trwogą powtórzył mi całą rozmowę z hrabią, że omalo co

nie zemdlałam. Nie wiem sama co mam czynić. Jestem pewna, że obecność Zubowa będzie mnie denerwowała.“

— „Na miłość Boga, proszę się uspokoić!“ — odpowiedziałam: „To wszystko zasługuje tylko na pogardę w. ks. mości. Niema potrzeby ani się trwożyć, ani się denerwować. Należy być odważną, proszę zapomnieć o tem, co w. ks. mości opowiedziano. I wszystko rozwieje się samo przez się.“

W. księżna Elżbieta uspokoiła się cokolwiek i obiad minął dość dobrze. Wieczorem udaliśmy się na pokoje imperatorowej. Zubow trwał w zamyśleniu, spoglądał na mnie wciąż melancholicznie i wciąż wzrok swój przenosił na w. księżnę. Rychło wszyscy w Carskiem Siole dowiedzieli się o tem szaleństwie i przeciwko mnie utworzyły się dwie partje: powierników i szpiegów.

Hrabina Szuwałowowa była główną powiernicą uczuć Zubowa. Hr. Gołowkin, hr. Stackelberg, Kołyczew, szambelan a następnie marszałek dworu, frejliny hrabianki Golicynówny i dr. Beck szpiegowali mnie na każdym kroku i ze swych spostrzeżeń składali codziennie raporty hr. Sałtykowowi. Śledzono nasze spacery, rozmowy, każdy bardziej uprzejmy uśmiech w. księżny dla mnie; wszystko to ulegało analizie i przeróbce i w tej postaci było dostarczane w. księżnie - matce, Marji Teodorównie. Otaczały mnie legjony szpiegów. Ale byłam spokojna w mem sumieniu i zamiast zwracać na to uwagę i uląc się tego,coraz bardziej przywiązywałam się do w. ks. Elżbiety i podwajałam swą opiekę. Wezbrała też we mnie odwaga.

Czułam oparcie w opiece imperatorowej, w jej łaskawości dla mnie i w zaufaniu w. księcia.

Wszystko to wzmagało również związek przyjacielski w. ks. Elżbiety ze mną. Prawie nie rozłączałyśmy i byłam spowiednikiem jej uczuć. Wzruszało mnie to głęboko i dobra sława księżnej stała się celem mego szczęścia. Nie znam nic bardziej porywającego, jak te pierwsze wyznanie duszy. Są one jak źródło, torujące sobie drogę między złożami ziemi, by potem wytrysnąć kryształowym zdrojem.

Zubow podwoił zabiegi dokoła mnie, a ja coraz bardziej oburzałam się na to. Jego szepty z hrabiną Szuwałowową budziły we mnie coraz większą pogardę dla obojga. Pomiędzy powiernikami Zubowa był pewien Włoch, gitarzysta Sarti. Znałam go stąd, że nieraz przychodził do mnie na muzykę. Zadanie jego polegało na śledzeniu naszych spacerów z w. księżną w parku i na zawiadamianiu faworyta o tem, w którą stronę udaliśmy się. Wówczas Zubow również tam kierował swoje kroki, by spotkać nas niby to przypadkiem. Przy spotkaniu składał nam głęboki ukłon i patrzał sentymentalnie na nas swemi wielkiemi czarnemi oczami. Śmieszyło mnie to ogromnie i skoro tylko oddaliłyśmy się od niego, dawałam upust mej wesołości. Porównywałam go do latarni magicznej i wszelkiemi sposobami ośmieszałam go w oczach w. księżny. Pewnego razu, gdy spacerowałam sama, spotkał mnie hr. Stackelberg i zaczął przemawiać do mnie tonem przyjacielskim i ugrzecznionym, co zwykł był czynić, gdy chciał komukolwiek okazać swoje dla niego przyjazne uczucia.

— „Droga przyjaciółko, droga hrabino,“ — rzekł mi — „im bardziej przyglądam się prześlicznej Psyche, tem bardziej tracę dla niej zmysły. Jest ona zachwycająca, ma wszakże jedną wadę.“

— „Jaką mianowicie?“

— „Ma niewrażliwe serce i tem unieszczęśliwia zbyt wielu... Nie umie być wdzięczną za najdelikatniejsze uczucia, nie przyjmuje zalotów jak najbardziej pełnych uszanowania...“

— „Ale któż jest tym nieszczęśliwem?“

— „Ten, który ją ubóstwia.“

— „Postradałeś pan zmysły, panie hrabio! A mnie znasz, jak widzę, bardzo niedostatecznie. Idź pan do pani Szuwałowowej, ta zrozumie pana lepiej. I zapamiętaj to sobie raz na zawsze, że Psyche równie daleka jest od poddawania się podobnym afektom, jak nisko upadłeś pan w tej chwili.“

Kończąc te słowa, rzuciłam okiem w stronę apartamentów Zubowa i spostrzegłam go na balkonie. Schwyciłam Stackelberga za rękę i pociągnęłam go ku niemu. — „Oto“ — rzekłam — „młody człowiek, który zupełnie stracił zmysły; niech pan mu jak najprędzej puści krew! A potem może pan wypytać go o szczegóły naszej rozmowy.“

I odeszłam od nich bardzo z siebie zadowolona.

Pomimo tych niebezpieczeństw pobyt w Carskim Siole był przyjemny. Podniecał on iluzje młodości. Imponujący widok dworu, pałac, ogrody, tarasy, balsamiczny zapach kwiatów... wszystko wzniecało myśli szlachetne i pobudzało wyobraźnię. Wracając ze spaceru pewnego przecudnego wieczoru, imperatorowa zatrzymała się przy granitowej barjerze; wszyscy rozsiedli się na płytach schodów. Imperatorowa posadziła mnie między sobą a w. ks. Elżbietą. Zubow nie spuszczał oczu z księżny, co mięszało ją

bardzo, a mnie odbierało spokój. Czyniłam wysiłek, by zrozumieć, co mówiła do mnie imperatorowa...

Wtem rozległy się tony zachwycającej muzyki. To Dietz, artysta wiekiej miary, pod oknami apartamentu Zubowa, znajdującego się tuż koło tarasu, grał trio na wildamorze z towarzyszeniem alta i wiolonczeli. Harmonijne dźwięki tej skrzypki miłości (viole d'amour) rozpływały się w ciszy gwiaździstego wieczoru. W. księżna była wzruszona.

Mowa bez słów jest właściwością przyjaźni. Przyjaciele mogą milcząc wymieniać myśli między sobą. Rozumiałam w tej chwili w. księżnę i to mi wystarczyło zupełnie. Jej początkowe zmięszanie ustąpiło i pod wrażeniem nadziemskiej muzyki poddała się niememu zachwytowi.

Kiedy imperatorowa udała się do siebie, odprowadziłam w. księżnę do jej pokojów. Siadłyśmy w małym saloniku przy oknie, reszta towarzystwa zebrała się w sąsiednim wielkim salonie. Okno, przy którym siedziałyśmy, było otwarte i widać przez nie było ogród. W zwierciadle jeziora odbijał się księżyc, wszystko pławiło się w wieczornej ciszy, dusza tylko wrażliwa i uczuciowa drgała w niepokoju...

W. książę kochał swą żonę miłością brata, ona zaś tęskniła za taką miłością, jaką mu dawała, a której on nie chciał pojąć. Rozczarowanie w miłości jest bolesne, szczególnie gdy przychodzi w porze pierwszego jej przebudzenia. Cnotliwe zasady, w których w. księżna była wychowana, pobudzały ją do wypełnienia obowiązku. Wiedziała i czuła, że mąż powinien być jedynym celem jej miłości. I dlatego oddawała mu się cała; ale nie otrzy-

mując tego samego wzamian, szukała coraz bardziej koło siebie przyjaźni. Byłam koło niej stale i kochałam ją gorąco. Przeszkody, intrygi i fałsz wzmagały coraz bardziej jej przyjaźń ku mnie i obawiałam się zrazić czemkolwiek te uczucia duszy, żądnej ciepła i szukającej oddźwięku. Chcąc zachować czystość jej serca, dawałam mu pokarm w postaci przywiązania ku mnie...

Raz wieczorem, zamiast udać się natychmiast za w. księżną do imperatorowej, poszłam do apartamentu mego wuja zmienić strój. Zabawiłam niedługo i już wychodziłam, gdy ktoś uprzedził mnie, że Zubow urządza serenadę pod swojemi oknami, a usłużna Szuwałowowa podjęła się przeprowadzić w. księżnę przez łączkę pod temi oknami, by zwrócić jej uwagę na Zubowa i pozyskać dla niego jej względy. Uniosłam się ogromnie i pobiegłam co sił w tę stronę. Ku memu szczęściu dognałam w. księżnę wcześniej, niż doszła do niebezpiecznego punktu. Szuwałowowa szła z nią pod rękę.

— „Gdzie wasza wysokość idzie?"

— „Na łączkę" — odrzekła w. księżna — „hrabina powiedziała mi, że posłyszymy tam zachwycającą muzykę..."

Dałam jej znak oczami, mówiąc jednocześnie:

— „Proszę mi wierzyć, że będzie znacznie lepiej, jeśli gdzie indziej udamy się na spacer".

W. księżna puściła rękę swej czcigodnej towarzyszki i poszłyśmy w inną stronę takim krokiem, że Szuwałowowa nie mogła nas dopędzić. Została więc sama, pieniąc się ze złości na mnie. Po drodze opowiedziałam Elżbiecie całą osnowę intrygi i zasłużyłam sobie na jej zupełne zadowolenie.

Następnego dnia hr. Szuwałowowa skarżyła się na mnie wszystkim swym przyjaciołom, a ja śmiałam się serdecznie z tych skarg.

Pewnego dnia po obiedzie Kołyczew zaproponował mi w imieniu Zubowa, abym w chwili, gdy imperatorowa zjawi się w salonie, zaśpiewała romans, stanowiący nowość dnia. Przeczytałam słowa i w drugiej strofce znalazłam wyraźne oświadczenie miłości:

„Le sort me fait un crime
De vouloir l'enflammer
Et laisse à sa victime
Le droit fatal d' aimer.

Podziękowałam Kołyczewowi za zaszczyt i poprosiłam go, aby powiedział Zubowowi, że nie chcę zwracać na siebie uwagi imperatorowej, ani nadużywać jej dobroci, gdyż nie lubi ona muzyki. Odszedł więc sobie z niczem, ja zaś ukryłam przed księżną całe to zdarzenie.

Następnego dnia, w niedzielę w ścisłym kółku odbył się mały balik. Tańcząc angleza z Kołyczewem, spostrzegłam, że ma w kieszeni fraka zwitek nut. Od czasu do czasu wyciągał go z kieszeni, by zwrócić nań uwagę w. księżny, która siedziała obok mnie. Ponieważ mu to się nie udawało, zdecydował się wprost ofiarować jej te nuty, ale zdążyłam uprzedzić w. księżnę, szepcąc jej: „Proszę nie brać tych nut, za chwilę opowiem, o co chodzi."

Wobec tego księżna nie wzięła ich. Podczas poloneza zobaczyłam, że Zubow, hr. Szuwałowowa i hr. Gołowkin szepcą coś pomiędzy sobą. Po chwili hr. Gołowkin zaprosił mnie do tańca. Przyjęłam zaproszenie. Stanęliśmy w pierwszej parze, za nami znalazł się Zubow z Szu-

wałowową. Spostrzegłszy to, powiedziałam hrabiemu, że nie chcę być w pierwszej parze.

— „A dlaczego? Zrobi tem pani wielką przyjemność Zubowowi."

— „Niech sam prowadzi poloneza," — odpowiedziałam.

Gdy tak sprzeczaliśmy się i ja wciąż nastawałam na zmianę miejsca, Zubow odezwał się do mnie:

— „Błagam panią, brabino, abyś zechciała zacząć taniec. Byłbym bardzo szczęśliwy iść za tobą; tylko pani może doprowadzić mnie do szczęścia."

— „Nie mam zdolności do prowadzenia innych. Sama ledwie kieruję sobą" —odrzekłam na to i zmieniłam miejsce.

— „Pani jest bardzo uparta" — powiedział mi wówczas Gołowkin.

— „Przyznaję się do tego," — brzmiała moja odpowiedź — „nie jestem jednak tak usłużna jak pan..."

Gdyśmy wrócili do miasta i dwór zajął pałac Taurycki, bywałam tam każdego dnia. Często jadałam obiad w ścisłem kole nas czworga: w. księstwo i ja z mężem. O szóstej godzinie udawaliśmy się do imperatorowej, gdzie spotykaliśmy to samo towarzystwo, które zbierało się w Carskiem Siole przy stole okrągłym. Niekiedy odbywały się koncerty. Orkiestra składała się z najlepszych muzyków nadwornych i kilku amatorów; pomiędzy nimi był też Zubow. W. księżna Elżbieta i ja śpiewałyśmy. Księżna miała ładny, miły głos i każdy słuchał jej z zachwytem. Śpiewałyśmy często duet, gdyż głosy nasze harmonizowały ze sobą. Razu pewnego po skończonej symfonji Zubow zbliżył się do mnie i ponownie zaproponował mi zaśpiewanie owego romansu, którego nie chciałam śpiewać w Carskiem Siole. Siedziałam za imperatorową. W. księżna, siedząca tuż koło mnie, zmięszała się, zdenerwowało to też w. księcia. Wstałam i w towarzystwie Zubowa podeszłam do klawecynu. Książę zaczął akompanjować na skrzypkach. Odśpiewałam pierwszą strofkę, która nic niebezpiecznego w sobie nie zawierała i zatrzymałam się.

— „Jakto? już koniec, hrabino? Tak mało!" — zawołał faworyt.

Odśpiewałam powtórnie pierwszą strofkę, zaczął prosić o drugą, lecz odmówiłam stanowczo, oświadczając, że przeszkadzamy biegowi koncertu, wykonywując jakiś nieudolny romans, i udałam się na swoje miejsce.

Gdy przechodziłam koło imperatorowej, ta zapytała mnie:

— „Co to za jeremiada?"

— „Istotnie W. Cesarska Mość," — odrzekłam — „jest to arja najnudniejsza ze wszystkich, jakie słyszałam kiedykolwiek."

Po tych słowach usiadłam. Wzrok w. księżny wyrażał zadowolenie i czułam się szczęśliwą, że sprawiłam jej przyjemność. Po skończonym koncercie, gdy wszyscy wychodzili, a ja wdziewałam płaszcz, w. książę podszedł do mnie, schwycił mnie za rękę i zmusił, abym pobiegła z nim razem do gabinetu w. księżnej. Tam ukląkł przede mną i najgoręcej podziękował za zadowolenie, jakie mu sprawił mój postępek...

Opowiem jeszcze jedno zdarzenie, jeszcze jeden żart, który urządziłem wówczas.

Pewien Kopjew, człowiek rozumny, ale skończony łotr, pędzący żywot pieczeniarza w domach wielmożów, stale wycierający przedpokoje Zubowa, odwiedzał niekiedy i moją świekrę. Otóż pewnego dnia, odwiedziwszy ją, opowiadał, że w. księżna, stojąc w oknie, rozmawiała z Szuwałowową — i że widział to z okien znajdującego się naprzeciwko apartamentu Zubowa. Zubow też przypatrywał się temu. Dalej wygadał się, że Szuwałowowa urządza takie rozmowy naumyślnie, by ułatwić swemu protegowanemu przypatrywanie się w. księżnie. Te szczegóły wydały mi się wysoce ubliżającemi dla w. księżny i bardzo mi się nie podobały.

Następnego dnia otrzymałam wezwanie od w. księżny na godz. 11-ą rano na repetycję duetu, który miałyśmy odśpiewać na najbliższym koncercie. Stawiłam się na termin, a gdy Sarti po skończonej muzyce wyszedł, zapytałam w. księżnę, czy to prawda, że hr. Szuwałowowa przyprowadzała ją do okna podczas rozmowy. Usłyszałam na to odpowiedź twierdzącą, ale księżna dodała, że gdy spostrzegła Zubowa, przyglądającego się jej, nigdy już więcej nie zbliża się do okna. Usłyszawszy to poprosiłam, aby zezwoliła uczynić, co mi przyjdzie do głowy. Gdy uzyskałam zgodę, zaproponowałam, aby usiadła w głębi pokoju i przyglądała się widowisku, które urządzę. Pobiegłam do garderoby po szpilki i zbliżyłam się do okna. Spostrzegłam, że Zubow stoi naprzeciwko również w oknie i przygląda się nam przez lornetę. Ukłoniłam się mu, odpowiedział mi głębokim ukłonem. Popatrzyłam nań przez chwilkę, a następnie odwróciłam się, jak gdybym z kimś rozmawiała. Schwyciłam dalej krzesło, wskoczyłam nań i zaczęłam spinać firanki. Nakoniec przez niewielką szparę

wysunęłam głowę i ukłoniłam mu się znowu. Zobaczywszy to, odszedł jak najprędzej od okna...

Tego tylko było mi potrzeba, zeszłam wówczas z krzesła i zaśmiałyśmy się razem z w. księżną z całego serca.

Przed obiadem chciałam pójść do domu, lecz księżna zatrzymała mnie na cały dzień. A wieczorem wezwała hrabiostwo Tołstojów i spędziliśmy wesoło czas w sześcioro: trzej mężowie i trzy żony...

Niskie oszczerstwo wmówiło w niektórych, chcących wierzyć każdej plotce, że imperatorowa popierała zaloty Zubowa do w. ks. Elżbiety w myśli jakoby, że w ten sposób może doczeka się prawnuka, którego nie dał jej Aleksander.

Temu wstrętnemu łgarstwu mogę stanowczo zaprzeczyć. Imperatorowa rozmawiała z Zubowem o jego nieprzystojnych uczuciach dla księżny i zmusiła go do zmiany postępowania.

Kiedyśmy w 1796 roku znowu bawili w Cesarskiem Siole, nie było już ani spotkań, ani spojrzeń, ani westchnień. Hrabina Szuwałowowa siedziała bez zajęcia, a myśmy nadały jej przezwisko: *Impressario in angustia* (Impresarjo w opałach) zgodnie z tytułem opery - buffo Cimarosy...

...Już wcześniej powinnam była wspomnieć o przyjeździe dwóch braci, książąt Czartoryskich. (1795 r.) Niestety odegrali oni później zanadto wydatne role i nie mogę pominąć ich w moich wspomnieniach.

Obaj często bywali u mnie. Starszy, Adam, rozważny i milkliwy, był bardzo wytworny i posiadał twarz poważną i wyrazistą. Malowała się na niej dobitnie namiętność. Młodszy, Konstanty, bardzo ożywiony i zapalny miał w sobie wiele z Francuza. Wielkiem księciu Aleksandrowi

przypadli odrazu obaj do serca. W kilka miesięcy po przyjeździe otrzymali oni nominację na szambelanów; imperatorowa wyróżniała ich w ten sposób ze względu na ojca, księcia Adama Kazimierza, postać bardzo wybitną w Polsce. Gorący patrjota przeciwstawiał się Rosji — i cesarzowa chciała go pozyskać drogą dobrego traktowania synów.

W. książę Aleksander z każdym dniem zbliżał się coraz bardziej do książąt Czartoryskich i młodego hrabiego Stroganowa, przyjaciela Adama. Nie rozstawał się już z nimi wcale...

Książę Adam, wsparty szczególną przyjaźnią Aleksandra, znajdując się ciągle w pobliżu w. ks. Elżbiety, zwrócił na nią swój wzrok i dał się opanować uczuciu, które właściwie powinien był stłumić w sobie w imię zasad oraz poczucia szacunku i wdzięczności dla wysokiego przyjaciela.

Dwunastego czerwca 1796 r., podczas pobytu w Carskiem Siole, w. ks. Aleksander z całym swym dworem przeniósł się do pałacu Aleksandryjskiego, wybudowanego dla wnuka przez imperatorową. Jest to bardzo ładny budynek, przed którym założono ogród, dotykający angielskiego parku. Przed oknami w. księżny rozścielał się kwietnik, otoczony żelaznem ogrodzeniem, w którem znajdowała się furtka, prowadząca do pokojów wewnętrznych... W. księstwo byli bardzo zadowoleni ze swego pałacu. Moje pokoje leżały tuż nad apartamentami w. księżny — a ponieważ środek budynku wysuwa się półkolem naprzód, w. księżna mogła rozmawiać ze mną, stojąc w ostatniem oknie koło zagięcia. Pewnego poobiedzia długo rozmawiałyśmy w ten sposób. W. książę przez cały ten czas

grał z moim mężem na skrzypcach w moim salonie. Wówczas panowała jeszcze ogólna zgoda.

Książęta Czartoryscy odwiedzali mnie codziennie. Po kilku jednak tygodniach wszystko uległo zmianie, w. książe nie opuszczał zupełnie swych przyjaciół. — W. ks. Anna, żona w. ks. Konstantego zabierała w. ks. Elżbietę każdego ranka na spacer. Ja jeździłam z Tołstojową, mieszkającą obok mnie...

W. ks. Aleksander w stosunku do mnie zaczął stawać się coraz bardziej chłodnym, książęta Czartoryscy przestali do mnie zaglądać, a uczucia ks. Adama zaczęły interesować wszystkich. Jego brat, ks. Konstanty, zakochał się w w. ks. Annie, która wzajemnie zapłonęła miłością dla niego. Ten splot kokieterji, intryg i uniesień czynił położenie w. ks. Elżbiety coraz bardziej trudnem i niewygodnem. Zauważyła zmianę w swym mężu i co wieczora musiała znosić w swem otoczeniu obecność człowieka, opanowanego namiętnością, jak się zdawało, świadomie podsycaną przez Aleksandra, ułatwiającego ks. Adamowi widywanie w. księżny. A bratowa znowu zwierzała się jej ze stanu swej duszy i serca. I gdy w. księżna Elżbieta starała się przeciwdziałać i pomóc jej w zwalczaniu samej siebie, w. ks. Anna wybuchała płaczem, mówiła o tyranji swojego męża — i współczucie brało górę nad rozsądkiem...

Niebezpieczeństwo wzrastało z każdym dniem...

Cierpiałam ogromnie nad tem, że zbliżało się ono coraz bardziej do w. księżny. Mieszkając nad jej pokojami, widziałam każde jej wyjście i powroty oraz to, że w. ks. Aleksander regularnie co wieczór przyprowadzał ks. Adama do siebie na kolację. Jeden Bóg czytał w mojej duszy... Pewnego razu, powróciwszy do siebie z wieczoru u impera-

towej wcześniej niż zwykle, zmęczona wszystkiem tem, co się działo wokoło, zmieniłam suknię, i usiadłam na parapecie okna, pozwalającego widzieć apartamenty w. księżny. Wychyliwszy się, jak można najbardziej, spostrzegłam kraj białej sukni księżny, oświecony księżycem świecącym w nasze okna. Widziałam, że w. książe powrócił do siebie ze swym przyjacielem i przyszłam do wniosku, że wielka księżna siedzi sama w swym gabinecie. Zarzuciłam szal i zeszłam do ogrodu. Podszedłszy do ogrodzenia, istotnie ujrzałam w. księżnę Elżbietę, pogrążoną w smutnych rozmyślaniach.

— „Czy wasza wysokość jest sama?“ — zapytałam.

— „Wolę siedzieć sama,“ — odrzekła mi — „niż jeść kolację we dwoje z ks. Czartoryskim. Mój mąż zasnął na kanapie, a ja uciekłam do siebie i nizam swe bardzo nie wesołe myśli.“

Cierpiałam nad tem, że nie mogłam znaleść się przy niej. Mogłam jej nie opuścić, ale nie mogłam wejść do jej pokoju... Porozmawiałyśmy przeszło kwadrans. — Wróciłam wreszcie do siebie.

W. książę zaczął coraz bardziej uważać mnie za przeszkodę. Znał moje zdanie i uczucia i był zupełnie pewien, że nie pochwalałam jego sposobu postępowania. Książę Czartoryski z coraz większem zadowoleniem widział, że w. książę coraz większe stawiał trudności stosunkowo swej żony ze mną. Wiedział też doskonale, że ja nie będę mu pomagała i wszelkiemi sposobami zabiegał, aby pokłócić mnie z w. księciem. Wreszcie mój mąż ośmielił się zwrócić uwagę w. księcia na jego postępowanie i na uszczerbek, jaki czyni na honorze swojej żony. — To jeszcze bardziej

rozdrażniło Aleksandra w stosunku do mnie. Postanowiłam tedy milczeć i cierpieć w milczeniu.

Pewnego ranka, gdy siedziałam z Tołstojową przy klawecynie, drzwi lekko się otworzyły i w. księżna, że tak powiem, wpadła do nas, chwyciła mnie za rękę, zaprowadziła do mojej sypialni, zamknęła drzwi na klucz i płacząc rzuciła mi się na szyję. Nie będę nawet starać się opisać tego, co się działo w mej duszy. — W. księżna miała już zacząć mówić, gdy zastukano do drzwi, z wołaniem, że moja matka przyjechała ze wsi.

Zmroziło to wybuch duszy w. księżny i rozżalona powiedziała mi tylko jedno słowo, którego nigdy nie zapomnę. Potem osuszyła łzy i weszła do salonu, gdzie jak najłaskawiej powitała moją matkę, napoiła ją herbatą i zachowała się tak, jak gdyby przyszła specjalnie po to do mnie. Taką to anielską duszę miała Elżbieta. Pomimo młodości najdelikatniej ukrywała swe uczucia w chwilach, gdy mogły one krępować kogokolwiek. Dobroć brała u niej zawsze górę...

Po wstąpieniu na tron cesarza Pawła I-go przestałam widywać się z w. ks. Elżbietą. Moje serdeczne przywiązanie do niej trwało w dalszym ciągu, ale w. ks. Aleksander skorzystał z wrogiego dla mnie usposobienia swej matki i uczynił wszystko, aby zerwać stosunek swojej żony ze mną i nie pozwolić mi na odwiedzanie jej. Zresztą nawet bez tego było to rzeczą trudną. Na skutek nawału zajęć, które spadły na wielkiego księcia, zmienił się zupełnie porządek dnia jego i w. księżny. Nie ustalono jeszcze pewnego ładu i trzeba było być wciąż przygotowanym do wszystkiego. Zmęczony całodzienną pracą w. książę, wró-

ciwszy wieczorem do domu, cieszył się, że może położyć się spać — i w. księżna musiała siedzieć sama...

Podczas koronacji cesarz powiedział w. księciu Aleksandrowi, że jest zadowolony z jego przyjaźni z książętami Czartoryskiemi, i zapytał, czem mógłby zrobić im przyjemność. Aleksander, znając zamiłowanie ojca do wojskowości, chcąc zabezpieczyć swych przyjaciół od ewentualnej niełaski w przyszłości, a jednocześnie utrwalić cesarza w dobrym mniemaniu o nich, odpowiedział, że marzą o wstąpieniu do wojska. Cesarz istotnie bardzo łaskawie przyjął tę prośbę i mianował obu braci adjutantami; Adama przy Aleksandrze, młodszego zaś przy w. ks. Konstantym. Jednocześnie udzielił im obu z niezwykłą łaskawością trzechmiesięcznego urlopu na wyjazd do Galicji w celu odwiedzenia rodziców...

Ta nominacja, dzięki której książę Adam Czartoryski miał obowiązek stałego towarzyszenia w. ks. następcy tronu i która poniekąd zezwalała na najściślejszą przyjaźń ich obu, nie podobała się wielu osobom i wywołała w niedalekiej przyszłości wiele przykrych wypadków...

Osiemnastego maja 1799 r. w. księżna Elżbieta urodziła córkę, w. księżniczkę Marję. Cesarz był bardzo ucieszony z urodzin wnuczki, o czem dowiedział się w chwili, gdy kurjer z Włoch przyniósł mu wiadomość o zwycięstwach Suworowa i zdobyte przez niego sztandary. Pod wrażeniem tego przypadkowego związku polubił bardzo to dziecko i zapowiedział, że pozostaje ono pod jego opieką, gdyż — zdaniem jego — niektóre osoby traktować je źle będą ze względu, że nie jest chłopcem.

Jeszcze na początku zimy 1798 r. w. książę Aleksander wymógł na Adamie Czartoryskim, by wyszedł z czynnej

służby wojskowej i zmienił na skutek tego rządania stanowisko adjutanta w. księcia na godność ministra dworu w. księżniczki Heleny. Książę Adam nie miał ani chęci, ani zdolności do służby wojskowej, która była okiem w głowie cesarza. Kilka razy zagrażało mu już dowodzenie bataljonem lub pułkiem i w. książę obawiał się, że Czartoryski zdradzi się ze swą nieudolnością i wpadnie w niełaskę cesarską; uzyskał więc dla niego zwolnienie z wojska i nominację wyżej wspomnianą...

Zmiana ta nie miała żadnych zasadniczych skutków. W. książę w dalszym ciągu zachowywał dla Czartoryskiego swą przyjaźń i wciąż się z nim widywał. Nowa godność wymagała stałej obecności ks. Adama na dworze i to ułatwiało obu przyjaciołom stosunki. Pomimo łaski cesarskiej zarówno w. książę jak i Czartoryski byli przekonani, że wcześniej, czy później nastąpi katastrofa. Daleki od wszelkich intryg, nie umiejący ani pochlebiać, ani nadskakiwać, ks. Adam trzymał się Aleksandra i nie szukał żadnego innego oparcia. W pełnych niespodzianek czasach Pawła nie wystarczało to jednak. W. książę na tyle był przewidującym, że już dawno zaofiarował się Czartoryskiemu przechować u siebie jego papiery, które mogłyby go w razie niełaski skompromitować...

W początku sierpnia 1799 r. dwór przeniósł się do Pawłowska. Z wielką niechęcią przystępuję do opisu niskiej intrygi, która odegrała się w tym czasie. Uczucie Czartoryskiego, wciąż należącego do ścisłych przyjaciół Aleksandra, dało powód do oszczerstwa, rzucającego plamę na cześć w. ks. Elżbiety. Cesarzowa Marja, wciąż nielubiąca i zazdroszcząca jej, nie opuszczała sposobności, by ją oczernić i zaszkodzić jej. Hr. Tołstoj wciąż występujący

w roli najwierniejszego i najpowolniejszego sługi w. księstwa, był jednocześnie szpiegiem i donosicielem w służbie cesarskiej. — Cesarz Paweł do tego czasu zawsze traktował w. ks. Elżbietę bardzo dobrze i ciągle zachęcał ją do urodzenia syna. Otóż podczas pobytu w Pawłowsku cesarzowa kazała w. księżnie przysłać do siebie malutką księżniczkę, acz ta miała zaledwie trzy miesiące i od mieszkania w. księstwa do pałacu było dość daleko. Posłuchała jednak rozkazu. Po odesłaniu dziecka dowiedziała się dalej, z opowiadania towarzyszących mu pań, że cesarzowa nosiła je do cesarza. — Nie podejrzewając burzy zbierającej się nad jej głową, w. księżna Elżbieta była nawet wdzięczna świekrze za to; mniemała biedaczka, że chodziło tu wprost o wzmożenie przywiązania cesarza do wnuczki. Boleśnie omyliła się jednak. Rychło przekonała się, że wyrządzono jej krzywdę największą i że rzucono plamę na jej cześć.

Hrabia Rostopczyn i Kuszelew znajdowali się w komnacie przylegającej do gabinetu cesarza, w chwili, gdy cesarzowa weszła, niosąc małą wnuczkę na ręku. Odezwała się do nich: — „Prawda, jakie to prześliczne dzieciątko?“

Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, cesarzowa Marja udała się do gabinetu męża, a po kwadransie wyszła stamtąd dość szybkim krokiem. W parę minut potem Kutajsow zawołał do cesarza hrabiego Rostopczyna i powiedział:

— „Mój Boże, po co ta nieszczęsna kobieta przyszła rozdrażniać go swemi złemi słowami!“

Rostopczyn, wszedłszy do Pawła, zastał go w uniesieniu, graniczącem z szałem.

— „Chodź tu, waćpan i napisz mi natychmiast rozkaz o zesłaniu Czartoryskiego do jednego z syberyjskich pułków. Moja żona tylko co podała w wątpliwości prawe pochodzenie dziecka mego syna. Hr. Tołstoj wie o tem równie dobrze, jak cesarzowa!“

Rostopczyn wręcz odmówił napisania wymaganego rozkazu i zwrócił uwagę cesarza na to, że niesłusznie wierzy okropnemu oszczerstwu i że zesłanie Czartoryskiego zhańbi w. księżnę, kobietę równie niewinną, jak cnotliwą. Słowa te nie oprzytomniły cesarza. Wówczas Rostopczyn, widząc, że nie uda mu się w żaden sposób zwalczyć oszczerstwa, ograniczył się tylko do oświadczenia, że nigdy nie zgodzi się napisać podobnego niesprawiedliwego rozkazu i wyszedł z gabinetu.

Cesarz przysłał wtedy notatkę z wyłuszczeniem wszelkich podanych mu dowodów rzeczowych winy w. księżny, ale Rostopczyn i na to odpowiedział odmową. — Gniew Pawła wreszcie się uspokoił i Rostopczynowi się udało uzyskać zgodę jego na usunięcie Czartoryskiego bez hałasu, a mianowicie przez mianowanie go posłem rosyjskim przy dworze króla Sardynji.

Na drugi dzień rano w. ks. Aleksander dowiedział się od ks. Adama o tem, że otrzymał rozkaz natychmiastowego wyjazdu z Pawłowska i nominację na posła przy dworze sardyńskim, wypędzonym z Turynu przez wojnę i zawieruchę rewolucyjną i tułającym się po tych państwach włoskich, gdzie jeszcze było spokojnie.

Uderzyło to w. księcia. Taka nominacja zanadto wyglądała na zesłanie, ażeby można było wątpić o tem. Toteż ani Aleksander, ani Czartoryski nie zapatrywali się na nią inaczej. W. książę pośpieszył zwierzyć się ze swego bólu żonie i oboje gubili się w domysłach, co do przyczyny tej niełaski. Ks. Czartoryski odjechał po obiedzie.

Do w. księstwa doszły wówczas już słuchy, że pewne osoby opowiadają sobie, że wysłanie Czartoryskiego zostało wywołane przez przyczynę, bardzo dotykającą w. księżnę Elżbietę. Oburzyło ją to ogromnie i to oburzenie malowało się jeszcze wyraźnie na jej twarzy, gdy wieczorem zjawiła się na pokojach cesarskich.

Cesarz, wszedłszy do salonu, gdzie zwykle oczekiwały w. księżny, wziął ks. Elżbietę za rękę, odwrócił tak, iż na jej twarz padało światło, i zaczął się jej przypatrywać w sposób jak najbardziej oburzający. Od tej chwili w ciągu trzech miesięcy nie odezwał się do niej ani słowem.

Tegoż wieczoru hr. Tołstoj, jak się zdawało, szczerze interesujący się całem zdarzeniem, wywnioskował ze słów cesarza, że w umyśle jego powstały duże wątpliwości co do prowadzenia się księżny. Wówczas hrabia rzekomo postanowił rozplątać ten kłębek intryg i oto co opowiadał później swym znajomym, jakoby opierając się na relacji Kutajsowa:

W chwili, gdy cesarzowa weszła do męża z dzieckiem, w gabinecie jakoby znajdowali się Kutajsow i Rostopczyn. Cesarzowa miała zwrócić uwagę Pawła na ten fakt szczególny, że malutka księżniczka ma włosy czarne, gdy zarówno Aleksander, jak Elżbieta są blondynami. — Po wyjściu żony, cesarz pozostał jakoby we dwóch z Rostopczynem i po pewnej chwili ten ostatni zjawił się z nominacją Czartoryskiego i rozkazem, aby opuścił rezydencję.

Ze słów hr. Tołstoja wynikało, że to hr. Rostopczyn rzucił podejrzenie na postępowanie w. księżny. Ale cóż mogło go do tego pobudzić? — Wszak między Rostopczynem a Czartoryskim nie było nigdy złych stosunków, a nawet, zdaje się, ks. Adam miał cośniecoś do zawdzięczania hrabiemu. — Niewątpliwie kierował nim ktoś inny! — Ale kto?... Tu przypomniano sobie, że mój mąż był nieprzychylnie usposobiony dla Czartoryskiego i że był rozżalony na w. księcia; przypomniano dalej to, cośmy oboje czynili, by przeszkodzić przyjaźni Aleksandra z Czartoryskim; przypomniano, że nigdy nie ukrywałam swego zdania — i wyciągnięto wniosek, iż to mój mąż i ja rzuciliśmy na pastwę cześć w. księżny, aby wywrzeć swoją osobistą zemstę!

Byłam bardzo zgnębiona cierpieniem Elżbiety i nawet nie przypuszczałam, że mnie to wymieniono jako główną jego sprawczynię!

W młodości rzeczy najjaskrawsze wydają się najprawdopodobniejszemi!... I w. księżna uwierzyła, że to ja rzuciłam na nią oszczerstwo, że ta osoba, tak przez nią kochana i tak do niej przywiązana, w ten sposób oczerniła ją przed całym światem!

Niestety, gdy życie każe zetknąć się z brudami duszy ludzkiej, wierzy się raczej, że ma się do czynienia z najokropniejszą zbrodnią, niż, że się staje ofiarą artystycznie przeprowadzonej intrygi..."

O stosunkach, opowiedzianych wyżej przez hrabinę Gołowinową, cokolwiek inaczej zapisał w swych pamiętnikach baron de Barante, b. ambasador francuski w Petersburgu:

„Po swym ślubie, będąc jeszcze w. księciem, Aleksander zbrzydził sobie małżonkę, jakkolwiek była wielkiej piękności. Nie uznając zaś za słuszne skazania jej na wierność, której sam dotrzymywać nie chciał, uczynił jej propozycję przywrócenia sobie nawzajem swobody. Oboje podpisali wspólny, stwierdzający to wyzwolenie układ.

W. Księżna niebawem skorzystała z tego i wzięła na kochanka ks. Czartoryskiego. W. Książę okazał zadowolenie z tego wyboru i sprzyjał w miarę możności temu związkowi. W. Księżna została brzemienną i powiła. Kiedy hrabina Liewen, jej dama dworu, zaniosła dziecko do cesarza Pawła, zwrócił on uwagę na ciemne brwi i oczy noworodka. „Czy pani sądzi, — rzekł cesarz do hrabiny Lieven — że ojciec blondyn i matka blondynka mogą mieć dziecinę brunetkę?" Dama dworu zdobyła się jedynie na odpowiedź: „Najjaśniejszy Panie, Bóg jest wszechmocny!" To dziecię płci żeńskiej nie żyło długo."

W piętnaście lat później notował w swym dzienniku ks. Adam Czartoryski podczas pobytu na kongresie wiedeńskim: „(Wiedeń, wrzesień—październik 1814). Przyjazd do Wiednia. Tu ją *(t. j. cesarzową Elżbietę)* widzę zmienioną mocno, ale dla mnie zawsze tę samą ze strony jej i mych uczuciów. Utraciły swego żaru, dosyć jednak siły zachowały, aby było wielką męczarnią nie widzieć jej wcale. Raz tylko dotąd widziałem: źle przyjęty nieprzyjemnie dnie trawię...

Ona do tańca mnie bierze u Stackelberga. On *(t. j. cesarz Aleksander)* wraz do ucha mi gada, aby to zatrzeć...

Nie widzę jej; zdaje mi się, że się zmienia. Powszechnie się podoba. W niektórych szczegółach wypiękniała... Smutny i nieszczęśliwy jestem, jak dawno nie byłem. Ostrzegłem o jego *(cesarza Aleksandra)* myśli pogodzenia się...

3 grudnia... Trafiam do Naryszkina. Drugie widzenie się. Nowe obowiązki przyznane... Ona zawsze aniołem prawdziwym. Jej pismo...

Moja ciotka *(ks. Elżbieta Lubomirska)* komeruje, mój ojciec jej o niej powiedział. Nauka, że mało komu

prawdziwą i ważną tajemnicę powierzyć można. Trzecie widzenie się przez Naryszkina... Cesarza wizyta u mojej ciotki... Jej wizyta i list... Gorączka... i sny i zgryzota, wyrzucająca winę. Kibić i lice odmienione... wszystko jednak tenże sam urok a dusza anielska...

18 stycznia *(1815)*... Do niej piszę...

Do 28 stycznia. List... oddany i nazajutrz zaraz się widzę. Rozmaitość moich uczuć. Ona zawsze pierwszym i jedynym przedmiotem. Pierścieni zamiana. Jej dobroć, jej uczucia innego rodzaju... Nie chce się w Niemczech rozstać; ks. Brunświcki to radzi; ona z siebie ofiarę czyni... Spleny moje; ja popsuty przychylnością i kochaniem... dusza nie może wznieść się... do jej wyższości...

Ja chcę jej szczęścia i zazdroszczę go; pasjami kocham, a jednak...; wszystkobym poświęcił, a świętości uczuciu nie dosyć utrzymuję. Długa niepewność, przeciwności i ujmy i czekanie dwudziestuletnie, i jej już od tylu lat odsłonione uczucie, wzruszyły prawy porządek serca. Nieszczęścia niewiary jednej wstrząsły niektóre najdelikatniejsze zasady. Lecz to mnie nie uniewinnia , gdyż z serca darowałem; i ona nie przebaczenia, ale miłości, czci, ubóstwienia godna...

16 lutego... Smutek wielki mnie przyciska i niesmak świata. Ona może niedowolna...

Do 3 marca. Bojaźń o jej odmianę wstrząsa mnie najmocniej swym żalem... Smutek, aż chorym się czuję. Piszę do niej... Moja z cesarzem rozmowa... Wzniecam materję o niej.

Do 8 marca. Jej wyjazd. W wigilję zrana się żegnam. Potęga tego związku godna zastanowienia, gdy czas i oddalenie, i konieczność zatrzeć uczucie i samemi przeszkoda-

mi zagasić go miały, własna siła przemaga nad wszystko. Nic za niem już nie mówi, ani chęć szczęścia i rozkoszy, ani roztropność, ani żadna nadzieja, nic światowego i ludzkiego; jednak silniejszem jest nad tyle różnych powodów. O konieczności małżeństwa powiadamiam i piszę. Ona cieszy się wiadomością zjawienia się Napoleona *(t. j. z powrotu z Elby)*, w nadziei, że dłużej w Niemczech zostanie. Odmiana we mnie... uczucia prawdziwe, głębokie i które całą duszą obejmują i wskroś przenikają... jej tylko były i są...

Wieczorem z cesarzem zapowiedziana rozmowa... Wyjawiam, ile mnie obchodzi ich los; jej jeszcze bardziej, bo samotna i nie mająca innego losu i zajęcia; że ja się nie mam za wolnego, póki ona swój los nie utwierdzi; że choć zdaleka, rozumiem, że pokutuję i że mi się żenić nie wolno. Cesarz coś ma niejasnego w sercu, gdzie przejrzeć niemożna i co się czarnem wydaje. Personalność najdalej posunięta. Wydaje się, że nie chce mieć dzieci, a jednak to chciał wszystkim dać wierzyć; że jej nie lubi, że nigdy nie będzie lubił. Mówił, że ja próżno pokutuję, bo nic nie mogę dla jej szczęścia i ona by nie chciała; że nakoniec, jak wróci do Moskwy, to może zobaczy. To ostatnie było powiedzianem, żeby zatrzeć, co się wypsnęło"...

VI

PIERWSZA MIŁOŚĆ POLSKA W. KS. KONSTANTEGO

(1800—1801)

Szymon Askenazy: Wielki książę Konstanty a księżniczka Helena Lubomirska. Bibl. Warszawska 1913.

1. *Do księżny Ludwiki Lubomirskiej.*

Pani! Te nieustanne podróże, które nie pozwalają mi bywać u Niej, stanowią dla mnie prawdziwe nieszczęście. Jestem wprost zrozpaczony. Dziś nareszcie pomimo podróży, występów, wielkich parad i wizyt wielu osób postanowiłem służyć Paniom zaraz po paradzie, t. j. po godzinie 10-tej.

Piszę się nazawsze bardzo serdecznie przywiązanym

Konstanty.

P. S. Ośmielam się złożyć u stóp Księżniczki moje pełne uszanowania pozdrowienia.

2. *Do tejże.*

Pani! Jestem człowiekiem uczciwym i nigdy nie uchybiłem swym obowiązkom, chyba przez roztrzepanie. Gdybym nie znał Jej tak dobrze, jak znam, list Pani nie sprawił by mi przykrości; ale proszę być pewną, że mając duszę i serce wrażliwe, jestem srodze dotknięty, iż nie poznali się na mnie jeszcze ci, którym daję się poznać wszelkiemi sposobami. Ze łzami w oczach proszę i zaklinam o dalsze względy. Jeśli uchybiłem Pani w czemkolwiek, zapewniam, że odczuwam to boleśnie. Mówiła mi Pani zawsze, że przyjaźń wspiera się na zaufaniu; ja zaś jestem szczery i wierzę temu, co mi powiedzą. Błagam więc o przyjaźń.

Proszę wybaczyć tę bazgraninę temu, który w przyszłości uczyni wszystko, co tylko jest możliwe, by dać się lepiej poznać, i który czuje się bardzo nieszczęśliwym, że mu to się nie udało dotychczas.

Łączę wyrazy najwyższego szacunku, najgłębszego poważania i — jeśli będzie mi pozwolone — najszczerszej przyjaźni, z jakiemi kreśli się nazawsze najpoddańszy i najposłuszniejszy sługa — Konstanty.

3. *Do księżniczki Heleny Lubomirskiej.*

Teofilpol, d. 25 września (6 paźdz.) 1800.

Pani! Proszę mi wybaczyć tę bazgraninę, lecz nie mogę oprzeć się pragnieniu i poczuciu obowiązku podziękowania Pani za wszystką Jej dobroć. Jestem żołnierzem, a więc człowiekiem szczerym i uważałbym to za uchybienie swemu obowiązkowi, gdybym tego nie uczynił. Kiedyż zawita dzień fortunny, w którym spotka mnie szczęście, że zbliżę się znowu do Pani!

Na balu musiałem wyglądać nie wiem już jak głupio, to też umknąłem z niego. Powróciwszy do siebie napisałem Matce Pani sprawozdanie z całego dnia i nie mogłem zwalczyć pokusy przypomnienia się Pani. Sztandar mój jest barwy zielonej, wiedzie mnie więc nadzieja; spodziewam się tedy, że ta moja bazgranina nie sprawi Pani przykrości. Racz Pani zachować łaskawe dla mnie uczucia, za które życie i krew dam zawsze; tak zawsze!

Przyjm Pani zapewnienia niewzruszonego i serdecznego przywiązania mego, z jakiem pozostaję zawsze najpowolniejszy najposłuszniejszy sługa — Konstanty.

4. *Do tejże.*

Bohopol 2/13 października 1800.

Pani! Nie wiem, jak mam zacząć list z podziękowaniami za słowa, które Pani była łaskawa do mnie napisać. Brak mi wyrazów, nie znam żadnego języka, w którym byłyby słowa, zdolne oddać to, co się ze mną dzieje. Poprostu czuję, czuję żywo i — co więcej —nigdy jeszcze nie czułem w tym stopniu.

Pani była tak dobrą napisać mi, że bale Jej nie znudziły i że sprawiło Jej przyjemność, iż to ja urządzałem je dla Niej. Obyż pozwoliło mi Niebo nietylko wyprawiać bale! Uczyniłbym wszystko, co jeno w mej mocy, byle Pani sprawić ukontentowanie. Była Pani też tak dobrą wyrazić mi, że moja wzmianka o zielonym sztandarze to jest komplement, i ze zwyczajną sobie dobrocią raczyłaś uznać to za komplement ładny. Czy mogę jednak ośmielić się i zwrócić uwagę Pani, że jestem kirasjer, a więc niezgrabiasz, i że rzeczą naszą kirasjerską nie jest układać komplementy, ale iść prosto i otwarcie. Otóż poprostu i otwarcie oświadczam Pani ponownie, że mój sztandar zielony prowadzi mnie i będzie prowadził wiecznie. Zaprzysiągłem wierność tym moim sztandarom i nigdy ich nie opuszczę. Proszę Panią wierzyć memu słowu honoru. Słowem — oddaję się zupełnie w Twoje ręce, Księżniczko! I Ty tylko będziesz mi sędzią, czy godzien jestem służyć tym sztandarom...

Jeśli chce Pani mieć pojęcie o Bohopolu, jest to Katerburg z tą tylko różnicą, że jest nas tu 11 000 ludzi, a niema zgoła towarzystwa.

Ale cóż za niedorzeczność tylko co wypisałem, że tu niema towarzystwa! przecie gdyby nawet było, czyż byłbym

tem poszedł, po tem, kiedym miał szczęście niezrównane poznać Panią!

Proszę wybaczyć tę bazgraninę, której nie mogę zakończyć inaczej, jak zapewniając Panią o wiecznem i niezachwianem przywiązaniu mojem — Konstanty.

5. *Do księżny Ludwiki Lubomirskiej.*

Podczas rewji w Bohopolu d. 2/13 października 1800.

Pani! List, jaki zechciałaś mi napisać, spełnia wszystkie moje nadzieje i pozwól mi Pani podziękować Jej z głębi serca. Łaskawość, wyrozumiałość, a nadewszystko przyjaźń Pani czynią mnie szczęśliwym ponad wszelki wyraz. Znasz mnie Pani: jestem wrażliwy i okazywana mi dobroć wzrusza mnie i sprawia mi zadowolenie. Powiem pani złą francuszczyzną, że to, co czuję, czuję żywo; niechaj więc Pani wyobrazi sobie stan mój po otrzymaniu życzliwego i miłego Jej listu. Jesteś Pani dobra, pragniesz czynić dobro i uszczęśliwiać. Uczyniłaś to swym listem, który otrzymałem dziś rano; a wyznam otwarcie, że już poczynałem tracić nadzieję... Dla takiego, jak ja, gorączki tydzień oczekiwania wydał się okrutnie długim.

Upadam do stóp Pani za włożony do Jej pisma list (księżniczki Heleny). Nie wiem, co Pani powiedzieć, bo brak mi słów. Nie umiem wyrazić co czuję. Poprostu jestem w zachwycie! Jedno tylko zdanie listu Pani: iż (księżniczka) „nie nawykła jeszcze, aby się nią zajmowano, nie była dotychczas w korespondencji z żadnym mężczyzną — i Wasza Wysokość jesteś pierwszym, któremu ona odpisuje,“ — jest takie, że tylko życiem całem okupiłbym Jej dobroć. Co mówię, nigdy nie okupiłbym, bo to

jest ponad moje siły, ale uczynię co tylko jest dla mnie możliwem. Cokolwiek Pani o mnie usłyszy, proszę o trochę wyrozumiałości, bardzo mi jej potrzeba. Doprawdy przepraszam Panią, tysiąckrotnie przepraszam, jestem szaleniec, wielki szaleniec, ale ten szaleniec Was kocha i jest serdecznie do Was przywiązany. Noszę uniform i jestem szczery i uważałbym za ujmę dla siebie, gdybym nim nie był. Proszę mi wybaczyć.

Żąda Pani kontynuacji smutnych mych przepraw po pożegnaniu Państwa, — smutnych, powiadam, gdyż jestem teraz kawalerem smutnego oblicza, istnym Don-Kichotem. Od Teofilpola aż do Kamieńca nie było nic godnego uwagi, prócz pustki, jaką się odczuwa po opuszczeniu takiego, jak księstwa, domu. Dopełniałem w Kamieńcu zawodowych mych obowiązków, oglądałem fortecę, linję pograniczną, a wieczorem byłem na balu. Proszę sobie wyobrazić 60 do 70 dam, jedna brzydsza od drugiej, w pokoju nie większem jak salon w Wiśniowcu, a mieszczącym conajmniej 150 do 160 osób; na dobitkę jeszcze podłogę pokryto suknem. Co do mnie, odegrałem rolę kuzyna Bertranda w komedyjce „Dezerter“, poszedłem spać po północy. Nazajutrz wyjechałem z tą samą miną smutną, jak Adam wygnany z raju na pustynię; tak mi źle było tego dnia, zdawało mi się, że umieram. Po dalszej nudnej jak i dotychczas podróży przybyłem do Humania; widziałem się z hrabią (Potockim), następnie spałem, a od wczoraj jestem w Bohopolu, w którym prócz 11 000 ludzi niema ani żywej duszy. Znalazłem tu dwóch dawnych mych towarzyszy na czele swych pułków — i z nimi to spędzam czas wolny.

Ale niech Pani wyobrazi sobie moje szczęście... Jak Pani wiadomo, miałem tu przybyć na ukaranie pewnego pułkownika, łotra w całem tego słowa znaczeniu. Posyłam po niego. Tymczasem wyjechał na rozkaz imperatora do Petersburga, gdzie ma być sądzony za wszystkie swe łotrostwa! Gdy mi o tem powiedziano, wpadłem w szał, że nie mnie przypadło to w udziale.

Dziś zrana zostałem obudzony przez list Pani. Boże, gdybym zależał od siebie, jakże prędko byłbym u Was, by podziękować Pani! Ale będę się śpieszył i postaram się wrócić, by upaść do Jej stóp i zapewnić Ją ustnie o uczuciach wysokiego poważania, zupełnego szacunku i niewzruszonego przywiązania, z jakim jestem i będę Pani najoddańszym i najposłuszniejszym sługą

Konstanty.

6. *Do księżniczki Heleny Lubomirskiej.*

Serby, dnia 14/26 października 1800.

Pani! Dziś zrana odebrałem pismo czarujące, które Pani raczyła do mnie nakreślić. Znudziłbym ją opisem, jakie ono na mnie wywarło wrażenie... Acz niezgrabiasz, zaczynam jednak; zresztą rozkazałaś Pani przedkładać sobie raporty ścisłe. Otworzywszy list — przestraszyłem się — nie znajdując go wcale. Nie wiem już dlaczego, ale przewracając i odwracając papier, nie zwróciłem uwagi na dopisek. Zrozpaczony i trzęsący się zaczynam jednak czytać. I wiedziony jak zawsze przez sztandar zielony, zaczynam nabierać otuchy. List Księżny Pani odczytuję z niewymowną przyjemnością — a rzuciwszy okiem poniżej, spostrzegam wreszcie Twoje pismo, którem mnie zaszczycić raczyłaś. Proszę sobie przedstawić moje uniesienie; wszak

zawsze jesteś Pani moim sędzią. — Możesz tedy osądzić, jaką mi ono sprawiło rodość! Szukam w głowie mojej sposobów, jak mam coraz bardziej stawać się godnym Pani — i obiecuję, jak przysiągłem na me sztandary być wiernym swej służbie i honorowi, obiecuję pod moim drogim sztandarem, że będę godny Twoich — Pani łaskawych uczuć — zawsze! tak — zawsze!

Ma foi, nasze rewje, manewry są skończone — a ponieważ Pani pragnie mieć raport dokładny, składam go według przepisanej formy; ale służąc zawsze pod rozkazami osób, do których jestem przywiązany, zwykłem odzywać się do nich: „mój kochany generale", — a raportując Pani, jakże mam zacząć? Doprawdy, księżniczko, powinnaś to rozstrzygnąć... Słowem: „manewry nasze przeszły spokojnie; nie mieliśmy wroga, gdyż go mieć nie mogliśmy i nie będziemy mieli."

Będę z największym pośpiechem starał się wrócić do Pani i zapewnić Ją ustnie o wiecznem i niezachwianem przywiązaniu mojem — Konstanty.

7. *Do księżny Ludwiki Lubomirskiej.*

Pani! Dlaczego na świecie nie mamy języka tak dobitnego, który pozwolił by mi wyrazić uczucia moje! wówczas mogłaby Pani odczytać list, dający o nich pojęcie. Styl moich listów obecnych wart zaledwie dwa grosze, co się jednak tyczy moich uczuć — przyjaźni i wdzięczności, ręczę, że nikt mi w nich nie dorówna. Twoja, Pani, łaskawość, Twoje listy, Twoja przyjaźń porywają mnie i przysięgam, że nie wiem doprawdy, jak na to wszystko zasłużyć! Nie jestem zazdrosny, ale staję się nim w tej chwili: zazdroszczę atramentowi i tym kartkom mego papieru, które

dostaną się do Państwa i przed oczy Wasze. Czemuż sam nie mogę być posłańcem mego listu? Z jaką radością ujrzałbym Państwa, jakież to szczęście być u Was! Ale, doprawdy, proszę mi wybaczyć tę zbytnią może śmiałość, z jaką pozwalam sobie pisać ten list. — Wszak chciała Pani tego sama. — Sobie proszę przypisać winę. — Mój sposób pisania wykaże tylko, że jestem zawsze posłuszny damom; zresztą świadczy o tem cała moja konduita. Była Pani łaskawa napisać, że oczekuje relacji z tego sławnego pobytu na Cyterze. Otóż jestem w tej obrzydliwej dziurze, zwanej Serbami, od trzech dni, jak to mówi przysłowie „*entre deux chaînes etc*" — Mohylów i Szarogród. Kazałyście mi Panie jak najbardziej pospieszyć z rewją bohopolską. Czyż tego nie uczyniłem? Przyjazd w poniedziałek, plan przeglądu we wtorek, rewja w czwartek, manewry w piątek i sobotę, w niedzielę wielki raport do imperatora, w poniedziałek licha rewja i wydanie opinji, we wtorek wyjazd. To się nazywa sprawić się szybko; i, doprawdy, Niebo w to się wdało, bo była wciąż piękna pogoda...

Masz, Pani, zaiste grzech na sumieniu, przyprawiwszy pewnego młodego człowieka o stratę zmysłów i to kompletną. Od chwili poznania Państwa chodzę jak obłąkany. I czem zasłużyłem sobie Waszą łaskawość? naprawdę nie wiem! Dzięki Bogu, jestem znowu *en ponceau* i odzyskałem mój pułk ulubiony. Oto skutek stałości połączonej z nadzieją; spodziewam się być zawsze stałym i wierny moim uczuciom. Zdjąłem kirys w Bohopolu i powiedziałem sobie ze smutkiem, że tu jest tylko obowiązek, a tam (*w Równem*) było wszystko co mi jest drogie!... Błagam o dalszą przyjaźń i łaskawość, które są dla mnie

coraz droższe, i proszę przyjąć wraz z tą bazgraniną zapewnienia mego serdecznego przywiązania i przyjaźni, z jakiemi pozostaje najpoddańszy i najposłuszniejszy sługa

Konstanty.

8. *Do księżniczki Heleny Lubomirskiej.*

Janów, d. 25 października (5 listopada) 1800.

Pani! Z uczuciem najwyższej wdzięczności ośmielam się podziękować Pani za wszystką Jej dobroć, jaką raczyłaś mnie zaszczycić podczas pobytu mego w Równem. Jestem szczęśliwy, jeśli potrafiłem swoją obecnością sprawić Pani jakąkolwiek przyjemność i jeśli Jej nie znudziłem. Odkąd miałem nieszczęście opuścić Panią, spadło na mnie 36 klęsk Arlekina. Naprzód konie nie chciały ruszyć z miejsca i, dalibóg miały rację, gdyż sam ciągniony przez nie nie miałem chęci oddalenia się od miejsca, gdzie je obsypała łaskami swemi Istota, której zaprzysiągłem wdzięczność wieczną. A potem — okropna droga, — deszcz ulewny, — i smutek śmiertelny... Pamiątka, którą raczyła mi Pani obdarować, nie opuszcza mnie ani na chwilę. Przysięgam, że zazdroszczę memu służącemu, który będzie miał zaszczyt być u Pani z memi bazgrotami.

Jestem w Janowie, najwstrętniejszej mieścinie, gdzie prócz błota nic niema. Śmiem skończyć to pismo, zapewniając Panią o niezachwianem i wiecznem mem przywiązaniu — Konstanty.

9. *Do księżny Ludwiki Lubomirskiej.*

Janów, dnia 25 października (5 listopada) 1800.

Pani! Oto jestem w Janowie, po drodze fatalnej w pogodę okropną. Gdyby nie pociecha, jaką sprawiają mi

względy Państwa, byłbym chyba umarł za pierwszym zaraz etapem. Wyjechawszy od Was, pędziłem noc całą dla doścignięcia mych towarzyszy podróży i dognałem ich nazajutrz o 6 rano, wedle danej Paniom obietnicy pościłem od czwartku do poczty następnej, sprawiało mi to przyjemność wywiązania się z tego przyrzeczenia, mając sobie zapewnioną wzajemność. Proszę wybaczyć, że powiem tu prawdę: jest się wraz szczęśliwym i nieszczęśliwym, skoro się Panie poznało, gdyż z chwilą, gdy wypada Je opuścić, czuje się pustkę w duszy... Przepraszam, zapominam się, nudzę Panią zapewne tem pisaniem, gdyż niezawodnie to samo pisałby każdy znajomy Państwa, który czułby tak, jak ja. Kiedyż znowu Panie ujrzę? Oby Bóg dał jak najprędzej! Jakże smutna czeka mnie perspektywa: Zamknąć się w Carskiem Siole i opłakiwać tam los mój nieszczęsny. Widok Równego będzie zawieszony nad mojem łóżkiem, i spoglądając nań, będę sobie powtarzał: „Oto miejsce, gdzie byłeś szczęśliwy!“ Medaljon nie opuszcza mnie i nie opuści nigdy. Śmiem błagać Panią, byś nie zapomniała o portrecie; będzie on pocieszeniem mojem we wszystkich nieszczęściach, jakie na mnie spaść mogą, a zarazem będzie źródłem wszystkiego dobrego, co tylko wydarzyć mi się może i co zawsze u stóp tego portretu składać będę. Z uczuciem najwyższej wdzięczności, przyjaźni, zdolnej wszelkie przetrwać próby, i bezgranicznego zaufania, pozostaję nazawsze najpowolniejszym i posłusznym sługą Pani, Konstanty.

P. S. Mój służący przywiezie mi odpowiedź, jeśli Pani będzie tak dobrą mu ją wręczyć. Jest on osobą pewną.

K.

10. Do księżniczki Heleny Lubomirskiej.

Petersburg, dnia 26 listopada (7 grudnia) 1800.

Niechaj mi wolno będzie podziękować Pani za ostatni Jej list. Czynię to z opóźnieniem, ale Baur i te nieszczęsne mundury huzarskie są temu winni. Pamięć Pani o mnie, wyrażona w Jej ostatniem piśmie, czyni mnie wielce szczęśliwym. Postaram się okazać się tego godnym przez całe życie moje. Pyta się mnie Pani o nowiny o *jasnozielonem*, nic nie mam do doniesienia prócz tego, że po powrocie byłem dość dobrze przyjęty i że to trwa dotychczas. Garnizonuję obecnie w Petersburgu i po dniach szczęśliwych, jakie pędziłem u Państwa, jakże smutnem wydaje mi się życie tutejsze! Jedyną moją pociechą będzie, jeśli Pani zachowa mi swoje tak drogocenne dla mnie względy i zechce niekiedy pamiętać o mnie. Niema godziny, żebym sobie nie powtarzał: „Kiedyż znowu ujrzę to kochane Równo i jego dobrych i kochanych gospodarzy?“ Ale trzeba zdecydować się na wszystko. Zmiłuj się Pani, nie zapominaj mnie i pozwól mi powtórzyć Jej zapewnienia szczerego i wiecznego mego przywiązania. Konstanty.

11. *Do księżny Ludwiki Lubomirskiej.*

Petersburg, dnia 26 listopada (7 grudnia) 1800.

Pani! Mogę nakoniec zabrać się do odpowiedzi, jak również prosić o przebaczenie mi mego długiego milczenia oraz podziękować za list Pani, szacowny zakład Jej przyjaźni dla mnie. Nigdym nie klął tak tych przeklętych huzarów, jak obecnie; a przyczyna — że te dwa uniformy dla drogiego Baura przeszkodziły mi odpisać Pani prędzej. Cóż mam powiedzieć Pani o sobie, odkąd miałem nie-

szczęście opuszczenia Państwa? Nic dobrego ze mną się nie dzieje; zamiast powrócić do kochanego garnizonu w Carskiem Siole mój pułk konstytuje w Petersburgu, i oto jestem zamknięty w wielkiem mieście, w którem życia nie znoszę. Zmieńmy jednak temat. Z niecierpliwością największą pragnę znów ujrzeć Panie. Kiedyż to nastąpi? Boże, jak wiele dałbym za to, żeby to mogło nastąpić jaknajrychlej!... Przyrzekłem Paniom spełniać co sobotę jaki dobry uczynek; i oto w pierwszą zaraz sobotę po naszem rozstaniu się przychodzi do mnie do pokoju jakiś oficer kaleka bez nogi a tak biedny, że nie miał na chleb. Proszę sobie wyobrazić moją radość; i odtąd co sobotę przytrafiają się podobne okazje. Nie miałem dotychczas czasu zacząć mojej karykatury; przyślę ją wraz z najbliższym listem. Tyle różnych rzeczy wydarzyło mi się i, doprawdy, pragnę je opowiedzieć Paniom przy najbliższem widzeniu się. Proszę mi powiedzieć, co porabia to drogie Równo, które kocham bez pamięci, a bardziej jeszcze jego gospodarzy. Proszę mi opisać wszystko z najdrobniejszemi szczegółami, co tam Panie porabiacie, a będę sobie marzył, że jestem do Was przeniesiony i że zażywam tego spokoju i tej pogody, które były mojem szczęściem. Co się mnie tyczy, prowadzę tu życie najgłupsze. Wstaję wcześnie; zajmuję się sprawami mego kochanego pułku; potem bywam na paradzie i znowu zajmuję się pułkiem, następnie odbywam przejażdżkę konno; jem obiad; po obiedzie sprawdzam warty; wieczór spędzam u imperatora i idę spać. Widzi więc Pani, że nie bawię się wcale. Ostatniemi czasy czułem się niedobrze; ciągle jestem smutny; brak mi, że nie jestem u Was. Oby Bóg dał możność ujrzenia Was znowu wczasie jak najkrótszym! Zna Pani moje usposobienie

niecierpliwe; proszę sobie wyobrazić, co się ze mną działo, gdy przez całe dwa tygodnie nie mogłem pisać do Pań i to z powodu dwóch mundurów huzarskich. Proszę natrzeć za to uszu Baurowi. W przyszłym tygodniu mamy tu odwiedziny króla szwedzkiego. Dałbym wiele, żeby tu nie być. Przyjaźń i otwartość, jakie sobie przyrzekliśmy, ośmielają mnie prosić Panią o przysłanie mi wiadomego portretu; wszak Pani lubi uszczęśliwiać bliźnich, a w ten sposób pocieszy mnie Pani w nieszczęściu. Błagam Panią o to na klęczkach. Proszę wspomnieć o mnie czasem łaskawie i utrzymywać ze mną korespondencję, ale przez drogi pewne; proszę też przyjąć zapewnienie najdoskonalszego poważania z któremi piszę się Pani najpowolniejszym i najposłuszniejszym sługą — Konstanty.

P. S. Proszę łaskawie zezwolić, że dołączę tu list dla księżniczki Heleny. K.

12. *Do księżniczki Heleny Lubomirskiej.*

Petersburg, dnia 30 grudnia 1800 (11 stycznia 1801).

Bardzo już dawno nie miałem przyjemności pisania do Pani i od wieków całych nie miałem od Niej wiadomości. Przestrzeń, jaka nas dzieli, jest tak znaczna, że te niecne kurjery generała Baura pomimo najlepszych chęci nie umieją nadążyć, jakbym tego pragnął. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł ujrzeć Panią i znowu znaleść się w tem drogiem Równem, gdzie spędziłem najlepsze chwile mego życia i gdzie tak wielkiej i szczerej doznałem dobroci od Matki Pani. Zapewniam, że zaprzysiągłem Jej za to wdzięczność wieczną i że potrafię zasłużyć ją w oczach Waszych... Mógłby kto wziąć mój list za sztuczny i ceremonjalny, lecz zaiste jest to wyraz uczuć

jak najszczerszych. Gdy przypominam sobie szczęście, jakiego doznawałem za mego u Was pobytu, łzy napływają mi do oczu — i gdy pomyślę, kiedyż to znowu wróci... Okrutna to rzecz nie być własnym swym panem. Gdybym nim był, kupiłbym dwór owego skąpego marszałka, gdzie byliśmy na balu, zamieszkałbym tam z ks. Jabłonowskim i po sąsiedzku przyjeżdżalibyśmy do Państwa nudzić Was naszem towarzystwem. Proszę mi wybaczyć te szaleństwa i przyjąć zapewnienie niewzruszonego mego przywiązania — Konstanty.

13. *Do księżny Ludwiki Lubomirskiej.*

Petersburg, dn. 30 grudnia 1800 (11 stycznia 1801).

Pani! Miałem przyjemność odebrać pismo Jej bardzo ceremonjalne, za które śmiem również ceremonjalnie z całym dziękować szacunkiem. Jakże mi dziwnie było czytać w liście Pani tytuły „Monseigneur" i „Votre Altesse", do których nie byłem od Niej przyzwyczajony. Ale ponieważ to przychodzi od Pani, więc przebaczam, bo przynajmniej pamiętała Pani o mnie, a wszelkie dowody Jej pamięci, w jakiejkolwiek bądź postaci, zawsze są mi drogie nad wyraz i błagam o kontynuowanie ich nadal, gdyż stanowią one pociechę moją. Jestem Paniom szczerze oddany i przywiązany z głębi mego serca, które znacie tak dobrze i które niezdolne jest do fałszu. Zwyczajna Pani względem mnie dobroć ośmiela mnie prosić o przebaczenie za to, że, posyłając Paniom portfel z moim wizerunkiem, czyli raczej moją karykaturą, nie mogłem jednocześnie pisać; ale nie miałem wtedy czasu a okazja, przez którą posyłam ów portfel Baurowi, nie mogła dłużej czekać. Mieliśmy nieszczęście stracić naszą gażę tercjalną i nie pozwala mi to dotrzymać słowa przysłania pieniędzy tym trzem oficerom; ale skoro tylko odzyskamy swe wynagrodzenie, natychmiast nadeszlę je na ręce Pani. Jestem przeznaczony a raczej odkomenderowany na przyszłą wiosnę do inspekcji dywizyj charkowskich i krymskich i być może uda mi się wracać przez Wołyń. Będę wtedy naprawdę szczęśliwy, skoro ujrzę Panie i opowiem im wszystkie moje zdarzenia. Jestem teraz chory i lekarze nie wiedzą jeszcze, czy to nie jest zapalenie płuc. Miewam bardzo ostre bóle w boku, ale dziś czuję się nieco lepiej. — Ten niecny papier kończy się tak prędko i pozostaje mi już tylko zapewnić Panią o niezachwianem oddaniu się i szacunku moim, z jakim kreślę się najpoważniejszym i najposłuszniejszym sługą

Konstanty.

14. *Do księżny Ludwiki Lubomirskiej.*

Petersburg, dnia 6/18 lutego 1801.

Pani! To naprawdę nie do wytrzymania! Codziennie oczekuję kurjera od Baura, który przywiózłby mi nowiny od Państwa — nadaremnie! Pani zapomniała o mnie zupełnie i nie pomyśli nawet o człowieku, którego każde tchnienie ma na celu pozyskanie łaskawych względów Państwa. Wszak, jak Pani wiadomo, już trzy bite miesiące upłynęły od czasu utrzymania przeze mnie ostatniego od Pani, że ośmielę się wyrazić, przyjacielskiego listu. Edward Plater wręczył mi go wraz z pismem Jaśnie Wielmożnej Grafowej Dobrodziki Platerowej i dziękuję za nie jak najserdeczniej. Zapytuje mnie Pani, czy pragnę mieć drugi widok Równego od strony promenady, malowany przez księżniczkę. Jakże Pani może pytać, czy pragnę!

Wszystko, co odbieram od Pani lub od Niej, jest mi ponad wszelki wyraz drogie. A więc Pani zna mnie tak mało, że może przypuszczać, iż mogę się odmienić po czteromiesięcznem rozstaniu. Wiadomo Pani, że nie jestem pochlebcą i dlatego właśnie powtarzam Jej, że żyję jedynie nadzieją ujrzenia Pań i okazania się godnym wszystkiego tego, czego od nich doświadczyłem. Ja tutaj nudzę się bardzo. Zamieszkaliśmy wreszcie w tym sławnym zamku Michałowskim. Od początku miesiąca mieliśmy pełno balów i maskarad, gdzie nudziłem się śmiertelnie! Wszyscy pytali mnie, czemu nie tańczę. A ja sobie powtarzałem w duchu: „niestety, czemuż nie jestem w Równem!“ Na honor, jeśli wkrótce Pań znowu nie ujrzę, skonam chyba ze smutku i nudy. Boże, gdybym mógł otrzymać pozwolenie imperatora i pojechać do Pań, jakież to dla mnie byłoby święto! Jeśli Pani raczy mi odpisać, proszę zaufać zupełnie memu służącemu, który ten list zawozi, a który był razem ze mną w Równem. Plater zapewnił mnie, że jego matka zjedzie tu w maju, a ja właśnie będę nieobecny z powodu wyjazdu na rewje. Plater odwiedza mnie często i Pani łatwo domyśleć się może, jaka jest treść rozmów naszych. Pan Wincenty został umieszczony w moim pułku i oddałem go w opiekę panu Adamowi Ożarowskiemu. Jeśli Pani zezwoli, śmiem dołączyć list do Jej córki (niestety nie dochował się). Proszę zachować dla mnie łaskawe względy i nie zapominać o tym, który żywi dla Niej wdzięczność wieczystą i najgłębszą za Jej dobroć i ma zaszczyt pozostawać poważającym i najpowolniejszym Jej sługą

Konstanty.

15. *Do księżniczki Heleny Lubomirskiej.*

Petersburg, dnia 14 (26) marca 1801.

Pani! Składam Ci dzięki tysiąckrotne za łaskawe słowa, jakie zechciałaś wyrazić mi w ostatnich swych listach. Zrobię wszystko, co jest w mojej możności, aby na nie zasłużyć. Mamy tu wielką zmianę. Mój ojciec już nie żyje. Mój brat najmilszy jest imperatorem. Jest on ubóstwiany, kochany przez wszystkich. Petersburg odrodził się. Rosja, droga ojczyzna, oddycha. (Aleksander) polecił mi podziękować pani za całą dobroć, jaką mu Pani okazała, i za sposób nawskroś lojalny, w jaki byłem przez Nią traktowany w Równem. Skoczyłem mu na szyję, prawie go zadusiłem z radości za to polecenie, dane mi dla Pani i Jej najlepszej Matki, którą kocham, Bóg jeden wie, jak bardzo, ponad wszelki wyraz. Proszę wybaczyć krótkość tego listu; piszę w pośpiechu; wzywa mnie obowiązek. Przyjm Pani zapewnienie wiecznego i niezachwianego mego przywiązania — Konstanty.

16. *Do księżny Ludwiki Lubomirskiej.*

Petersburg, lipiec 1801. Pani. — Widzisz we mnie człowieka zrozpaczonego! Dwukrotnie byłem przed domem Pań; chciałem spędzić u Nich wieczór i rozmówić się z Nią, ale nie zastałem Jej... Lecz co się odwlecze, nie uciecze. W niedzielę, jeśli będzie mi to pozwolone, zajdę do Pań. Oczekuję Jej rozkazów. Dziś i jutro będę u mej matki. Żegnam księżnę, zapewniam Ją o wysokiem mem poważaniu, a osobiście dla niej powtarzam zapewnienie niewzruszonego mego przywiązania i przyjaźni, jeśli wolno mi użyć tego wyrazu. Konstanty.

P. S. Upadam do stóp córki Pani...

VII

ZAKOCHANY W PORTRECIE

Ciprinus (Józef Przecławski): Kalejdoskop wspomnień. Russkij Archiw. 1872.

...Franciszek książę Sapieha w dość młodym wieku ożenił się z Pelagją Potocką, słynną z piękności, i miał z nią córkę i syna Eustachego, który należał po śmierci ojca do polskiego powstania w 1831 r.

Książę Franciszek, zauważywszy u swej żony sympatję ku dalekiemu swemu krewnemu Pawłowi Sapieże, jako prawdziwy filozof, sam zaproponował jej rozwód i wyjście za tego, kto bardziej przypadał jej do serca. Na początku XIX wieku rozwody wśród rodzin polskich, szczególnie arystokratycznych, były bardzo częste a ówczesne duchowieństwo, przeniknięte duchem francuskiego encyklopedyzmu, nie starało się bynajmniej przeciwdziałać temu nadużyciu, które stało się prawie modą, — owszem ze swej strony ułatwiało je w znacznym stopniu.

Księżna Pelagja rozwiodła się z księciem Franciszkiem i wyszła za księcia Pawła, a pierwszy jej mąż w takim stopniu był temu przychylny, że swemu następcy, nie posiadającemu żadnego majątku, podarował znaczny klucz — Wysokie Litewskie.

Aby dać pojęcie o piękności ks. Pelagji, opowiem tu pewien nader ciekawy z psychologicznego punktu widzenia wypadek, który zdarzyl się podczas mego pobytu w słomińskim powiecie.

W Dereczynie, magnackiej rezydencji ks. Franciszka, mieściła się wspaniała galerja obrazów pierwszorzędnych malarzy. Pomiędzy niemi znajdował się portret pędzla Lampiego, przedstawiający ks. Pelagję w naturalnej wielkości nawpół nagą w całej swej krasie, wychodzącą z kąpieli. Gdy książę był nieobecny, pozwalano publiczności zwiedzać jego rezydencję. Otóż razu pewnego przechodziła przez Dereczyn partja rekrutów, której tu wypadł wypoczynek. Dowodzący nią kapitan piechoty Misiurin poszedł zwiedzić pałac książęcy. Portret księżny wisiał w osobnym pokoju, w którym znajdowała się również marmurowa wanna, przedstawiona na portrecie. Gdy Misiurin wszedł do tego pokoju, tak uderzyła go piękność księżny, że wpadł w osłupienie i pozostał w tym stanie tak długo, aż lokaj, oprowadzający go, przypomniał, że należy już zamknąć pałac. Kapitan powrócił na drugi dzień i prosił o pozwolenie posiedzenia czas jakiś przed portretem; wyszedł potem na obiad i, powróciwszy znowu, przesiedział do wieczora. Na trzeci dzień powtórzyło się to samo. Partję swą kapitan odesłał z podwładnym oficerem a sam pozostał, mając zamiar dopędzić ją w drodze. Tymczasem jednak wciąż nie ruszał się z Dereczyna i wciąż całemi dniami przesiadywał przed portretem.

Minęło w ten sposób dziesięć dni, czy nawet więcej, aż powrócił książę. Odwiedzanie pałacu stało się niemożliwem, ale Misiurin wciąż bawił w Dereczynie. Gdy opowiedziano księciu o tym dziwaku, posłał natychmiast po niego i oświadczył mu, iż może w każdym czasie przychodzić i patrzeć na portret księżny, wówczas już żony Pawła Sapiehy; Misiurin chętnie skorzystał z pozwolenia księcia, którego bawiła ta monomanja. Zakochanego

w portrecie kapitana usunięto oczywiście ze służby a ks. Franciszek, dowiedziawszy się, że nie ma on z czego żyć, wyznaczył mu ze swej szkatuły 100 dukatów rocznie pensji dożywotniej i udzielił zezwolenia na spędzanie przed portretem księżnej tyle czasu, ile zechce. Misiurin zwarjował, uschła mu ręka i wkrótce potem umarł.

VIII

KSIĄDZ BOBROWICZ

Ciprinus (Józef Przecławski): Kalejdoskop wspomnień. Russkij Archiw. 1872.

...Historja tego nieszczęśliwego człowieka zasługuje na uwagę ze względów psychologicznych. Niczem postać z znanego romansu fantastycznego Lewisa „The Monk", mogąca służyć za dowód, że wymysł nawet najmniej prawdopodobny staje się nieraz żywą rzeczywistością.

Ksiądz Bobrowicz rozpoczął swój zawód duchowny w wieku bardzo młodym i przez kilka lat był wzorem skromności, świętobliwości i wszelkich zalet, potrzebnych dla pasterza parafji. Skusił go jednak zły duch, ale nie dumy, jak to się dzieje w powieści Lewisa. W danym razie jeszcze raz sprawdziła się zasada Vidoqua, naczelnika paryskiej policji śledczej, wygłaszana przez niego zawsze, gdy donoszono mu o nowem przestępstwie lub nieszczęściu, a mianowicie: „chercher la femme".

Młody proboszcz różańskiej parafji był bardzo piękny. Młodsze i starsze parafjanki patrzały w niego, jak w obraz, i wprost zakochiwały się w nim, gdy kazał z ambony, unoszony przez natchnienie i ubierając swe słowa w piękną formę.

Pewna mieszkanka Różany, panna nie pierwszej już młodości, niejaka Julja K..... wyznała mu na spowiedzi, że kocha go bez pamięci.

Wzburzony tem kapłan wybiegł z konfesjonału, nie udzieliwszy penitentce rozgrzeszenia, zamknął się u siebie,

niedopuszczając nikogo pod pozorem choroby, i ukazał się dopiero następnej niedzieli. Jaką walkę stoczył on wówczas z sobą, wie Bóg jeden, ale, jak dowiodły wypadki późniejsze, nie wyszedł z niej zwycięsko. Zaczął bowiem odwiedzać Julję, przyjmować ją u siebie i wkrótce zawiązał z nią stosunek miłosny prawie jawny z takiemi samemi niemal następstwami i peripetjami, jakie zawiera książka Lewisa.

Po dwóch czy trzech latach Julja K.... umarła na skutek jednej z takich peripetyj. Kochanek męczony zgryzotami sumienia wpadł prawie w pomięszanie zmysłów i z rozpaczy zaczął się oddawać pijaństwu. Często całe dnie i noce spędzał on w puszczy, gdzie go widywano tarzającego się po ziemi, wyrywającego sobie włosy, drapiącego twarz i wołającego w zapamiętaniu: „Juljo! Juljo! tyś mnie zgubiła!...“

Zdarzały się u niego i intervalla lucida. Cesarz Aleksander, który nic o tej jego historji nie wiedział, podczas każdego swego przejazdu przez Różanę zatrzymywał się u niego na noc, a lubiąc go za rozum i ładną powierzchowność, łaskawie gawędził z nim i ofiarowywał cenne upominki. Trwało to do czasu, aż cesarz zastał go pijanego. A do pijaków Aleksander czuł wstręt nieprzezwyciężony...

IX
BIEDNA ELIZA
(1820—1826)

Gräfin Elise v. Bernstorff: Ein Bild aus der Zeit von 1789—1835. Berlin.

A. v. Boguslawski: Aus der preussischen Hof- und diplomatischen Gesellschaft.

Dr. Brunno Hennig: Elisa Radziwill. Ein Leben in Liebe und Leid. Unveröffentlichte Briefe der Jahre 1820—1834. Berlin 1912.

G. v. Natzmer: Kaiser Wilhelm, die Prinzess Elise Radziwill und die Kaiserin Augusta. Berlin 1890.

C. v. Rochow und M. de la Motte-Fouqué: Vom Leben am preussischen Hofe. 1715—1852. Berlin.

Th. v. Schober: Unter fünf Königen.

I.

Hrabina Eliza v. Bernstorff, żona pruskiego ministra spraw zagr., pisze w swym pamiętniku pod r. 1820:

„Moje wspomnienia mimowoli biegną ku ukochanej przyjaciółce mej siostrzenicy, ku uroczej księżniczce Elizie Radziwiłłównie i do całej jej rodziny, która w ciągu tylu lat stanowiła nasze najmilsze sąsiedztwo i z którą łączyła nas najserdeczniejsza przyjaźń. Ta rodzina, tak nam bliska, zajmowała takie osobliwe stanowisko w świecie, że muszę o niej obszerniej pomówić.

Mój mąż podczas pierwszego pobytu swego w Berlinie w latach 1790—1794 poznał księżniczkę Ludwikę pruską, otoczoną honorami i błyszczącą w całej krasie w domu rodziców, księstwa Ferdynandostwa. Już wówczas stanowiła ona duszę inteligentnych towarzystw, w których bywała, a bezwzględnie domu swych rodziców, ludzi umysłowo mało obdarzonych.

W tym czasie mówiono wiele o projektowanem jej małżeństwie z następcą tronu dessauskiego. Jednak ta partja mało przypadała jej do gustu i to ośmieliło ks. Antoniego Radziwiłła, protegowanego przez ks. Henryka pruskiego, starać się o jej rękę. Ks. Antoni był młodszym synem znanego i bogatego domu polskiego. Przeciw małżeństwu z nim przemawiały zarówno polityczne, jak innego rodzaju względy, zagadkowem też było pozwolenie królewskie na

ten związek. Wszyscy twierdzili, że jest to mezaljans. Księciu Antoniemu nie nadano żadnej wyższej rangi, małżeństwo to jednak zbliżyło go bardzo do rodziny królewskiej, którą pozyskał bez trudu dzięki sympatycznym cechom swego charakteru. Młode małżeństwo osiedliło się w istotnie książęcym pałacu Schulenburgów, zakupionym przez księcia Antoniego, a położonym przy ulicy Wilhelma nr. 77 wprost pałacu księstwa Ferdynandostwa. Ta rezydencja stała się rychło istotnem siedliskiem muz, dzięki licznym talentom jej właściciela, uprawiającego poezję, rysunek i muzykę. Stała się jednak zarazem i gniazdem wszelkich cnót domowych, dzięki księżnie Ludwice. W ciągu prawie lat pięćdziesięciu promieniowały stąd cnoty kobiece i macierzyńskie oraz miłość bliźniego i szczera przyjaźń.

Kiedy później mój mąż był posłem króla duńskiego w Berlinie, musiała księżna Ludwika oddzielić się od nas murem wszystkich przepisów etykiety, które zgodnie z ustawą Fryderyka II były zachowywane przez książąt krwi jako puklerz przed niedyskrecją obcych posłów. Na audjencji, jaką mój mąż miał u niej, przyjęła go jako dawnego znajomego i wyraziła mu też gorąco żal, że tylko mnie będzie mogła zapraszać na swe zebrania wieczorne. Znalazłam u niej tłumy gości: książąt krwi, uczonych i artystów. Księżna potrafiła ożywiać i łączyć wszystkich. Nieraz podczas kolacji odbywał się koncert, a przedtem błądziliśmy po rzęsiście oświetlonym ogrodzie i gawędziliśmy na tarasie pałacowym. Jedno z miejsc ogrodu było jednak stale pogrążone w ciemności i stale unikano go. W cieniu drzew krył się tam grób najstarszej córki księstwa, która w piątym czy czwartym roku życia

zmarła z ran, powstałych z oparzenia wrzącą wodą. Żywe dziecko wytrąciło służącemu z rąk samowar świeżo zagrzany i poparzyło się okropnie.

Młodsza córka Eliza i najmłodsza — Wanda nie były już tak żywe i pociągały znajomych swym miłym spokojem. Ten spokój był tylko u Wandy wyrazem jej usposobienia; u Elizy pod jego płaszczem krył się gorący ogień wewnętrzny. To połączenie zewnętrznego spokoju z wewnętrznym żarem czyniło ją tak czarującą, że nikt, ale to dosłownie nikt, ani ze starszych, ani z młodszych nie mógł pozostać dla niej obojętnym.

Wszystkie dzieci ks. Antoniostwa były dobre, miłe i szczególnie dobrze wychowane. Matka stale wpływała na nie i nie dzieliła się z tem ani z wychowawcami ani z guwernantkami. Obowiązki dworskie lub towarzyskie zmuszały ją nieraz oddawać dzieci bonie lub nauczycielowi, zdarzało się to jednak rzadko, tak, iż zawsze prawie zastawało się matkę w otoczeniu dzieci. Lekcje rozmaitych nauczycieli odbywały się zawsze w pokoju, w którym pracowała Księżna, a nieraz i Książę. On rysował, malował lub komponował, ona zaś najczęściej pisała listy. Korespondencję prowadziła olbrzymią, gdyż wymieniała listy ze wszystkimi przyjaciółmi a nawet z ludźmi najrozmaitszych stanów, donosząc im o wszystkiem, co mogło ich interesować. Nie przeszkadzało to tej zawsze zajętej księżnie uprawiać sztuki piękne oraz wykonywać najgustowniejsze hafty.

Na spacer wyjeżdżała ks. Ludwika wielkim powozem, w którym mieściły się wszystkie jej dzieci oraz dwoje wychowańców, a mianowicie dzieci jej brata, słynnego ks. Ludwika-Ferdynanda, który zginął w 1806 r. pod Saal-

feldem. Zwały się one Blanka i Ludwik Wildenbruchowie i były kochane przez księżnę narówni z własnemi dziećmi...

W 1818 r. byłam w pałacu Radziwiłłów na koncercie, podczas którego wykonywano po raz pierwszy muzykę, skomponowaną przez ks. Antoniego do „Fausta". W wykonaniu wzięła udział najlepsza orkiestra, arje odśpiewali za kurtyną najlepsi śpiewacy i śpiewaczki, dialogi zaś wypowiedzieli Stichowa, hr. Voss, artysta dramatyczny Wolff i książę Karol meklemburski, który rolę swą odegrał znakomicie. Całość wypadła bardzo dobrze i była istotnie oryginalnem i zajmującem widowiskiem... Wystawienie „Fausta" wywarło wielkie wrażenie na publiczności. Było to widowisko naprawdę piękne. Muzyka była podniosła, a teksty zostały wybrane doskonale. Wypowiedziano je bardzo dobrze...

Podczas świąt Wielkanocnych 28 marca 1820 r. odbyła się konfirmacja Elizy. (Córki ks. Antoniostwa zgodnie z umową przedślubną były ewangeliczkami, synowie katolikami.) Ta uroczystość miała dla Elizy znaczenie podwójne. Po pierwsze była to chwila radosna dla jej chrześcijańskiego serca, po drugie zdawało się, że będzie to początek nowej epoki w jej życiu. A to dlatego, że zgodnie z stanowczym rozkazem Króla ta uroczystość odbyła się w kaplicy królewskiej, w której według wymagań etykiety konfirmowani byli tylko książęta i księżniczki krwi. Wyjątek, uczyniony dla Elizy, mógł być wyrazem uczuć serdecznych, żywionych dla niej przez Króla, i oznaczać dążenie jego do podniesienia jej na stopień wyższy, do uczynienia z niej synowej. Przyszłość dowiodła, że Król istotnie lubił bardzo Elizę, nie myślał jednak o drugim. Król, jak to wykazały późniejsze zdarzenia, jeden tylko z całej rodziny nie wiedział o miłości drugiego swego syna do Elizy.

Po ceremonji objął Elizę naprzód Król, potem rodzice a wreszcie cała rodzina królewska, która otoczyła zwartem kołem swoją pieszczoszkę i poprowadziła ją w uroczystym pochodzie do dalszych sal zamku"...

Bliskich stosunków młodych Radziwiłłów z młodymi członkami domu królewskiego dowodzi list księżniczki Elizy do jej przyjaciółki Lulu Kleistówny, datowany z Berlina 24 czerwca 1820 r.

„Odbyliśmy w ostatnich czasach niewielką, ale prawdziwie piękną wycieczkę. Byliśmy w Freienwaldzie. Kochana droga Lulo, jak byłam tam szczęśliwa! Ile mam ci do opowiedzenia! Już dawno moi rodzice mieli zamiar zwiedzić małą Szwajcarję berlińską. Zdaje mi się, że powzięli ten projekt jeszcze przed urodzeniem się Wilhelma (najstarszy brat Elizy), jednak dopiero teraz mogli go wykonać. A to wykonanie wypadło znacznie lepiej niż można było przypuszczać. Aleksandryna, Następca tronu oraz pozostali książęta (dzieci króla Fryderyka-Wilhelma III) dowiedzieli się o tem i postanowili przyłączyć się do nas. Zdecydowano, że 13 czerwca, w dzień urodzin papy (Antoniego Radziwiłła) wyruszymy do Freienwaldu i zabawimy tam dni kilka. Jak postanowiono, tak zrobiono. Gdyśmy przyjechali, Aleksandryna i jej damy dworu z okrzykiem powitały nas w królewskim zameczku, położonym za miastem przy wielkiej szosie wprost błękitnych gór i otoczonym ładnym ogrodem pełnym róż. Zamieszkaliśmy tu wszysycy. Podczas całej drogi myślałam tylko o tem, jaki jest ten zamek, jego okolica i jakie będzie tu nasze życie.

Zarysowało się to w mej wyobraźni w pięknych barwach, tymczasem rzeczywistość przeszła wszystkie moje marzenia...

Weszliśmy do zamku a następnie do naszych pokojów na parterze. Mnie wyznaczono ten sam gabinet, który przed swym wyjazdem do Rosji zajmowała księżniczka Karolina (żona w. ks. Mikołaja, późniejsza cesarzowa Aleksandra.) Był to miły pokoik o dwóch balkonach. Z jednej strony znajdowała się sypialnia mamy, z drugiej inny; dla nas również przeznaczony. Ze mną mieszkała i sypiała Aleksandryna. Jak to było pięknie! Ciągle byłyśmy ze sobą i cieszyłyśmy się bardzo, gdy przyszło kłaść się spać. Łóżka nasze stały obok siebie i mogłyśmy się nagadać dowoli!

Następca tronu z braćmi Wilhelmem i Karolem przyjechał w jakie trzy kwadranse po nas. Książę Fryderyk (bratanek królewski) i pani Emilja Zeuner przyjechali przed nami. Następca tronu morderczym krzykiem zwykł objawiać swą radość, ale ten który wydał, witając nas, przeszedł wszelkie oczekiwanie i dobrzy chłopi freienwaldcy mieli tym razem nadzwyczajną uciechę...

Po południu pierwszego dnia zwiedziliśmy źródło, a potem wdarliśmy się na dość wysokie wzgórze, porośnięte wspaniałym lasem liściastym. Na wierzchołku wzgórza znajduje się kapliczka i od niej bierze ono swą nazwę. Pozostaliśmy tu czas pewien i napawaliśmy się prześlicznym widokiem, który się stąd roztacza. Słońce właśnie zachodziło i rzucało swe najpiękniejsze promienie na niebo.. Ten widok zapadł mi głęboko w duszę.

Wieczór spędziliśmy wszyscy razem. Opowiadaliśmy sobie rozmaite historje i naśmialiśmy się z nich serdecznie. Pan v. Below przeczytał urywek z Fouqué'go „Czarownego pierścienia", papa zaś, wziąwszy do ręki gitarę, odśpiewał nam kilka pieśni swej kompozycji... Później, gdyśmy sie udały do swych pokojów, panowie wyprawili nam serenadę. Zasnęłam przy ostatnich jej dźwiękach.

Wszystko to działo się 13 czerwca. 14-go zwiedziliśmy Hammertal. Jest to charakterystyczna dolina, wąska, ściśnięta dwiema górami i zarośnięta lasem mieszanym. Lubię takie właśnie ogromnie, trzeba wtedy wiele chodzić i wspinać się. Całą noc padał deszcz i ani jedna ścieżka nie była sucha. Młodzież szła pieszo, a mama, która nie może przecie dokazywać, jak my, jechała w dorożce. Wszyscy, panowie i panie, książęta i księżniczki, wyglądali jak banda cyganów. Henryka Bergh, hrabina Schulenburg, Blanka i ja zapomniałyśmy zupełnie, że można mieć suche obuwie. O miła, droga chwilo, dlaczego tak szybko minęłaś?...

Gdyśmy o godzinie 9-ej wiecz. tegoż dnia powrócili z majątku pana v. Jena, zastaliśmy w Freienwaldzie oświetlony wielki jadalny pokój. Prascy muzykanci przygrywali wspaniałego walca wiedeńskiego, a każda z pań miała we włosach bukiet z polnych różyczek i goździków. O godzinie w pół do drugiej skończyła się zabawa i każdy spoczął szczęśliwy. Nazajutrz rano zbudziliśmy się o ósmej rano. Aleksandryna ze swojemi towarzyszkami odjechała zaraz po śniadaniu do Berlina, my zaś z książętami i Emilją zwiedziliśmy jeszcze Baarsee. Jest to najmilsze i najbardziej zachwycające miejsce, jakie znam. Piękne i romantyczne. Przepyszne buki rosną naokoło źwierciadlanego jeziora, a konary ich tworzą nad niem jakby sklepienie. A naokoło stoją lasem pokryte góry. Moja Luluchno, gdybym nie obawiała się zarzutu przesady, uklękłabym

z zachwytu. Ten ranek był najpiękniejszy z całej wycieczki"...

W tych warunkach zbliżyły się do siebie dwie młode dusze i nic dziwnego, że wkrótce zaczęły krążyć słuchy, które zapisała w swym pamiętniku Karolina v. Rochow, żona pruskiego ministra spraw wewnętrznych:

„W tym czasie zaczęto wiele zajmować się sprawami miłosnemi i projektami małżeństwa synów królewskich, w szczególności zaś skłonnością ks. Wilhelma do księżniczki Elizy Radziwiłłówny. Tu sprawa stała się zbyt głośną i wzbudziła takie zainteresowanie powszechne , że nie mogę o niej przemilczeć, tem bardziej, że słyszałam wiele szczegółów od osób bardzo bliskich obu stronom i dzięki temu wydaje mi się, że mogę opowiedzieć całą historję dość ściśle.

Dom Radziwiłłów miał swoje własne i bardzo obszerne koło towarzyskie pomimo tego, że rodzina ta część roku spędzała w Poznaniu, gdzie ks. Antoni był namiestnikiem królewskim. O prawo zjawienia się w pałacu Radziwiłłów bez uprzedniego zaproszenia dobijano się gwałtownie i wkrótce tyle osób tam się gromadzić zaczęło, że gospodarstwo ponownie musieli zacząć rozsyłać zaproszenia, by zmnieszyć skupiające się w ich salonach tłumy. Młodzi książęta bywali wiele i wiele przyjmowali, a miła córka ks. Eliza nadawała wiele młodzieńczego uroku zebraniom, które wiecznie młody ks. Antoni potrafił ożywiać i urozmaicać.

Księżniczka Eliza była jedną z najmilszych dusz, które kiedykolwiek gościły na świecie. Aczkolwiek nie była piękną, a nawet chociażby bardzo ładną, i chociaż nie wyróżniała się umysłem i mocą charakteru, jej cała istota wywierała taki szczególny urok, tchnęła takim wdziękiem, taką uprzejmością i przyjaźnią, że każdy, kto ją znał, musiał zachować o niej najmilsze wspomnienia. Zdawało się, że nieprawości tego świata, że zło nie dotknęło tej duszy.

Położenie Elizy w świecie było bardzo osobliwe, a to dzięki temu, że była stałą towarzyszką swej matki, która z jak największą dostojnością i umiejętnością zajmowała to stanowisko, jakie jej dało urodzenie i prawa książąt krwi. Z tego powodu przyznawano Elizie prawa, o których nie śnił żaden z jej braci: ci weszli w świat z prawami ojca i pełniąc służbę oficerską zajmowali stanowisko, jak wiele innych dobrze urodzonych młodych ludzi.

Tymczasem Eliza wraz z matką zasiadała w loży królewskiej; brała udział w przyjęciach dworskich, na których zjawiały się tylko księżniczki krwi, a ponieważ młodsze córki królewskie były z nią zaprzyjaźnione, stale bywała w ich kole. Nic więc dziwnego, że dzięki temu mogło powstać w umysłach Radziwiłłów przekonanie, że posiadają prawa do jeszcze większego zbliżenia się do rodziny królewskiej. Co prawda od czasu do czasu spotykały ich zdarzenia, które winny były działać otrzeźwiająco. Tak na weselu ks. Fryderyki (bratanki królewskiej) z ks. Leopoldem dessauskim wyznaczono ks. Ludwice Radziwiłłowej miejsce przy głównym stole, jej córce zaś przy jakimś innym; wywołało to takie niezadowolenie matki, że nie zjawiła się zupełnie pod pozorem, iż nie może pozostawić córki samej.

Kiedy ks. Wilhelm zapałał miłością ku Elizie, przyjęła ona ją raczej, niż podzielała. Później pod wpływem współczucia do Wilhelma, jak również ulegając gorącym

życzeniom matki, dążącej do tego małżeństwa, wzbudziła i ona w sobie to uczucie.

Przyjaciele Radziwiłłów twierdzili, że książę Antoni, który — jak zdaje się — nie dzielił nigdy nadziei swej żony co do tego małżeństwa, udał się jakoby do ks. Wittgensteina, ministra domu królewskiego, i powiedział mu, że uważa za swój obowiązek zawiadomić go o codziennych wizytach ks. Wilhelma w jego domu oraz o tem, że księżniczka Eliza podoba się synowi królewskiemu. Dalej prosił jakoby, iżby król, jeśli ten stosunek mu się niepodoba, sam zabronił ks. Wilhelmowi tych wizyt, gdyż on — książę Radziwiłł — tego uczynić nie może. Wittgenstein miał na to odpowiedzieć, że król napewne nie ma za złe synowi spędzania wolnego czasu w tak miłem towarzystwie.

Jest to fakt zupełnie pewny, że właśnie ks. Jerzy meklemburski - strelicki (brat królowej Luizy, a więc wuj rodzony ks. Wilhelma) swem fantastyczno-egzaltowanem zachowaniem rozpętał wszystkie te gadania o małżeństwie ks. Elizy z ks. Wilhelmem i wywarł w ten sposób tak wielki wpływ na losy tej pary.

Na pewnym balu, siedząc obok ks. Ludwiki i patrząc na tańczących razem Elizę i Wilhelma, porwany jej wdziękiem, powiedział matce: „Jak ładnie wyglądają oni razem, jak ładną parę mogliby tworzyć oni ze sobą w przyszłości!" Księżna Ludwika miała na to odpowiedzieć, że o tem nie może być mowy, gdyż jej córka nie odpowiada ks. Wilhelmowi urodzeniem. Tu w. książę Jerzy w najlepszej wierze, mając na uwadze tylko idealność uczuć, zaczął zaprzeczać temu jej słusznemu twierdzeniu i przytaczać na poparcie swych słów liczne dowody, zaczerpnięte z przeszłości.

Księżna Ludwika, chcąc wierzyć w to, czego pożądało jej serce z całej swej mocy, pomyślała, że w. książę nie może mówić tego bez zezwolenia króla, co wydawało się tem bardziej słusznem, że według powszechnego zdania w. książę był jedynym człowiekiem, któremu król zwierzał się w swych sprawach rodzinnych. To też jako najszczęśliwsza z matek powróciła do domu i zawiadomiła o wszystkiem swoją rodzinę.

Ze swej strony w. książę chwyta pierwszą sposobność, by zwrócić uwagę króla na zakochaną parę i czyni to tem skwapliwiej, że wbił sobie w głowę, iż sprawi tem wielką przyjemność ojcowskiemu sercu. Tymczasem — ku wielkiemu swemu zdziwieniu spotkał się z burzą oburzenia na samą myśl o podobnym związku. Król wzburzony oświadczył się stanowczo przeciw temu małżeństwu i obruszył się na w. księcia, że mógł nawet coś podobnego pomyśleć, oraz zobowiązał go do powszechnego rozgłoszenia, że słyszeć nawet o tem nie chce. Wobec tego w. książę pełen wstydu musiał udać się do księżny Ludwiki i wyjaśnić jej, jak bardzo pomylił się co do zamiarów królewskich, że nie powinna żywić żadnej nadziei, i że najlepiej zrobi, zrywając wszelkie stosunki z Wilhelmem. Ale przyjęto go bardzo nieprzychylnie, gdyż księżna, podrażniona tą wiadomością, przyszła do przekonania, że w. książę uczynił to wszystko tylko w celu upokorzenia jej, że uprzednio naumyślnie tak ją przekonywał, aby obecnie tem, bardziej ją poniżyć. Oburzyła się jej staropruska duma i odprawiła go jako złośliwego intryganta, mieszającego się w jej rodzinne sprawy. Wiem, że właśnie tak było, gdyż sam w. książę opowiadał to wszystko memu mężowi"...

Wiadomość o niezadowoleniu króla zrobiła swoje. Obie strony starały się nieznacznie odsunąć się od siebie i przerwać nić miłosną. Dobitnie świadczy o tem list ks. Ludwiki do ks. Marjanny, żony ks. Wilhelma pruskiego, a więc bratowej królewskiej, pisany 23 sierpnia 1820 r. z Fürstensteinu, rezydencji hr. Hochberga, gdzie Radziwiłłowie gościli parę tygodni tego lata:

„Natzmer (przyjaciel ks. Wilhelma i powiernik jego uczuć dla Elizy) przyjechał o 5—6 dni wcześniej od księcia; cieszył się ogromnie, że nas widzi, i był uprzedzająco grzeczny. Ale zmienił się z chwilą przyjazdu Wilhelma i nie spuszczał oka z niego i z Elizy. Wejrzenie jego miało w sobie coś, co mi się nie podobało, nie wiem zresztą dlaczego. Zrobiło mi się przykro tem bardziej, że Wilhelm był dla mnie oziębły, sztywny, prawie niegrzeczny, a do Elizy odnosił się przyjaźnie wówczas tylko, gdy nie było Natzmera.

Gdyśmy odjeżdżali z Berlina o godzinie ósmej rano Wilhelm stawił się już u moich synów, był miły i serdeczny w takim stopniu, że mnie istotnie wzruszył. Odprowadził nas jeszcze trochę konno i chciał przez Behrenstrasse zajechać nam drogę, ale zepsuty most zmusił naszego woźnicę do udania się innemi ulicami. Napisał nam potem serdeczny list, który tu już zastałam, a teraz zachowuje się tak szczególnie...

Natzmer odjechał wraz z księciem, lecz udał się do Wrocławia i miał zamiar koło 20-go zjawić się w Landek. Ale przedłużyliśmy nasz pobyt w Fürstensteinie o cały tydzień. Wydaje mi się, że będzie to lepiej z rozmaitych względów. Przedewszystkiem skrócimy nasz pobyt w Landeck, którego obawiam się ze względu na szczerość Elizy. Nie będzie ona mogła ukryć swego zdziwienia i zmartwienia z powodu chytrych spojrzeń Natzmera i drwiącej oziębłości Wilhelma. Dotychczas ufa mu całkowicie i przypuszcza, że podczas pobytu tu u nas coś go zmartwiło lub że go coś zraziło. Rozmawiam z nią o nim możliwie najmniej, a przedłużenie pobytu tutaj wytłumaczyłam względami zdrowia Wandy... Jest to dla mnie jeszcze jedno bolesne doświadczenie w życiu i z tego powodu prawdopodobnie trzeba będzie, aby Eliza zdala od niego i Berlina spędziła tegoroczną zimę. Moje zdrowie może służyć za pretekst".

Jednak ujrzawszy znowu Elizę w Landek serce Wilhelma nie wytrwało i na nowo zabiło dla niej goręcej. Ks. Ludwika tak pisała dalej w swych listach do ks. Marjanny:

Landek, 4 września 1820 r... Ks. Wilhelma zastałyśmy tu w wesołem towarzystwie... Był dla nas znowu przyjacielski i miły, jak dawniej...

Landek, 6 września... Ks. Wilhelm pożegnał się z nami bardzo serdecznie i po przyjacielsku. Niewątpliwie kocha mnie bardzo, co się zaś tyczy innych jego uczuć, nie mam odwagi wydawać jakichkolwiek sądów. Oddaję to w ręce Boga. W każdym razie był znowu dawnym Wilhelmem. Pomimo tego wydaje mi się, że stanowczo potrzeba Elizę usunąć... Czytała wogóle tak jeszcze mało, że prawdopodobnie właśnie w lekturze można będzie znaleźć dla niej środek na oderwanie myśli"...

Poznań, 20 września... Rozstając się w Landeck z Wilhelmem, odprowadziliśmy go do Kunzendorfu. Był tak wzruszony i tak płakał serdecznie, że wzruszona ogromnie zadałam sobie pytanie, czy dla mnie właśnie tak

się rozczula. Ale potem zastanowiłam się, że może jest mu przykro rozstawać się i z innymi członkami rodziny; nie widziałam przecie ani jednego jego pożegnania z kimkolwiek. Tak też wytłumaczyłam to Elizie, która w pierwszych dniach rozstania się w rozmowie często powracała do tego czułego pożegnania... Obecnie Wilhelm pisuje do mnie naprawdę długie listy, prosząc, abym odczytawała je i Elizie. Nie wiem, czy jest z tego zadowolona, gdyż nigdy nie mówię z nią o nim i z przekonania robię wszystko, by zatrzeć w jej duszy wrażenie, jakie na nią wywarł"...

Ze swych uczuć Wilhelm tak zwierzał się w liście do generała Oldwiga v. Natzmera:

„Berlin, 19 grudnia 1820 r... Oczekują tu księżny Ludwiki pojutrze. Zapewne i do pana doszły słuchy o tem, jakoby mam wejść w bliższe związki z rodziną Radziwiłłów. Moje uczucie przyjaźni dla pana oraz okazywane mi przez pana zaufanie wymagają, abym dał mu w tej sprawie pewne wyjaśnienia.

Doszedłem do stałego przekonania, że o podobnym związku nawet myśleć nie mogę; kolizje z resztą rodziny zbyt wielkie i niezbyt przyjemne. Jakkolwiek powstały u mnie pewne skłonności, pozwolono jednak sobie zbyt pośpiesznie je rozpoznać i zbyt je powiększyć. Stąd powstały te słuchy, o których wspomniałem przed chwilą. Rozpowszechniły się one jeszcze bardziej po ostatniem zupełnie przypadkowem spotkaniu na Śląsku. Plotki doszły mnie dopiero w chwili mego wyjazdu do tej prowincji. Wobec tego, rozumie się samo przez się, że musiałem być bardzo ostrożny w mem zachowaniu się, gdyż nie chciałem uczynić prawdopodobnym rzekomego związku, skoro nigdy nie może on mieć miejsca.

Dawałem temu przekonaniu wyraz zawsze we wszystkich mych oświadczeniach, skoro potrącano o tą sprawę — i wobec tego spodziewam się, że plotki owe zamilkną wreszcie zupełnie.

Rozumie wszak pan, że po zarodzeniu się we mnie pewnych skłonności mogłem życzyć sobie, by nie istniały wspomniane względy rodzinne; w tych jednak warunkach nie mogę i nie powinienem dawać posłuchu memu sercu. Dzięki temu ustaną wszystkie dalsze przypuszczenia w tej sprawie.

Nie bez pewnego uczucia oczekuję przyjazdu tej rodziny. Chciałbym być na miejscu pana i móc wyjechać do Włoch!"...

Tym razem młody książę dotrzymał swego uczciwego postanowienia. Pomimo częstego stykania się z domem Radziwiłłów potrafił powstrzymywać się od objawiania swego uczucia — słuchy krążące o jego miłości do Elizy przycichły. Miłość jednak do uroczej kuzynki nie gasła — owszem — tłumiona zewnętrznie — wewnętrznie rozpalała się coraz goręcej, powodując bolesne cierpienia duszy. W liście z 30 stycznia 1821 r., opisując żywe obrazy, urządzone na jednym z wieczorów dworskich, w których brała udział Eliza jako Peri, zwierza się przyjacielowi:

„Nasz Król, jak słychać, pojedzie w marcu na kongres. Z jaką chęcią udałbym się z nim i dalej. Że mi nie wesoło, wiesz zapewne. Gdyby nie Karolina, która tu bawi obecnie, nie wiem jakich użyłbym wysiłków, by wyjechać stąd. Pan jesteś szczęśliwy"...

A innym razem w lecie:

„Codziennie prawię sobie morały, abym nie pozwolił uczuciom moim zapanować nad mojemi czynami... Pracuję wiele i nieustannie... Ale wśród zajęć moich wciąż mi przed oczyma stoi „Ewig" („Wiecznie" t. j. Eliza; tak ją nazywano w rodzinie z powodu pieczątki, której używała).

Eliza pod wpływem zachowania się Wilhelma, nie wiedząc nic o jego ukrywanem uczuciu, uspokoiła się i zajęta lekturą, muzyką i malarstwem czuła się szczęśliwą w otoczeniu rodziców i rodzeństwa.

2.

W tych warunkach dobiegał do końca 1821 r. Radziwiłłowie późno powrócili do Berlina. Wtem najniespodziewaniej w świecie zaczął się nowy akt w dziejach tej nieszczęśliwej miłości. Jak się to stało, opowiada obszernie książe Wilhelm w liście do Oldwiga Natzmera, datowanym z Berlina 9 marca 1822 r.:

„Co za zbieg okoliczności! Obudziwszy się dziś rano, postanowiłem zasiąść do listu do pana, aby wreszcie przerwać to długotrwałe milczenie z mojej strony, gdy zaś wszedłem do pracowni znalazłem na biurku list pański. Otworzyłem go ze drżeniem, spodziewając się zasłużonych wymówek za to, że nie odpowiedziałem na pański list grudniowy. Nie znalazłem jednak oni słowa wymówki, jeno wyrazy starej przyjaźni, którą tak wysoko cenię.

Niech mi pan zachowa ją i nadal, a w szczególności w tej chwili, może najbardziej nieszczęśliwej i najbardziej przełomowej w mem życiu. Wystarczy niewiele słów wyjaśnienia. Tyczy się to jeszcze moich spraw sercowych, którym w ubiegłym roku udzielałeś mi pan wiele swej uwagi.

Pan wie, że w owym czasie postanowiłem usunąć się sam, bez rozkazu zwyżej. Uczyniłem to, rychło jednak przekonałem się, że była to tylko komedja, którą grałem przed całym światem. Serce moje biło z dnia na dzień coraz goręcej... I czyż to jest niezrozumiałe?

To też ubiegłego lata żegnałem się (z Elizą), ożywiony uczuciem silniejszem, niż dawniej. Smutek, który mnie opanował nie mógł pozostać niezauważonym w ciągu sześciu miesięcy.

Gdy oczekiwano powrotu Radziwiłłów z Poznania, przysłał do mnie Król z zapytaniem, jak ze mną. Musiałem wyznać szczerze, że moja skłonność tylko wzrosła i że pomimo postanowienia, jakie powziąłem, i walk, które z sobą stoczyłem, nie czuję się na siłach zerwać samemu z uczuciem tak głębokiem i z istotą, która mnie tak zrozumiała.

Nato Król obiecał mi, że użyje wszelkich sposobów, wszystkiego, co się da uczynić, w celu przekonania się, czy można zawrzeć związek, którego sobie również życzy, gdyż księżniczka Eliza jest bardzo dobra. Ta obietnica spadła na mnie w okresie przyjazdu Radziwiłłów. Może pan sobie wyobrazić, z jaką nadzieją patrzyłem w przyszłość i jak szczęśliwe chwile przeżywałem.

Ale oto nadeszły ciężkie czasy! Poszukiwania archiwalne Ministerstwa Domu dowiodły, że według wszelkich zasad prawa ten związek jest niedopuszczalny. Tego nie spodziewałem się, myśląc tylko o nieprzyjemnościach związków rodzinnych, które mnie oczekiwały.

Wobec tego Król zażądał, abym całkowicie wyrzekł się wszystkich moich zamiarów i życzeń. Żaden człowiek

nie może sobie wyobrazić tej walki, którą toczyłem w ciągu kilku dni, aż powziąłem ostateczną decyzję. Często zastanawiałem się już dawniej nad taką katastrofą, ale nawet nie śniłem o tem, ile ona mnie kosztowała!

Wszyscy, do kogo zwracałem się o poradę, nie mogli udzielić mi innej, jak tę, abym poddał się całkowicie woli Króla. Tak radziła mi ks. Wilhelmowa (Marjanna, żona stryja), tak Brause (dawny guwerner Księcia), tak również W. Książę strelicki, którego nauczyłem się wielce cenić. Zdecydowałem się tedy pójść do Króla. Mówił ze mną serdecznie i głęboko wzruszony, ale musiał pozostać przy swem żądaniu. Było to dn. 16 lutego b. r.

W tym dniu znalazłem się znowu osierocony wśród świata, tak dla mnie pustego i pozbawionego wszelkiej radości. Doznałem w jak najwyższym stopniu wszystkiego, co dyktuje dobrym i drogim mi ludziom w takich chwilach współczucie, ale to wszystko nie uśmierza bólu, czyni nawet spełnioną ofiarę jeszcze cięższą, gdyż wszyscy mówią mi — niestety — o straconej dla mnie sprawie!

Mam wobec tego wyjechać . Już w ubiegłym tygodniu doszło mnie zaproszenie księcia Fryderyka (brata stryjecznego) do Düsseldorfu. Zawiadomiono mnie, że mogę jechać, jeśli chcę. O wszystkich tych zdarzeniach wciąż nic jeszcze nie mówiono rodzinie Radziwiłłów, a nawet unikano tego, gdyż ks. Ludwika jest bardzo cierpiąca tej zimy. Moja podróż w tej porze roku naturalnie musiałaby wywołać wielkie wrażenie, chciałem temu zapobiec i wierzyłem i miałem nadzieję, że będę mógł być w pobliżu ks. Elizy, dopóki o niczem nie wie. Nie przeczuwała niczego, a nawet odwrotnie, im częściej widywała mnie za-

myślonego, tem przyjaźniej odnosiła się do mnie. Czegoż nie przecierpiałem!...

Tymczasem przedwczoraj ks. Ludwika sama spowodowała wyjaśnienie sytuacji, napisawszy do mnie nieskończenie serdeczny i pełen miłości list, w którym wezwała mnie, abym w zupełnem zaufaniu wyznał jej powód mojego smutku, gdyż przeczuwa go już w pewnym stopniu i wie niejedno o tem, co mnie boli. Wzruszyło mnie to głęboko. Tegoż samego dnia napisałem do Wilhelma Radziwiłła (brata Elizy), wyznając mu wszystko. Na skutek tego przyszedł do mnie i dałem mu wczoraj odpowiedź dla jego matki.

Jestem tedy w smętnem oczekiwaniu, czy zechcę ze mną jeszcze mówić, czy też nie. W każdym razie wyjadę, prawdopodobnie już w poniedziałek do Düsseldorfu i Hagi i zabawię tymczasem do połowy kwietnia. Po powrocie, po przezwyciężeniu pierwszego bólu, ułożą się między nami inne, nowe stosunki.

Niech pan w myśli postawi siebie w mojem położeniu, a odczujesz, w jakim jestem nastroju i w jakim stanie.

Ale dość tego. Pewny pańskiej przyjaźni mogłem sobie pozwolić na tak długą opowieść o moich cierpieniach. Zmartwienie czyni człowieka samolubnym, wypowiada się wówczas szczerze do końca w mniemaniu, że inni czują tak samo...

Godzina wpół do siódmej wieczorem. Kończę, gdyż mam udać się do ks. Ludwiki. Nie jestem już w stanie obecnie napisać ani jednego słowa"...

Pożegnawszy się w smutku z Radziwiłłami i otrzymawszy od Elizy, zapewnienie, że pozostanie nadal jego wierną przyjaciółką, 11 marca 1822 r. Książę wyjechał

z Berlina. Tymczasem cały Berlin zajmował się losami jego uczucia i Elizy. Oto co donosiła Karolina v. Rochow w swych listach do Klary v. Rochow:

„Berlin, dnia 14 marca 1822 r. Fouqué zapewne opowie wam o tem, co tu u nas porusza *la ville et les faubourgs*. Oto ks. Wilhelm w uniesieniu miłosnem wprowadzony w błąd łaskawością, jaką król okazuje rodzinie Radziwiłłów, przypuścił, że nadzieja jego jest oparta na mocnych podstawach i zwrócił się do ojca z prośbą, aby mu pozwolił ożenić się z Elizą. Król nie zgodził się na to, dodawszy według twierdzenia pewnych ludzi, że może się z nią ożenić tylko w tym razie, jeżeli zrzeknie się swych praw do tronu. Książę jednak uznał to za niemożliwe i w rozpaczy, *la mort dans le coeur*, postanowił udać się w podróż zagraniczną. Ma ona trwać jakoby dwa tygodnie, a celem jej ma być Düsseldorf, Bruksela i Haga, zapewne jednak potrwa znacznie dłużej, inaczej bowiem nic nie pomogłoby. Postanowienie to zapadło nagle i wydało się niezwykle tajemniczem. Książę był jakoby pogrążony w takiej rozpaczy, że nikt nie mógł widzieć go bez najwyższego smutku. — Uczucia całego miasta, dla którego to wszystko było *secret de la comedie* są podzielone pomiędzy współczucie, smutek i zadowolenie. Radziwiłłom doniesiono o tem, ale oni jak zawsze zachowują się *en grand capitaine*...

Dziś rano wsadzono Elizę na konia i przejechała się ona *au grand galop* przez Tiergarten, za nią zaś jechały w powozie Blanka i Emilja jako *garde-vertu*. Wszystko to zapewne dla zamydlenia oczu światu.

Do tego wszystkiego dodają, że ks. Oskar (następca tronu szwedzkiego) przyjeżdża do Berlina w końcu tego miesiąca właśnie dla tej samej Elizy. Żal mi księcia Wilhelma, który — jak się zdaje — jest bardziej kochającą stroną. — Żal mi również Elizy...

Berlin, 18 marca 1822... Co się tyczy sprawy radziwiłłowskiej, to trzeba dodać, iż Król powiedział, że o tem małżeństwie mogłaby być mowa dopiero wtedy, gdy następca tronu ożeni się i będzie miał dzieci. A więc nadzieja nie jest jeszcze stracona i książę Wilhelm będzie jak Jakób w ciągu lat siedmiu starał się o swą Rachelę. Radziwiłłowie mieli być bardzo rozgniewani, ale Eliza jest zupełnie spokojna i tylko bardzo smutna. Historja z Oskarem nie sprawdza się. Jak wszystkimi ludźmi obecnie włada nim jakoby miłość do jakiejś Szwedki. Ale król-ojciec nie chce, aby się ożenił ze swą poddanką i zamierza mu dać za żonę córkę Eugenjusza Beauharnais — księcia Leuchtenberskiego. Tak tedy miłość czyni okropne spustoszenia wśród wielkich tego świata“...

Z podróży, która istotnie przeciągnęła się trzy miesiące, ks. Wilhelm pisał do Oldwiga Natzmera:

„Haga, 21 kwietnia 1822 r. Kochany twój list, najdroższy panie Natzmer, z dn. 15 poprzedniego miesiąca sprawił mi wielką radość i głęboko wzruszył. Pańskie współczucie, tak mi drogie podczas tych wszystkich ciężkich przejść, zesłanych na mnie z niebios, wypowiada się w tym liście tak serdecznie i szczerze, że nie umiem dość wyrazić panu mej podzięki za ten dowód pańskiego przywiązania.

Podróż robi mi dobrze, ale pomimo dobitnych dowodów przyjaźni, jakie tu spotykam, nie mogę odnaleść mej radości życia. Umarłem dla przyjemności, a ponieważ nie

mam pilnego zajęcia, tonę w wspomnieniach szczęśliwych i nieszczęśliwych chwil przeszłości.,,

O mym powrocie nie wiem jeszcze nic pewnego. Jeśli wojenne plany będą realizowane, pośpieszę natychmiast zpowrotem tak rychło i tak szybko, jak tego będzie potrzeba. Ale w innym razie będę musiał prosić Króla, aby przedłużył moją nieobecność w Berlinie aż odbędzie się ślub Aleksandry (z w. księciem Pawłem meklembursko-szweryńskkim), gdyż, pojmie pan, byłoby to ponad moje siły, gdyby wypadło mi ten dzień spędzić w jednem z Elizą towarzystwie. Jakkolwiek wszelkie publiczne ukazanie się wraz z nią byłoby dla mnie jeszcze zbyt bolesne, pożądam jednak gorąco zobaczyć ją raz jeszcze przed naszem rozstaniem się na czas bardzo długi. W każdym razie chciałbym ją ujrzeć — ale nie wobec świata. Może będę miał sposobność po temu w Fürstensteinie...

Ufam Bogu i w Nim pokładam swą nadzieję. Nie opuścił mnie dotąd i dał mi siły znieść jego niezbadane wyroki i tak samo zlał swe łaski na drogą mi istotę...

Koblencja, 29 maja 1822 r... Od paru dni mam widoki powrotu do Berlina, gdzie spotka mnie bolesna radość ostatniego widzenia się z rodziną Radziwiłłów. Życzyłem sobie, aby spotkanie to odbyło się w tej miejscowości na Śląsku, gdzie Radziwiłłowie chcą spędzić lato, a to dla uniknięcia tych nieprzyjemności, które są właściwe w takich razach miastu.

Ale odmówiono mi tego i mam udać się do Berlina. Na szczęście wszelkie uroczystości już minęły. To ostatnie spotkanie przed napewno długiem decydującem rozstaniem będzie dla mnie wielką pociechą, aczkolwiek nie zabraknie przy tem i ciężkich momentów"...

O widzeniu się zakochanej pary w końcu czerwca donosiła ks. Eliza Lulu Kleistównie w liście z Berlina z dnia 2 lipca 1822 r.

„Zwlekałam z odpowiedzią na twój list, moja Lulo najdroższa, gdyż przeżywałam okres, który nie usposabiał pisać obszernie i serdecznie szczerze. Przykre, bolesne były to chwile, ale przyniosły one nam obojgu również pewne pocieszenie; nie oddałabym ich za żadną cenę.

Wiesz przecie, jaka cisza panowała między nami dawniej; rozstaliśmy się wówczas nie zamieniwszy o naszem uczuciu ani słowa. Wszystko pozostało niewypowiedzianem. Obecne widzenie się wyprowadziło między nami wszystko na czyste wody. Rozumiemy się obecnie tak, jak życzylibyśmy tego teoretycznie. Niema między nami żadnych niepewności, wszystko wiemy o sobie. Mam tę pociechę, że sprowadziłam spokój do jego serca i że dałam mu kilka pierwszych wesołych godzin, jakie miał od marca.

Wigilją swego odjazdu był u nas na obiedzie i spędził z nami cały wieczór. Do godziny 11-tej w nocy siedzieliśmy w ogrodzie. Bez przymusu i bez świadków mogliśmy się rozmówić, jak brat z siostrą. Ale było to właściwie jeszcze ładniej. Wyjaśnił mi wiele ze swego zachowania się na Śląsku (jesienią 1820 r.), z czego zażądałam sprawozdania, i mówił tak pięknie, tak porywająco, tak bez jakichkolwiek ogródek o swej miłości, że nie mogłam zapanować nad sobą i rozpłakałam się, roniąc łzy na splecione dłonie. Nie starałam się również ukrywać przed nim, jak mnie wzruszyły jego słowa, i wyspowiadałam się mu ze wszystkich mych uczuć.

To widzenie się podziałało bardzo dobrze i zdziałało wiele dobrego, moja droga Luluchno! W ciągu tej krótkiej chwili stał mi się jeszcze bardziej drogi i w mojem sercu zakorzeniło się mocne postanowienie cierpliwego zniesienia gwoli jego miłości wszystkich burz i dochowania mu wierności na zawsze. Oprócz tego mógł mi wypowiedzieć wiele swych uczuć i usłyszeć ode mnie wiele z tego, czego dotychczas dowiadywał się tylko z listów mamy. Tak rozstaliśmy się z wielkiem bólu i roniąc obfite łzy, ale nie bez iskierki dobrej nadziei"...

Tą iskierką nadziei były nowe usiłowania znalezienie wyjścia z przykrej sytuacji. Król zezwolił synowi złożyć sobie memorjały w tej sprawie, opracowane przez wybitnych prawników i polityków, zaprzyjaźnionych z Księciem. Radziwiłłowie tymczasem wyjechali z Berlina na lato. O zdarzeniach tego okresu opowiada z uczuciem w swym pamiętniku hr. Eliza von Bernstorff:

„Do przykrości, przyniesionych mi przez te czasy, należy również rozstanie się z rodziną drogich sąsiadów, Radziwiłłów. Przypominam sobie ciepły ładny wieczór dnia 11 lipca. Siedziałam przy oknie; wtem ujrzałam oba nasze ogrody oświecone magicznem światłem, puszczonych u Radziwiłłów rakiet. Gdy czarodziejskie ognie zgasły i ustał hałas pękających fajerwerków, rozległy się dźwięki gitary książęcej, które dochodziły aż tu do mnie wraz ze śpiewem jego córki. Nigdy Eliza nie była milsza i bardziej urocza, jak właśnie tego lata, kiedy rozpoczęła się epoka jej doświadczeń i kiedy król nie dał swego zezwolenia na zaślubienie jej przez ks. Wilhelma, co zdawało się tak prawdopodobnem. Książę w najrozmaitszy sposób ukazywał swą miłość ku niej i nic dziwnego, że oddała się temu uczuciu. Rodzice jej powstrzymywali się od wszelkiego wpływu na tę sprawę, aczkolwiek z jednej strony przyświecała im najpiękniejsza nadzieja, a z drugiej szarpał ich duszę bolesny niepokój, który był spowodowany chwiejnemi stanowiskami króla. Ten bowiem kazał sobie składać w tej sprawie memorjały; Savigny i hr. Antoni Stolberg w swych pismach starali się dowieść, opierając się na przykładach ubiegłych lat, że takie małżeństwo jest możliwe. Twierdzenia ich zostały jednak uznane za niewystarczające.

Miękie serce królewskie w gruncie rzeczy życzyło sobie uznania Elizy za równą urodzeniem księciu; powołał tedy komisję, której sam przewodniczył, a której członkiem był między innymi mój mąż, aby ona wydała wyrok ostateczny.

Mój mąż nie godził się z takiem postawieniem sprawy. Rozumiał, że w danym razie w żaden sposób niemożna dowieść równości urodzenia — i dlatego głosował w sensie negatywnym, ale życzył sobie gorąco, by król sam rozwiązał to zagadnienie prawne i by własną mocą pozwolił na to małżeństwo. Na to znowu nie mógł się zdecydować król i dzięki temu wszystko zostało w zawieszeniu"...

Narady komisji jednak ciągnęły się przez parę miesięcy: o biegu jej zajęć zanotował w swym dzienniku Varnhagen von Ense:

„Koło 21 czerwca odbyła u ks. Wittgensteina, jako ministra Domu konferencja w sprawie związku ks. Wilhelma z ks. Elizą Radziwiłłówną. Pan de Savigny odczytał swój memorjał, napisany w przychylnym sensie. Pan profesor de Lancizolle również wygotował pismo w tej sprawie. Obecni byli hr. von Lottum i pan von

Kamtz. Wittgenstein jest jakoby przeciwny temu związkowi, gdyż nienawidzi rodziny Radziwiłłów"...

Hrabina Bernstorff ciągnie dalej:

„W ciągu kilku ostatnich tygodni moja rodzina często gościła w pałacu radziwiłłowskim, a wraz z nią i hr. Antoni Stolberg, który liczył się do gorących przyjaciół rodziców Elizy. Książęta-rodzice i cała rodzina darzyli go poważaniem i serdeczną miłością. On zaś poważnie zajmował się sprawą małżeństwa i dzielił z nimi zarówno troski, spadające na nich, jak wszystko, czem ta rodzina potrafiła upiększać sobie życie...

Dnia 16 lipca widziałam się z szanowną ks. Ludwiką. Była dla mnie nieskończenie serdeczna, ale jeszcze więcej serca okazała dla mnie urocza Eliza, którą zbliżające się rozstanie nastrajało smutnie. W moim albumie znajduje się następujące pożegnanie, zapisane w dniu 20 lipca: „Śmierć nie boli, lecz rozstawanie się z drogiemi duszami. Zabieram z sobą wspomnienie Pani i Twojej miłości. Eliza Radziwiłł".

Dnia 28 lipca na podwórzu pałacu radziwiłłowskiego skupiło się wiele podróżnych powozów. Już wczesnym rankiem zeszliśmy do drogich sąsiadów i odprowadziliśmy ich do pojazdów, żegnając się z rozdartem sercem. Moje córki nie mogły wypuścić ze swych objęć księżniczki Wandy. Później zawisły na szyi Elizy. Zdawały sobie sprawę, że z odjazdem tych przyjaciółek będą czuły nie dającą się niczem wypełnić pustkę. W serdecznem obejściu się wszystkich członków tej rodziny było niezwykle wiele przyjaźni i jakiś urok, który pociągnął ku nim i młodzież i dorosłych.

Gdy pożegnaniom nie było końca, kiedy księżna zasiadła już w powozie, a Eliza obejmowała serdecznie moją matkę, książę - ojciec porwał prawie przemocą swoją pieszczotę i posadził ją w pojeździe. Ruszył pierwszy powóz, za nim drugi, — następne i opustoszało podwórze, umilkł pałac, oniemiał ogród, w którym nie rozlegał się już głos papugi, wołający Tory i Klary (córki hr. Bernstorff), i tak pozostało wszystko na długie osiem lat"...

3.

Rozpoczął się dla Elizy i Wilhelma trzeci okres w ich stosunku. Okres wyczekiwania na zezwolenie królewskie i prób pozyskania go. Był on dla delikatnej duszy Elizy bardzo ciężki i uczucie jej dla Wilhelma zaczęło wzrastać w szybkiem tempie; teraz i ona zaczęła przechodzić męki tęsknoty. Już pierwszy list jej do Lulu Kleistówny, pisany w Ruhbergu na Śląsku dn. 27 sierpnia 1822 r., odsłania nam stan jej duszy:

„Twój list wzruszył mnie głęboko... Zbudziły się we mnie wszystkie wspomnienia, przypomniały mi się wszystkie przeżyte chwile radosne i bolesne, wreszcie zatargała mą tęsknotą i rozpłakałam się. O drogie moje miasto, mój kochany domie ojczysty! Stanęłyście w całej swej krasie przed oczyma mojemi; pomimo prześlicznej okolicy, w której się znajduję, wybuchła we mnie w całej swej sile nostalgja za wami! Ujrzałam swój błękitny pokój, w którym tyle przesiadywaliśmy, ławeczki w ogrodzie i wszystkie te miejsca, które wryły mi się w pamięć ze względu na *simple histoire* i tysiąc innych przywiązanych do nich wspomnień. Pytałam ze łzami w oczach, czy wrócą jeszcze te dnie, nie mówię najszczęśliwsze, które z tobą przeżyłam, ale te bo-

lesne, a słodkie? Czy wrócą?... Bóg wie tylko o tem, a nie chcę się Nań uskarżać, gdyż dał mi teraz nową nadzieję i nowe widoki otworzył przede mną, o których jednak milczeć muszę. Oby spełniły się one, nie przeżyłabym drugi raz rozczarowania"...

Tęsknota za ukochanym fatalnie odbijała się na stanie jej nerwów. Ks. Ludwika z niepokojem donosiła o nastrojach córki ks. Marjannie w liście z Poznania z dn. 29 października 1822 r.:

„Byłoby inaczej, gdybyśmy 28-go października spędzali jeszcze w kochanych górach. W wigilję swych imienin biedna Eliza wpadła w taki stan niewiary w przyszłość, żeśmy nie bez łez składali jej nazajutrz życzenia. Obawiałam się, że ten nastrój nie zniknie tego dnia, a to nie byłoby dobrze tu, w tem mieście. Zarówno z ciekawości, jak z miłości i ze współczucia dla Elizy czatują na jej spojrzenie i zachowanie, w celu wyciągnięcia z nich odpowiednich wniosków o jej uczuciu i położeniu. Twój list z Fischbachu rozweselił jednak wkońcu wszystkich. Berlińska zaś poczta przyniosła nam długi 16-to-stronnicowy list ks. Wilhelma, rozpoczęty w Neuchatelu, a skończony w Medjolanie. Przytacza wiele ciekawych szczegółów ze swej podróży przez Genewę, Lozannę i Chamouny; szczególnie zachwyciła go droga przez Simplon. Urodziny Butta (tak nazywała rodzina następcę tronu, późniejszego króla Fryderyka - Wilhelma IV-go) obchodził na wyspach Borromeuszowych"...

Smutny też jest list ks. Elizy do przyjaciółki z dn. 30 października 1822 r.:

„Twój drogi list odebrałam właśnie 28 października rano, moja kochana Lulo, i aczkolwiek byłam melancholijnie nastrojona, rada byłam odebrać wiadomości o tobie... Mama otrzymała wczoraj długi, kochany, zajmujący list z Szwajcarji i Włoch. Odczytała mi go natychmiast, a ja jeszcze raz sama... Chciałabym wiedzieć, co czynił w dzień moich urodzin!... I cóż mam ci opowiadać?... Jakiś ból, ukryty głęboko w sercu, przeszkadza mi być wesołą i swobodną; byłabym jednak bardzo niewdzięczną, gdybym nie cenila należycie bezgranicznej miłości i dobroci mych rodziców, oraz współczucia ludzi, którego doświadczam. Nie jestem już tą szczęśliwą, pełną radości istotą, co dawniej. Nie mam siły przeliczyć nawet do jednego i nie budzę się już rozradowana... Płaczę nie łzami radości, jak dawniej... Czy wróci kiedy dawne moje usposobienie?"...

Ks. Wilhelm pisywał często, skwapliwie donosząc nawet o cieniu nadziei pomyślnego załatwienia ich sprawy. Jak te wiadomości były przyjmowane przez Elizę, widzimy z listów matki jej do ks. Marjanny:

„Poznań, 31 października 1822 r. Tylko co odebrałam nowy długi list Wilhelma z Werony z datą 21 października. Cesarz Aleksander odwiedził go i z wielką przyjaźnią i wspóczuciem rozmawiał z nim o jego przyszłości. Cesarz mówił o tem również z królem i usłyszał od niego, że otwierają się nowe widoki. Wilhelm z najwyższem wzruszeniem pisze o tem, cieszy się i obawia się zarazem... Ja podzielam te jego uczucia i boję się, czy Eliza czasem nie zawiele ma nadziei"...

„Poznań 15 listopada 1822 r... Wczoraj Eliza nawpół zemdlona została zaniesiona do łóżka i musiała leżeć cały dzień. Pochodziło to z uderzenia krwi do głowy i do serca, co odbija się na jej nerwach. Przyczyną tego był list Wilhelma bardzo serdeczny i przyjacielski, w którym

donosi, że mają być zwołane w Berlinie nowe narady. Chociaż Wilhelm dodał: „Niczego się nie obawiam“, to jednak wspomnienie zeszłorocznej zimowej dyskusji i wiadomość o jej wznowieniu zabolała Elizę ogromnie“...

Ks. Eliza pisała w tych czasach do Lulu Kleistówny dnia 12 grudnia 1822 r.:

„Moja kochana Lulo! Przed chwilą mama odebrała bardzo radosny list z Neapolu, który ożywił mnie znowu i rozproszył wszystkie chmury wiszące na mojem niebie od czasu wręczonego mi przez p. Belowa listu drogiego następcy tronu. Pan Below wszedł do mego pokoju onegdaj wieczorem... Zjawienie się jego wywołało jakieś pomieszane uczucie radości i przykrości. Usiadł, wypił z nami herbatę i opowiedział tysiąc najrozmaitszych historyj o Berlinie i jego mieszkańcach. W naszem cichem jednostajnem życiu ten wieczór stanowi szczególne urozmaicenie...

Kalksteinowie są zachwyceni tobą. Cieszy mnie, że moja Lula jest ceniona przez tych miłych Polaków... Pomiędzy Polakami jest wiele miłych i szanownych ludzi. Gdy się zagłębiam coraz bardziej w historję, budzi się we mnie gorące współczucie do tego biednego, ale sławnego narodu“...

Ostatnie zdanie tego listu świadczy o głębokiej przemianie duszy Elizy pod wpływem cierpień tęsknoty. Serce, dotąd kosmopolitycznie czujące, stało się wrażliwem na każdy ból. Budzi się w niej uśpiony patrjotyzm.

Zbliżał się czas, w którym poprzednich lat Radziwiłłowie normalnie wyjeżdżali do Berlina. Zarówno matka jak córka były przywiązane do tego miasta i chętnie tam spędzały zimowe miesiące. W tym jednak roku niewyjaśniona wciąż sytuacja ks. Elizy skłoniła jej rodziców do pozostania na zimę w Poznaniu. Ks. Ludwika donosiła o tem ks. Marjannie w liście z dn. 28 grudnia 1822 r.:

„Zdecydowaliśmy się pozostać na święta w Poznaniu. Jest to lepiej, mojem zdaniem, znacznie lepiej i dla Elizy i dla mnie. Takiej zimy, jak ubiegła, za nic nie chciałabym przeżyć. Jeśli się wszystko obróci na złe, Wilhelm musiałby znowu opuścić swą rodzinę. Na to nie przestanę nigdy. I dlatego właśnie nie pisałam mu nic o naszem obecnem postanowieniu. Niech dowie się o tem po powrocie do Berlina...

Do czasu, aż Bóg ku dobremu skieruje nasze losy, musimy być od siebie oddaleni. Eliza rozumie to i czuje tak, jak ja na to patrzę... W obecnych warunkach nie może życzyć sobie widzenia z nim... Wilhelm wciąż żywi dobrą nadzieję i wierzy bardzo w przyszłość. Oby Bóg uchronił go od rozczarowania“...

Na pocieszenie Elizy przybyła do Poznania Lula Kleistówna i spędziła z nią cztery miesiące. Wilhelm w lutym 1823 r. powrócił z podróży zagranicznej do Berlina i pod jego wpływem rozpoczęły się narady komisji specjalnej, zwołanej przez króla w celu ponownego rozpatrzenia sprawy małżeństwa z Elizą.

Widocznie jednak Król nie poddawał się w tym czasie podszeptom nieprzyjaznych Radziwiłłom dostojników, bo w końcu czerwca — 24-go — pisała z Pyrmontu ks. Marjanna pruska do ks. Ludwiki:

„Prawdziwie uradowana i uspokojona w swem sercu, co do ciebie i losów Elizy, jak również wszystkich kochanych, opuściłam Berlin, gdzie słyszałam tyle dobrego, chwalić Boga. Będziemy tedy mieli radosne spotkanie na Śląsku“...

Ks. Ludwika odpisała na to z Poznania dn. 3 lipca 1823 r.:

„Nie rozumiem zupełnie tego, co piszesz o radosnem spotkaniu na Śląsku. Butt (*następca tronu, późniejszy król Fryderyk - Wilhelm IV*), który bawił tu u nas, nie jest zadowolony z okoliczności. Słowa ojca cieszą go, ale nie środki, które wybrano dla osiągnięcia pożądanego celu. Wilhelm był wprawdzie zadowolony i pełen radosnej nadziei, ale obawiam się, że często ulega złudzeniom, którym nie bardzo ufam. Oby Bóg uchylił nieszczęście, niech zresztą stanie się wola Jego!"...

Nie czekali jednak Radziwiłłowie biernie na rozstrzygnięcie losu córki. W dziesięć dni po tym liście ks. Antoni z synem Ferdynandem udał się do Petersburga szukać pomocy u cesarza Aleksandra. Ks. Ludwika donosiła o tem kuzynce Marjannie pod datą 15 lipca 1823 r.:

„Mój mąż i Ferdynand 12 lipca wyjechali. Bardzo przykro mi było rozstawać się z nimi. Gdy się losy istoty kochanej zarysowują w niepewności, człek się mimowoli ze wszystkiego smuci"...

W tym czasie pisała ks. Eliza do Luli Kleistówny z Poznania dn. 31 lipca:

„Miałam nadzieję zobaczenia się z tobą na Śląsku. Niestety stało się inaczej... Co się tyczy moich innych marzeń i nadziei, to niedawno pełgał płomyczek, który miał się jakoby rozpalić jasnym płomieniem. Nie pisałam ci o tem, gdyż nie mogłam podać ci szczegółów. Pełga ten płomyk wciąż, jak dawniej bez zmiany. Bóg jeden wie, jak długo to wszystko jeszcze potrwa, zanim nastąpi rozwiązanie sprawy, i dlatego również nie mogę ci donieść nic pewnego

i czy jesień wprowadzi nas na szczyt naszych marzeń. Wątpię w to wszakże"...

Pomimo tych wątpliwości Elizy, rodzina jej i znajomi spodziewali się jednak pomyślnego rozstrzygnięcia jej losu. Albertyna Bogusławska, dama dworu ks. Marjanny pruskiej, tak donosiła o tem swej matce z Fischbachu dn. 8-go września 1823 r.:

„Wczoraj byłyśmy w Ruhbergu (*u Radziwiłłów*). Wszyscy byli tam bardzo weseli, a w szczególności Matka (*ks. Ludwika*). Zaraz po naszym przyjeździe zabrała moją księżnę do swego pokoju, zostawiwszy nas wszystkich z Elizą na dole. Wszyscy tu byli zadowoleni, a Matka powróciwszy z Księżną, miała wygląd zupełnie szczęśliwej osoby. Nie wiem, co to może znaczyć. Eliza wydała mi się zupełnie spokojną, zadowoloną i szczerze szczęśliwą. Jest niezwykle uprzejma i bardzo uduchowiona. Ponieważ u nich zawsze czyniono wiele dla zachowania pozorów, mimowoli przywiązuje się do tego może trochę za wiele wagi... Jest jednak przytem zupełnie godna tej głębokiej miłości, jaką żywi dla niej książę Wilhelm... Księżna Marjanna mówiła mi szczerze, iż wierzy w możność tego związku i że podróż księcia Wilhelma do Włoch nie dojdzie do skutku"...

A w dn. 20 września 1823 r. ta sama pisała do matki:

„Dziś rano ks. Radziwiłłowa wraz z rodziną pożegnała się z nami i wyjechała do Poznania. Cała rodzina była bardzo wzruszona. Dotychczas niema jeszcze nic pewnego w sprawie ks. Elizy, ale ze wszystkiego zdaje mi się wynikać, że nie trzeba wątpić o rychłem szczęśliwem rozstrzygnięciu"...

Jesienią ks. Wilhelm w towarzystwie Wilhelma Radziwiłła pojechał do Petersburga. — O wiadomościach stamtąd donosiła ks. Ludwika ks. Marjannie z Poznania dn. 13 listopada 1823 r.:

„Z tą i przedostatnią pocztą odebrałam listy od Cesarzowej-matki (Marji Teodorówny, matki Aleksandra I), która przysłała mi również listy ks. Wilhelma i Wilhelma, mego syna. Przedostatni był pisany w dzień urodzin Elizy, o której odzywa się bardzo serdecznie. Ks. Wilhelm donosi mi, że przyjęła go jak dobra kochająca matka, wzniosła toast za zdrowie Elizy i ze współczuciem odniosła się do jego zmartwienia. Dla mego Wilhelma jest również nadzwyczaj miłościwa i traktuje go tak, jak z mojej rodziny traktujesz tylko ty i twój mąż, tak zawsze łaskawy dla moich dzieci“...

To poparcie i życzliwość dworu rosyjskiego znaczyły wiele. Król musiał liczyć się z życzeniami sprzymierzeńca. Otwierała się tedy przed kochającemi sercami nadzieja, która tembardziej się wzmogła, że Następca tronu w tych czasach ożenił się i stawało się prawdopodobieństwem, iż ks. Wilhelm nie będzie musiał zasiadać na tronie pruskim. Pomimo tego jednak Radziwiłłowie nie pojechali na uroczystości do Berlina, a Eliza, czując, iż zbliża się chwila rozstrzygająca, wpadła w depresję — jakgdyby przeczuwając znowu jakieś przeszkody. Oto, co pisała dn. 11 grudnia 1823 r. ks. Ludwika do ks. Marjanny:

„Obecne zdarzenia, ten ślub, opisy uroczystości, wzruszające listy kochanego ks. Wilhelma, wszystko to działa na Elizę bardziej, niż cokolwiek innego w ciągu tych dwóch ostatnich lat. Dziękuje ci ona z głębi serca za twój stały, pełny współczucia stosunek do kochanego księcia i za dobrotliwy wpływ na niego. Wilhelm wspomina o tem sam w swoim liście z dn. 29 listopada, a Eliza zawołała na to ze łzami: „Dzięki Bogu, że w pani Minnetrost *(tak nazywano ks. Marjannę w rodzinie)* znalazł oparcie“...

A ks. Eliza zwierzała się w liście z dn. 21 grudnia t. r. Lulu Kleistównie:

„Moja najdroższa, najukochańsza Lulo! Trudno znaleść bardziej odpowiednią godzinę do serdecznej i poufnej rozmowy z tobą, niż dzisiaj. Z powodu niedomagania musiałam sama zostać w domu, gdy wszyscy poszli do kościoła. Modlę się zawsze do Boga serdecznie — i to podtrzymuje tak słodko moje siły. A gdy zanadto zaczynam tęsknić, gdy przyszłość zdaje się coraz bardziej spowijać w kiry, wówczas odczytuję te serdeczne i piękne słowa, które przysłał mi hrabia Antoni Stolberg ze Śląska. Przywracają one mi zwątlałą nadzieję“...

4.

Pomimo, iż następca tronu ożenił się, a w Petersburgu przychylnem okiem patrzano na uczucie Wilhelma, król nic nie postanowił w jego sprawie. Milczał uparcie, a położenie kochającej się pary, zgodnie z przeczuciami Elizy, stawało się coraz bardziej rozpaczliwe. Wówczas bliscy obojgu rozpoczęli starania, o których pisała dnia 9 lutego 1824 r. ks. Ludwika do ks. Marjanny:

„Fryc, Butt *(bracia Wilhelma)* i Wilhelm zdecydowali raz już zakończyć sprawę małżeństwa. Wcześniejsze listy pozwolały mi wierzyć, iż pójdzie w dalszym ciągu tą drogą, na którą ją wepchnięto; tymczasem powzięto inne postanowienie i wezwano mnie, abym napisała do króla... Ten krok był dla mnie bardzo przykry, ale zrobiłam go;

mój mąż napisał do nich w sensie przeciwnym i podawał swe racje, ale wszyscy trzej czy też tylko dwaj pozostali przy swem zdaniu. Wilhelm był wyraźnie przeciwny zdaniu mego męża. Mój pierwszy list był bardzo ostry, gdyż dobry Butt, powodowany uszanowaniem i miłością, nie wyraził się dostatecznie dobitnie i mnie przypadło w udziale postawienie sprawy na ostrzu noża. Otrzymawszy odpis listu, wysłanego do króla przez Wilhelma, napisałam drugi, który, mojem zdaniem, w związku z tamtym kończy sprawę ostatecznie. Spodziewałam się, że dziś otrzymam od Wilhelma odpowiedź, którą odebrał, ale tak się nie stało i chyba we czwartek dojdzie ona moich rąk, gdyż król otrzymał mój list w sobotę po balu. Tem lepiej, że się tak stało, gdyż odrazu zawiadomię Elizę o wszystkich smutnych szczegółach. Dotąd zaledwie w ogólnych zarysach poinformowałam ją, że sprawa zbliża się prawdopodobnie ku niepomyślnemu dla niej końcowi. Jest pobożna, ufa w łaskę Boga i nie traci nadziei... Jednak w ciągu ostatnich 8 dni schudła bardzo"...

O przyczynach, które skłoniły książąt i Radziwiłłów do opowiedzianego wyżej przez ks. Ludwikę wystąpienia, i o daremnem wyczekiwaniu skutków jego tak pisał trochę później ks. Wilhelm do Oldwiga Natzmera:

„Berlin, 22 lutego 1824 r. Przed paru dniami Brause złożył mi pozdrowienie w imieniu pana, za co serdecznie dziękuję. Powiedziałeś mu również o mojej myśli kupienia majątku no Śląsku. Ale wybiłem to już sobie z głowy. Po pierwsze dlatego, że sam nie znajdę przyjemności w takiej własności, a po drugie, że właśnie w pańskiej prowincji mają zamiar osiąść ci, których jestem zmuszony unikać, albowiem sprawa moja przechodzi znowu kryzys.

Król, który — jak mi się zdawało — jakoby życzył sobie usunięcia wszelkich przeszkód, stojących na drodze do mego szczęścia, i który jakoby czekał tylko na to, by dać mi swoje przyzwolenie, dwa miesiące temu w gwałtownej rozmowie ze mną wypowiedział się w taki sposób, że straciłem wszelką nadzieję. Wpadłem w okropny stan, z którego nie mogłem się wydostać inaczej, jak napisawszy za radą następcy tronu i ks. Orańskiego list do króla, w którym powołując się na naszą rozmowę, odsłaniającą jego zdanie i odbierającą mi wszelką nadzieję, prosiłem go, by wreszcie raczył zdecydować ostatecznie o moim losie.

Ks. Ludwika, której, doniosłem o beznadziejnem położeniu mojem, również napisała do króla domagając się ostatecznej decyzji. Ale i te środki nie doprowadziły do celu. Król trzy tygodnie temu odebrał te listy, wiem, że przyjął je dobrze, ale wciąż jeszcze nic nie postanowił. Chce się radzić to tego, to owego, odkłada tylko nieustannie, ale nie uwzględnia okropności mego beznadziejnego położenia. Naprawdę, staje się to nie do zniesienia!

Nasze sprawy zewnętrzne również nie dają powodu do radości. Wszystko, o czem mówiliśmy razem i co nas tak bolało, według mego zdania — od owego czasu tylko się pogarsza — a to, podobnie jak i w moich sprawach prywatnych, dzięki brakowi energji...

Berlin, 31 marca 1824 r. Przyjm pan, mój drogi Natzmerze, najserdeczniejsze podziękowanie za dwa drogie pisma, w szczególności zaś za serdeczne życzenia w dniu 22 t. m. Ten dzień minął, jak i tyle innych, w tęsknych oczekiwaniach i w niespełnionych nadziejach. Wszystko, co się tyczy mego losu, zostało odłożone na długo; król nie może się zdecydować na powiedzenie ostatecznego

„Nie“. Sam już nie wiem, co mam o tem myśleć! Chyba przyszłości przyniesie nam rozstrzygnięcie tej zagadki“...

Istotnie postępowanie króla było bardzo zagadkowe. Jak wynika z jednego z późniejszych listów ks. Ludwiki, król dał jej wreszcie odpowiedź, by „czekała i uspokoiła się“ — a jednocześnie zaprojektowano widzenie się rodziny królewskiej z Radziwiłłami na Śląsku. Na wiadomość o tem pisała ks. Ludwika do ks. Marjanny z Poznania dnia 4 kwietnia t. r. z pewną radością.

„A więc mówiłaś wreszcie z Wilhelmem... Istotnie co za karnawał letni będziemy mieli w górach, moja Marjanno!... Myśl zobaczenia u Ciebie Wilhelma w towarzystwie króla i wszystkich książąt przestraszyła z początku Elizę w tym stopniu, że w pierwszych dniach po otrzymaniu wiadomości nie mogła nawet pomyśleć o tem. Ponieważ jednak to widzenie sprawi jej naprawdę wielką radość, pożąda jego obecnie i codziennie rozmyśla o niem i stara się przewidzieć, jak ono się odbędzie. Chce w ten sposób nabrać kontenansu... Gdyby Wilhelm istotnie znalazł się w Fischbachu, byłoby to zdarzenie bardzo ładne, które pozostawiłoby po sobie głębokie wrażenie“...

W lipcu komisja, powołana przez króla dla rozpatrzenia sprawy małżeństwa ks. Wilhelma z Elizą, ostatecznie wypowiedziała się przeciw równorzędności urodzenia. Król jednak nie zatwierdził tej decyzji. To dało znowu powód do żywienia nadziei, tem bardziej, że miała drogą morską z Petersburga nadjechać ks. Karolina, żona w. ks. Mikołaja, mająca mir u ojca i bardzo przychylna uczuciom brata dla Radziwiłłówny, która 30 lipca t. r. pisała z Ruhbergu do przyjaciółki Kleistówny.

„Blancheflour pisała już dwa razy do mamy od chwili, gdy postanowiona została jej podróż morska... Jej przyjazd może przynieść jakieś rozstrzygnięcie i mego losu; chcę w to wierzyć, aczkolwiek już tyle razy zawiedziona zostałam w swych nadziejach. W każdym razie dopiero zima przyniesie decyzję ostateczną. Módl się za mnie, moja Kochana!...“

Niestety kochana córka nic nie zyskała. Król wciąż zagadkowo milczał, unikając jakichkolwiek rozmów w tej sprawie. Ks. Ludwika donosiła ks. Marjannie o tem w swych listach:

„Ruhberg, 13 sierpnia 1824... Fryc Orański odwiedził mego męża i powiedział mu, że król z nikim — ani z otoczenia, ani z nim nawet — nie mówi o ks. Wilhelmie i że nikt nie ma pojęcia, jak i kiedy zawyrokuje o jego małżeństwie. Przypuszczalnie będzie o tem wiedział Wittgenstein. Mój mąż pisze dalej, że król stale unika jakichkolwiek z nim rozmów, aby nie być zmuszonym do wspomnienia naszych imion...

Ruhberg. 1 września 1824... Ks. Wilhelm pisał do mnie 25 i 28 sierpnia. Król nie powiedział Karolinie nic zdecydowanego. Tak tedy pozostaje wszystko wciąż w zawieszeniu...“

Najgorszem jednak było nie zawieszenie, ale to, że król nie pozwolił Wilhelmowi — jednemu z całej rodziny — udać się do Fischbachu, gdzie rodzina królewska miała u ks. Marjanny spotkać się z Radziwiłłami. Albertyna Bogusławska pisała z Fischbachu dn. 4 września t. r. do matki:

„Kochanej Elizie zapewne często bije obecnie serce. Niedawno słyszeliśmy, że ks. Wilhelm również ma tu przy-

jechać, niestety, jednak ta nadzieja nie spełniła się. Tu się nie zjawi; pojedzie na manewry do Lignicy...

Gdy wszyscy goście przyjechali na obiad, zauważyłam u wysiadającej ks. Radziwiłłowej pewne zmęczenie, nic dziwnego zresztą — wszystko to musi bardzo ciężyć jej sercu. Księżniczka Eliza była ubrana bardzo skromnie, bez żadnych klejnotów, w które tak chętnie stroi ją matka"...

O przebiegu widzenia się z królem i jego rodziną opowiedziała Eliza swej przyjaciółce — Lulu — w obszernym liście z dn. 24 września t. r.

...„Ciągnie mnie coś nieustannie do biurka, aby opisać ci te wszystkie wrażenia, jakich doznało w ostatnich dniach moje serce. Rozpocznę tedy od tej chwili, w której odebrałam twój pierwszy list. Był to jasny słoneczny dzień 2 września 1824 r. Przenieś się na wierzchołek góry, która zamyka horyzont doliny Schmiedebergu i Hirschbergu. Jest to Kappellenberg. W tym dniu był on ozdobiony bramą triumfalną, a obok niej stała zebrana nasza rodzina. Nikogo z nas nie brakowało. Pewne urocze zjawisko, zwane Blancheflour, miało się zjawić w tej dolinie i osiąść w Fischbachu... Słońce już zaszło, a księżyc ukazał się na firmamencie. Z wnętrza zbliżającego się powozu rozległ się głos radosny i oto jest już w naszych objęciach! Ujrzałam jej drogą twarzyczkę w blasku księżyca, gdy nachyliła się, by mnie pocałować. Jak przed trzema laty miała na głowie kapelusz słomkowy z białemi piórami a jej delikatną drobną postać osłaniał lekki popielaty płaszcz. Kochany i piękny wielki książę powitał nas ze zwykłą swą serdecznością i podczas schodzenia z góry szedł pomiędzy mną a prowadzącą się pod ręce młodą parą *(Wilhelm i Helena Radziwiłłowie, braterstwo Elizy)*... Wreszcie goście wsiedli znowu do powozu. Blancheflour podniosła przedtem mój kapelusz i przyjrzała mi się badawczo. Nie wiem, czy znalazła jaką zmianę w mym wyglądzie, ale wiem, że zaszła ona — i to ogromna — w mej duszy. Wówczas, a dziś! Było to tak niedawno, a jednak nie poznaję w sobie dawnej Elizy! Mówiliśmy o was: Blancheflour żałowała bardzo, że pomiędzy spotykającymi nie było matki Kleistowej... Nie będę Ci opowiadała o następnych dniach, spędzonych częściowo w Fischbachu, częściowo w Ruhbergu, w towarzystwie ks. Wilhelmowej *(Marjanny)* i wielkiej księżny. Godny pamięci był dzień po przyjeździe z powodu herbaty w szwajcarskim domku oraz zachwycającego, wysoce romantycznego spaceru przy księżycu z Falkensteinu w dolinę...

W cztery dni potem rozpoczął się zjazd króla oraz wszystkich książąt. Było to w niedzielę. Następca tronu zapowiedział swoją obecność na obiedzie w Ruhbergu wraz z żoną, by mama mogła poznać ją, zanim udadzą się do Fischbachu...

Po nudnej godzinie oczekiwania zjawiły się naprzód osoby, należące do dworu, a po nich kochany następca tronu. Przyjechał ze swą Elizą *(z domu ks. bawarska)* w zamkniętym landolecie. Już z daleka uderzyły mnie jej pełne ognia oczy i białe prześliczne zęby. Kronprync zawołał: „*Halt*", wyskoczył z powozu i przedstawił nam swą żonę. Ta miała na głowie biały kapelusz z piórami, przykryty blondynami, a na sobie karmazynową jedwabną suknię pod popielatym płaszczem. Po przywitaniu, weszła do mieszkania i strząsała ze siebie kurz. Rozwiązałam jej płaszcz, spojrzawszy podczas tego w jej ciemno niebieskie oczy. Wydłużone i przysłonięte długiemi, ciemnemi rzęsa-

mi, mają one wyraz czarujący. Trochę zbyt wypukłe świeże wargi przykrywają prześliczne, nieco wydłużone zęby. Brwi ma ładne i bardzo białą cokolwiek zaróżowioną cerę. Jest wyższa, niż przypuszczałam, i myślałam, że ma bardziej kształtną postać.

Podczas obiadu siedziałam między następcą tronu, a dobrym ks. Fryderykiem... Kochany ks. Karol był również obecny i bardzo wesoły. Po obiedzie rozjechali się wszyscy.

Nazajutrz biły nam serca ze wzruszenia, czy król raczy odwiedzić Ruhberg, czy też zobaczymy go dopiero w Fischbachu przed obiadem. Gdyśmy już tracili nadzieję na jego przyjazd, rozległo się wołanie: „Król jedzie". Wypadłam na jego spotkanie. Stał już w korytarzu z Luizą. Kolana ugięły się cokolwiek pode mną, zbliżyłam się jednak. Podał mi rękę i objął mnie, jak zwykle. Jego wesołe i dobrotliwe usposobienie bardzo pomogło mamie i mnie. W ciągu pół godziny mówił o Śląsku, że mu się bardzo podoba, o Berlinie i jego upiększaniu, o Dobberanie i wkońcu pożegnał się. Wzrok jego badawczy często spoczywał na mnie. Nie jest to wrażenie mylne. Później w Fischbachu spostrzegło to również wielu; przy obiedzie i kolacji bardzo często nasze oczy spotykały się.

Nie będę przeczyła temu, że tego dnia zadałam sobie trud podobać mu się. Wyszukałam sobie suknię najskromniejszą, ale tę, w której mi najlepiej do twarzy. Mianowicie ubrałam się w białą krepową suknię ze złotemi ozdobami i krótkiemi rękawami, a we włosy nic nie wpięłam. Od wewnętrznego wzruszenia i starania, by ukryć je przed wzrokiem wszystkich, gdyż mogło to wywrzeć niemiłe wrażenie, zbladły moje rumieńce, a wiesz, że jest mi z tem znacznie lepiej.

Podczas najgwałtowniejszego deszczu piliśmy herbatę w domku szwajcarskim. Wyszłyśmy na chwilę z Luizą, która bardzo urosła i wypiękniała, do jej pokoju w celu uporządkowania tualet. Kiedyśmy wróciły, zastałyśmy wszystkich prócz króla, a papa miał gitarę w ręku. Musiałam odśpiewać piosenkę „*Im hohen Schilfe, grün und dicht*", a później z akompanjamentem ojca „*Ich ging im Walde*". Po mnie śpiewał papa, Helena odegrała kilka mazurków, a ks. Sałtykowowa, bardzo miła kobieta ze świty wielkiej księżny, odśpiewała kilka bardzo miłych romansów. Podczas jej śpiewu król powrócił. Po kolacji pożegnał nas, przyczem pocałował mnie znowu, uścisnął rękę, szybko cofnąwszy swoją, wreszcie odwrócił się i wyszedł.

Tu popłynęły łzy moje, tak długo powstrzymywane. Blancheflour płakała również. Wychyliłyśmy się z otwartego okna i patrzyłyśmy w noc, usianą gwiazdami. Kochany następca tronu i ks. Karol podeszli do mnie i uścisnęli mi dłoń. Chmury rozproszyły się i góry znowu jak olbrzymie widziadła zarysowały się w świetle księżyca.

„Wyjaśniło się", powiedział następca tronu. „Oby te słowa były dobrem proroctwem dla przyszłości niepewnej", rzekł mi na to ze współczuciem ks. Karol.

Bądź zdrowa, bądź zdrowa, moja Lulo. Módl się za twoją Elizę."

Wpatrując się w Elizę podczas pobytu na Śląsku, Fryderyk-Wilhelm III chciał zapewne przeniknąć jej duszę i zgłębić całe jej uczucie. Po wysłaniu Wilhelma do Lignicy, co było stanowczo złym prognostykiem dla losów

dwojga zakochanych, to odwiedzenie Radziwiłłów przez króla i to jego zachowanie się względem Elizy było znowu jakby zapowiedzią jakiejś nowej próby przychylnego załatwienia sprawy. Nosząc się z zamiarem rychłego poślubienia morganatycznie hrabiny Harrach — co też uczynił wkrótce — czuł, że winien zrobić jakiś krok w kierunku uczynienia zadość uczuciom syna. I oto 20 października 1824 r. napisał własnoręcznie list do Aleksandra I, w którym zaproponował, by ten „jako książę Holsztynu" przybrał za córkę Elizę i w ten sposób umożliwił Wilhelmowi małżeństwo z nią. List ten zabrał ze sobą powracający nad Newę w. ks. Mikołaj, tak wraz z żoną przychylny zakochanym. Niestety Aleksander, mając brata, ożenionego z poddanką, musiał odmówić prośbie powinowatego i aljanta — w obawie, by w razie urodzenia się potomstwa z ks. Łowickiej Konstanty nie miał precedensu. Odmowę tę przywiózł do Berlina znowu Mikołaj, przed świętami Bożego Narodzenia. Nic więc dziwnego, że przygnębienie znowu ogarnęło ks. Wilhelma — i że ks. Ludwika tak zwierzała się ks. Marjannie dn. 24 grudnia 1824 r.:

„Wilhelm napisał do mnie przez mego Ferdynanda taki smętny, beznadziejny list, że zupełnie wygląda, jak pożegnalny. Widocznie zaszło coś nowego, co go tak przygnębia... Ach, strata nadziei boli mnie bardzo. Niewiele przywiązywałam do niej, ale Wilhelm, który był tak dobrej myśli, zmusił był i mnie więcej pokładać na nią"...

Wypadki jednak i nastroje szybko się zmieniały. W liście z dn. 30 grudnia t. r. ks. Ludwika doniosła swej korespondentce:

„Ks. Wilhelm znowu się uspokoił; tymczasem dochodzą mnie ze wszystkich stron najdziwaczniejsze pogłoski"...

Pogłoskami temi było nowe postanowienie, powzięte w Berlinie. Oto zaproponowano, by Radziwiłłowie wystarali się o adoptowanie Elizy przez wuja, brata rodzonego ks. Ludwiki, ks. Augusta. Pomimo bardzo przykrych stosunków z tym bratem, Radziwiłłowie zgodzili się na ten nowy projekt i przedsięwzięli odpowiednie kroki. Ks. Ludwika w liście swym z dn. 28 stycznia 1825 r. tak pisała do ks. Marjanny:

„Jestem zupełnie odurzona tą mieszaniną radości, wzruszenia, bólu, trosk oraz uspokojenia się o losy Elizy... Po zwołanej ubiegłego lata naradzie myślałam, że przezwyciężyliśmy największą przeszkodę. Tymczasem tak się nie stało i sami musieliśmy uznać, przyjąć i stwierdzić to, co jest najoczywistszą niesprawiedliwością, jak dowodzą tego przykłady królowej saskiej i króla bawarskiego (księżniczka Ludwika Karolina Radziwiłłówna (1667—1695), córka ks. Bogusława, jako żona ks. Ludwika Brandenburskiego liczy się pomiędzy przodkami tych dwóch głów koronowanych). Wszystko było tak prowadzone, by doradcy królewscy mieli rację. Trzeba było powziąć decyzję, co kosztowało nas 48 złych godzin. Ale wreszcie przezwyciężyliśmy wszystko. Chcemy mieć na względzie tylko szczęście Elizy przy pomocy ks. Wilhelma, a nie ofiarę, którą ponosimy, by to szczęście okupić. Mój brat nie podejrzewa tego nawet i myśli, że jesteśmy w siódmem niebie z powodu jego miłościwej łaski. Musimy zgadzać się na wszystko i przyjmować wszystko jako jego myśl i czyn. Listy niemieckie są prawdopodobnie redagowane przez kogo innego, zato we francuskich bierze sobie odszkodowanie i daje mi boleśnie czuć, jak mało zasługuję na to, co on dla nas czyni"...

A w liście z Poznania z dn. 10 lutego 1825 r.:

...„Bardzo się nam udało zawiadomienie Elizy o nowym planie ułatwienia jej małżeństwa. Ponieważ widziała, że my oboje i nasz Wilhelm *(brat Elizy)* mówimy o tem tak spokojnie, przyszła do przekonania, iż to tylko zwyczaje są tak zawikłane... My zaś składamy ofiarę i to niepołowiczną. To samo powiedziałam ks. Wilhelmowi i uspokoiłam go zupełnie. W ciągu tych trzech ostatnich lat tyle przeżyłam, że byłoby to nawet nie do wytłumaczenia, gdybym przywiązywała jeszcze do tych światowych honorów. Zamarło to już we mnie i patrzę na to i temu podobne rzeczy jakby z wierzchołka Koppe w dolinę. Dziękuję Bogu, że dał mi wreszcie niejakie widoki na szczęście mego dziecka“.

Wobec zgody ks. Augusta i Radziwiłłów na takie załatwienie sprawy król pozwolił Wilhelmowi po trzech latach niewidzenia Elizy odwiedzić ją w Poznaniu. Hr. Eliza v. Bernstorff opowiada w swym pamiętniku:

„W końcu stycznia na balu u ministra Schuckmanna ks. Wilhelm szepnął mi, że ojciec pozwolił mu odprowadzić wielką księżnę *(Karolinę, siostrę)* do Poznania oraz odwiedzić Radziwiłłów. W tem pozwoleniu, zdaniem jego, kryje się zgoda króla na małżeństwo z Elizą, tem bardziej, że miłościwie przyjął gorące podziękowanie, jakie wyraził mu książę za pozwolenie na jazdę do Poznania. Wzruszona wyraziłam swą radość z tego powodu w liście do Elizy, który doszedł do jej rąk, gdy była jeszcze spokojna, i poruszył struny jej serca, milczące dotąd, ale które zaczęły dźwięczyć w chwili przyjazdu ks. Wilhelma, witającego ją jako narzeczoną. Kilka dni upłynęło młodej parze i ciężko doświadczonym rodzicom w szczęśliwem złudzeniu, które dzielił również cały dwór. Udzieliło się ono także całej publiczności“...

Pobyt Wilhelma w Poznaniu w pierwszej połowie lutego 1825 r. był jedną z najszczęśliwych chwil w ich życiu. Możność widzenia się i wylania uczuć, które wezbrały podczas długiej rozłąki, uczyniło im ze śnieżnego i mroźnego lutego kwiecisty maj. Rozradowana Eliza podzieliła się natychmiast swemi wrażeniami z przyjaciółką w długim liście z dn. 11—13 lutego 1825 r.

„Co mam ci powiedzieć, od czego mam zacząć, moja najukochańsza Lulo! Przedewszystkiem muszę się usprawiedliwić przed tobą. Nic nie wiedziałam pewnego, gdy ty już wszystko wiedzieć musiałaś; dopiero wyjazd Księcia powiedział mi o wszystkiem. Zanim to zostało postanowione, myślałam, że odłożono wszystko do wiosny. Nie miałam tedy odwagi pisać cokolwiek i spowiadać się przed tobą z mego szczęścia, które roztacza się przede mną dopiero teraz. Wierzaj mi, moja najdroższa, że nie razi mnie sposób rozstrzygnięcia naszego związku. Bóg w taki właśnie sposób chce nas połączyć — i lepiej jest, znacznie lepiej, że stanie się to przy pomocy mego wuja, niż obcego człowieka, lub wuja mego przyszłego męża. Przecie jest to moja krew, jedyny bliski krewny mojej matki, i znowu tylko matczynej krwi będę zawdzięczać moje szczęście!

7 lutego zobaczyłam go (t. j. ks. Wilhelma) nareszcie po długich i ciężkich trzech latach — i to w takich warunkach i takich okolicznościach, w takim domu, czego nawet wyśnić nie potrafiłabym. A przecie tak często śniłam jak na jawie i plastycznie nasze spotkanie.

Według naszych przypuszczeń miał on przyjechać dopiero z wielką księżną *(Karoliną, żoną w. ks. Mikołaja)*

poprzedzony przez rosyjskie panie. Skoro tedy doszła nas wiadomość o przyjeździe tych pań, pojechałyśmy do generała Roedera, gdzie jeszcze chyba nie byłaś, a gdzie miała zamieszkać Blancheflour. Serce biło mi gwałtownie, gdy wstępowałam po schodach, myślałam bowiem sobie ciągle, że mój przyjaciel będzie śpieszył, że nie będzie zwlekał, że nie zabawi długo w Poznaniu. Miałam na sobie białą muślinową sukienkę, której jeszcze nie znasz, a którą bardzo lubię, i złoty pasek. We włosach nie miałam nic. Pani Modène, księżna Sałtykowowa, i dobra Varette ucieszyły się, że nas widzą. Varette i ja byłyśmy ze sobą bardzo serdeczne i ogromnie przejęte spotkaniem, Wspomniałyśmy jednak i o tobie.

Mama pierwsza dowiedziała się, że ma on przyjechać tego samego wieczora, podeszła do mnie i powiedziała mi o tem. Wówczas jakgdyby żelazna ręka schwyciła moje serce, ścisnęła je mocno i zaraz puściła. Czułam, jak gwałtownie rozszerzyło się i o mało nie pękło. Znasz to uczucie zapewne dobrze. Starałam się opisać je Varette i mówiłyśmy o tem wiele. Opisała mi radość Wilhelma, jego rozradowane oblicze i rzecz dziwna, że ja, która nigdy nie mogłam mówić o nim, która nigdy nie ośmieliłam się otworzyć ust, aby nawet z mamą o nim pogawędzić, od chwili, gdy posłyszałam, że przyjedzie, uwolniłam się zupełnie od tych szczególnych więzów. Nie spodziewałam się, że nastąpi taka rychła zmiana. O 6-ej siedliśmy do stołu. Nigdy nie byłam taka roztargniona. Przy każdym turkocie powozu wydawało mi się, że to już on nadjeżdża, i wskutek tego, wszystko, co mówiłam do Varette, było stekiem niedorzeczności.

Wreszcie rozległ się mocniejszy turkot, który urwał się nagle w podwórzu. Rychło stwierdzono, że to on przyjechał, a co serce moje powiedziało mi już wcześniej. Udałam się z mamą do pokojów, które przeznaczono dla księcia i które oświetlono alabastrowemi lampami. Czekałyśmy tam parę minut — byłam w stanie, który trudno opisać — wprowadził go mój ojciec; spotkali się ze sobą w Pinnie. Przedewszystkiem usłyszałam jego kroki. Rzucił się naprzód ku mamie, później mnie podał rękę. Wstrząsł nami dreszcz, ale łez nie uroniliśmy. Uściskaliśmy się, jak dawniej. Pierwsze słowa, jakie wyrzekł, były: „Po trzech latach ciężkich prób". A twoja przyjaciółka, mój skarbie, była zupełnie niema ze wzruszenia i przemówiła dopiero, wypłakawszy się w drugim pokoju.

(13 lutego). Wysyłam list niedokończony. Jestem niewymownie szczęśliwa. Dość tego wyrazu. Niech Bóg błogosławi tobie i twej matce. Myślcie o waszej szczęśliwej Elizie.

Dopisek na początku listu, pod datą: „Ty, co posiadasz jeszcze ojca i matkę, dziękuj Bogu za to, że masz przed kim wypłakać się, gdy dusza twoja chce przelewać łzy radości i pożąda piersi, na której może się oprzeć!"

Jednocześnie ks. Ludwika zwierzała się kuzynce ze swych myśli dziwnie smętnych, — dn. 12 lutego:

„Moja Marjanno, kochana! Jak często chciałabym mieć cię u siebie, albo znajdować się w pobliżu ciebie. Jakże mi jest dobrze, gdy widzę Wilhelma i Elizę, siedzących niedaleko mnie i ucieszonych serdecznie, jak to już nie było od kilku lat.

Ale pomimo to — zgodnie ze starem przyzwyczajeniem — trapią mnie — mnie samą — wciąż hypochondrje.

Przyszło mi na myśl, że cała ta historja adoptacji Elizy jest tylko sposobem zmuszenia nas do zerwania i że liczono na to, iż zerwiemy, nie chcąc skłaniać do tego króla albo księcia. Dręczyło mnie to okropnie, a szczególniej zaś, że nie pomyślałam o takiej możliwości przed zwróceniem się do Augusta. Wówczas miałam myśl zaabsorbowaną tylko nami, tylko tą ofiarą, którą my mieliśmy ponieść, i tylko tem. Zdecydowaliśmy się na nią — i dopiero później przyszły te przypuszczenia, jak błyskawica.

Gdy usłyszałam opowiadania Wilhelma o tem, co się działo w ciągu tych trzech lat, co mu mówiono, by zachwiać jego wiernością dla Elizy, jak Brause (dawny guwerner ks. Wilhelma) przeciwny temu związkowi, twierdził, że jej spokojne, ciche usposobienie nie jest odpowiednie dla niego, lubiącego zabawy i rozrywki, jak Wittgenstein jeszcze obecnie w ostatnich dniach przedstawiał mu, że wątpliwości króla pochodzą zapewne z przekonania, iż nie będzie on szczęśliwy z Elizą — zasmuciłam się tem wszystkiem ogromnie. Całą noc myślałam o tem wszystkiem i przed oczami memi stanęło odrazu, jak srogo będą sądzili moją Elizę ci dworacy, jak ją będą krytykować, jak wszystko, co ona uczyni i powie, będą uważali za nieodpowiednie, jak sam Wilhelm będzie tem wszystkim zrażony. Nadaje on bowiem wielkie znaczenie elegancji i pewnemu rodzajowi wdzięku, czego Eliza nie posiada. Wesołą jest ona nie z usposobienia swego, lecz tylko w towarzystwie braci, a oprócz tego może jej braknąć jeszcze wiele innych potrzebnych cech, o czem sam nawet nie wie. Zresztą Eliza zmieniła się w ciągu trzech lat i w każdym razie nie dosięga zapewne tego ideału, który tak w pięknej szacie prawdopodobnie przedstawiło mu trzyletnie oddalenie.

Eliza przy tem czuje się cokolwiek niezdrowa, ma brzydką nogę i bynajmniej nie jest *en beauté*...

Eliza widzi w dalekiej przyszłości tylko szczęście, spokój i radość. Twierdzi, że Bóg pozwoli jej pozyskać złe serca i że we własnem znajdzie wszystko, co może uszczęśliwić Wilhelma. Oby Bóg w swem miłosierdziu istotnie dał jej tę moc, gdyż to, co ją czeka, jest znacznie cięższe i trudniejsze, niż przypuszcza. Ja nie mogę odbierać jej nadziei i dlatego nie dzielę się z nią czarnemi myślami, napełniającemi moją duszę.

Piszę do ciebie podczas gawędki Wilhelma z Elizą; mogą rozmawiać z sobą bez przeszkód, gdy jestem zajęta.

O przeszłości — a właściwie o dniu rozstania w 1822 mówili ze sobą raz tylko. I wątpię, czy potrafią obecnie wyczerpać wszystko, co się zebrało w ich duszach w ciągu tych lat ubiegłych, wszystkie swoje radości i smutki...

Gdy hypochondrja moja ustaje, składam dzięki Bogu z całej mej duszy. Jak to On wszystko cudownie ułożył. Niech będzie pochwalone Jego imię!

(13 lutego). Mój mąż i książę Wilhelm są zdania, że powinnam napisać do króla. Uczyniłam to, ale napisałam tylko, że Karolina opuściła nas w dobrym stanie i że jestem bardzo szczęśliwa z widzenia się z nią i Wilhelmem oraz z tych pozdrowień, które raczył mi przez nich przesłać.

Eliza była wczoraj ogromnie wesoła i uszczęśliwiona i z teraźniejszości i z przyszłości, a Wilhelm był tak zadowolony, że moje czarne myśli opuściły mnie i dziękowałam Bogu z całego serca"...

Smutny nastrój matki był jakby przeczuciem rychłej przyszłości. Radosny pobyt skończył się w przykry sposób. — Hrabina Bernstorffowa pisze:

„Wtem ks. Wilhelm w Poznaniu spadł ze schodów i tak mocno uderzył głową w niskie odrzwia, że stracił przytomność. Chciano go zatrzymać w Poznaniu, ale wierny obietnicy, danej królowi, że zabawi w tem mieście tylko kilka dni, nie zgodził się na to i udał się zpowrotem do Berlina. Przypłacił to ciężką chorobą, która przez sześć tygodni zatrzymała go w łóżku. Te sześć tygodni wpłynęły ujemnie na losy młodej pary, albowiem król, rozgniewawszy się za przedwczesne rozgłoszenie o swej zgodzie, znowu dał posłuch wszystkim racjom, sprzeciwiającym się temu małżeństwu".

Tekla z v. Gumpertów v. Schober, od dzieciństwa przyjaciółka ks. Wandy Radziwiłłówny, siostry ks. Elizy, podaje o tych czasach następujące wiadomości:

„Ks. Wilhelm przyjechał do Poznania w odwiedziny do Radziwiłłów. Natychmiast zaczęto przypuszczać, że nastąpią zaręczyny jego z ks. Elizą.

Co myśleli zainteresowani, nikt się nie dowiedział o tem, ale ks. Ludwika przypuszczała napewno, że wreszcie nastąpi szczęśliwe rozwiązanie tyloletniego męczącego oczekiwania.

Mówiąc o przyjeździe ks. Wilhelma, powiedziała ona wówczas memu ojcu, srodze zmartwionemu moją chorobą: „Jest mi serdecznie przykro, że pan i Tekla tak jesteście teraz zmartwieni, właśnie w tym czasie, kiedy ja i cała moja rodzina jesteśmy w przededniu wielkiego szczęścia". Nie przypominam sobie już, jak długo książę zabawił w Poznaniu, ale pamiętam dobrze opowiadanie mego ojca o ostatnich godzinach jego pobytu.

Gdy książę miał już wyjeżdżać, cała rodzina Radziwiłłów zgromadziła się w salonie. Brakowało tylko Elizy,

która została w swym pokoju. Dlaczego? Bardzo być może dlatego, że młoda para nie życzyła sobie żegnać się przy świadkach. Otóż książę udał się do pokoju Elizy, leżącego bardzo daleko. Trzeba było przejść cały szereg pokojów, gabinet ks. Ludwiki, pokój ks. Wandy, pokój tualetowy ks. Ludwiki itd. itd. Z pokoju ks. Wandy do następnego prowadziły niewielkie schody, dzięki czemu drzwi były małe i niskie. Książę, żywo przebiegając stopnie, uderzył głową o drzwi — i nastąpiło mocne wstrząsnienie. Wezwano zaraz mego ojca *(Chrystjan Gumpert był dr. med.)*, a ten radził odłożyć wyjazd na kilka dni i zabierał się do wysłania odpowiedniego zawiadomienia do Berlina. Ale obowiązkowy książę nie chciał słyszeć o czemś podobnym. Z jednej strony chciał być wierny swemu słowu, z drugiej obawiał się, że dłuższy jego pobyt w Poznaniu może być źle wytłumaczony. Gdy, powróciwszy do zdrowia, zaczęłam znowu bywać w pałacu namiestnika, nie słyszałam już nic o pobycie księcia, ani o zaręczynach jego z Elizą. Towarzystwo jednak poznańskie było ogólnie przekonane, że to nastąpi lada chwila.

Tylko pojedyńcze osoby, znające prawa, które obowiązują książąt krwi, były innego zdania. Wiedziały one, że rodzina Radziwiłłów w minionych stuleciach była złączona węzłami pokrewieństwa z rodziną Hohenzollernów, ale znały one również prawo wydane przez Fryderyka II, według którego książęta pruscy mogli się żenić tylko z córkami panujących rodzin".

5.

Choroba ks. Wilhelma, która wybuchła po powrocie jego z Poznania, głęboko wstrząsnęła wrażliwą duszę Elizy.

To wzruszenie odbiło się ujemnie i na jej zdrowiu: zachorowała również. Listy jej matki i ks. Marjanny z tych czasów pełne są doniesień o stanie zdrowia obojga kochanków.

Ks. Ludwika do ks. Marjanny. Poznań, 21 lutego 1825 r.

...„Możesz sobie wystawić nasz przestrach, gdyśmy nie otrzymali spodziewanego listu od Wilhelma i gdy nas doszły wieści od Ferdynanda o postawionych pijawkach i o tem, że nie mógł się z nim widzieć. Dopiero to, co nam doniosłaś, że po pijawkach poczuł się lepiej, uspokoiło nas trochę. Eliza również zachorowała; obawiałam się szkarłatyny, ale dziś od rana nie ma już gorączki. Skończyło się z nią — a tu nowa troska o Wilhelma. Oby Bóg miłosierny, który zesłał był nam przedtem takie radosne chwile zupełnie nieoczekiwanie, zechciał odwrócić ją od nas i roztoczyć Swą opiekę nad Wilhelmem i Elizą"...

Ks. Marjanna do ks. Ludwiki. Berlin, 21 lutego 1825 r.

...„Odwiedziłam chorego Wilhelma i opowiedziałam mu o twoich czarnych myślach i o twem przypuszczeniu, że znalazł Elizę zmienioną. Mogę cię zapewnić, że natychmiast po mojem przyjściu zwierzył mi się, iż znalazł ją jeszcze ładniejszą, niż dawniej, gdyż figura jej urobiła się dzięki rozrośnięciu się; stwierdziłam to zresztą sama jeszcze w Ruhbergu".

Ks. Ludwika do ks. Marjanny. Poznań, 23 lutego 1825 r.

...„Odebraliśmy wczoraj spóźniony drogi list Wilhelma. Sprawił on nam wiele radości i uspokoił nas; tutejsi lekarze zapewniają, że było to zaledwie powierzchowne obrażenie, jednak potrzeba lodowych kompresów, 24-ch pijawek, a może i puszczenia krwi wystarcza w zupełności, by wywołać złe myśli. Eliza całuje rączki drogiej Pani Minnetrost i prosi, aby odwiedzała często biednego chorego... Tutejszy chirurg, który opatrywał Wilhelma przed odjazdem, wypowiedział się bardzo poważnie, gdy mu podałam symptomaty choroby księcia. Eliza, mająca opuchnięte gardło, rozchorowała się od tego jeszcze bardziej, tak, iż również potrzeba było zastosować pijawki. Uciecha jednak, której doznała, otrzymawszy twój list i Wilhelma, podziałała na nią znakomicie"...

Ks. Marjanna do ks. Ludwiki. Berlin, 26 lutego 1825 r.

...„Siedziałam przy łóżku Wilhelma i powiedziałam mu, że to Eliza mnie przysłała. Bardzo spokojnie mówiliśmy o tobie i o Elizie... Tymczasem potem puszczono mu krew ponownie. Napędziło mi to znowu strachu, ale chirurg, którego o to zapytałam, zapewnił mnie, że niema obawy i że Wilhelm jest na dobrej drodze"...

Ks. Ludwika do ks. Marjanny. Poznań, 27 lutego 1825 r.

...„Choroba tak podziała na nerwy Elizy, że wciąż przypuszczała, iż jest z nią źle, i wciąż we łzach żegnała się z tym światem. Obecnie czuje się lepiej i może spokojnie i cicho leżeć w łóżku. Oby Bóg dał nam jutro dobre wiadomości od Wilhelma!"...

Powróciwszy do zdrowia Wilhelm tak donosił o sobie i swej sprawie gen. Oldwigowi v. Natzmerowi:

„Berlin, 1 kwietnia 1825 r. Wreszcie jestem w stanie, mój najdroższy panie Natzmerze, złożyć ci najser-

deczniejsze podziękowania za twój drogi list z powodu dnia 22 marca i za to wszystko, co zawiera najmilszego.

Jakkolwiek życzenie pańskie, obym w tym dniu dosięgnął tak dawno przeze mnie pożądanego celu, nie spełniło się, znajduję się już jednak bardzo blisko od niego; mianowicie król rozkazał przeczekać święta wielkanocne, i po swym powrocie do Berlina ma mnie zawiadomić o swej ostatecznej decyzji. Zostanie też ona podana oficjalnie do wiadomości. Co do sposobu, przy pomocy którego cel zostaje osiągnięty, mogę panu tyle tylko powiedzieć, że nigdybym nań nie przystał, gdybym o nim cokolwiek był się dowiedział. Niestety zostałem o wszystkiem dopiero wówczas zawiadomiony, gdy sprawa została załatwiona i gdy w Poznaniu na wszystko się zgodzono. Muszę więc przyjąć tę ofiarę, którą Radziwiłłowie złożyli na ołtarzu naszej miłości.

Jak byłem szczęśliwy w Poznaniu, nie potrzebuję chyba mówić temu, kto przed paru zaledwie miesiącami sam wstąpił w związki małżeńskie. Wystarczy zapewnienie, iż czuję się bardziej szczęśliwym, niż o tem śniłem.

Serdeczne współczucie pańskie w wypadku, któremu uległem, wzruszyło mnie bardzo. Był on bardziej niebezpieczny, niż bolesny, a podróż powrotna przyczyniła się znacznie do powiększenia jego następstw. Pan jednak chyba nie będzie mi miał za złe, że natychmiast po tym wypadku udałem się w powrotną podróż do Berlina: urlop kończył mi się i wszelkie opóźnienie wyglądałoby zdaleka zupełnie inaczej, niż było w rzeczywistości. Nie potrzebuję przy tem zapewniać, że mi było ciężko wyjeżdżać, będąc przekonanym, iż lepiej byłoby pozostać...

Obecnie muszę dbać o siebie, czego nie znałem dotychczas. Zdaję sobie sprawę z tej potrzeby, gdyż wszystko niemal sprowadza mi z łatwością nieznośny ból głowy. Jutro po raz pierwszy mam siąść na konia"...

Wobec spodziewanego — wciąż jednak przez króla odwlekanego — zezwolenia na zawarcie małżeństwa młode serca oddały się zupełnie — bez przeszkód — miłości, korespondując ze sobą bądź bezpośrednio, bądź przy pomocy przyjaciół. Listy Elizy do Lu'u Kleistówny, pisane wiosną i latem tego roku, zawierają wiele przekazów do Wilhelma i znakomicie oddają dzieje ich w tym czasie:

„Poznań, 6 kwietnia. Uszczęśliwiłaś mego Wilhelma, pozwoliwszy mu odczytywać moje listy... Tęsknię za nim niewymownie! Ledwo skosztowałam, jak to słodko być kochaną i połączoną z kochankiem, gdy znowu trzeba było wyrzec się tego i zapłacić za to wielkim niepokojem. Obecnie jednak jestem bardzo wesoła; przyszedł dla mnie czas spokoju...

Poznań, 17 kwietnia... Każde słowo, które mi ślesz, zachwyca mnie i same słowa „Berlin 1825" mogłyby mnie już ucieszyć... Bawisz w mieście, do którego tęsknię, w którem znajduje się cel mej miłości i mogę ci odpowiadać tylko wyrazami tęsknoty. Moje życie upływa mi teraz w tęsknocie, budującej zamki na lodzie, wmawiającej we mnie szczęście, i dającej mi złudzenie, że wszystkie te sny mają solidne podstawy. Przed memi oczyma przesuwają się chwile i zdarzenia, które istotnie kiedyś mogą mieć miejsce, kiedyś, gdy Niebiosa spełnią nasze nadzieje, któremi tymczasem nas obdarza... Burza bije w tej chwili w drzwi i okna a deszcz, zmieszany ze śniegiem, pada i pada, jak gdyby w listopadzie, najsmutniejszym miesiącu w roku. Ta niepogoda przy-

gnębia mnie ogromnie. Chcę się otrząsnąć z przykrego nastroju i zacznę ci pisać o moim Wilhelmie.

Tak, z nim, moim najdroższym, i z tobą, moją przyjaciółką, chciałabym mieszkać w willi Falconeta! Byłoby mi bardzo, bardzo miło!... Dla tych jednak, co mają nadzieje pozytywne, wystarczy i wyspa Pawia *(w Poczdamie)*; i na niej można czuć się równie dobrze, jak w Arkadji: uczucia nasze otwierają nam wrota raju. Jeszcze wczoraj — zdało mi się — idę z nim, wsparta na jego ramieniu przez znane mi doskonale ogrody... Często rozmyślam nad tem, jak mam upiększyć jego wędrowne życie i uczynić mu milszem i słodszem życie domowe w miłem i ozdobnem gniazdku.

Zasnęłam z temi myślami — a za niemi przyszły sny odpowiednie. Zdało mi się, że płynęłam w łódce z Wilhelmem oraz innemi osobami ku Pawiej wyspie, tuż przed pałacem... Wysiedliśmy tam tuż przed pokojami następcy tronu. Byliśmy jakgdyby po ślubie; Wilhelm mówił mi po imieniu i miał prawa małżonka. Wołał na mnie, abym się śpieszyła i nie spóźniła na obiad. A gdy przyszłam na czas, chwalił mnie. U stołu jednak zaszło — już nie wiem z jakiego powodu — pewne niedopatrzenie. Było wiele obecnych i miałam dać znak do powstania od stołu. Zapomniałam o tem i siedzieliśmy zbyt długo. Z tego powodu król zawołał mnie do kąta pokoju i wygderał porządnie, ja zaś znalazłam się bardzo odważnie, nie płakałam ze strachu, tylko ucałowałam jego rękę i obiecałam, że innym razem zrobię lepiej, co do mnie należy. Wilhelm był bardzo rad z mego zachowania i chwalił mnie przez dzień cały, z czego ucieszyłam się, myśląc jednocześnie o mej matce...

Mój skarbie, tu przyszło mi na myśl, że zechcesz zapewne pokazać ten list Wilhelmowi, a ja go tak nabazgrałam. Co uczynisz? Nie chcę wymóc na tobie, byś tego nie czyniła, gdyż robi mu przyjemność odczytywanie mych listów do ciebie...

Poznań, 4 maja... Dziś siadam do listu w jak najlepszym humorze! Wiosna rozkwitła już od ośmiu dni w całej swej wspaniałości i nasz ogródek wygląda rozkosznie ze swemi białym kwieciem pokrytemi drzewami... Twój ostatni list był bardzo miły... Wprawiło mnie w zachwyt to, co piszesz mi o moim przyjacielu i o tem, jak chowa do kieszeni moje listy do ciebie i odczytuje je u siebie w domu. Niczem dziecko rozdokazywane! Ale zakochani są niemi zaiste bardzo często. Ma on jednak rację twierdząc, że jedna z największych przyjemności kryje się w przechowywaniu przy sobie listów... Nie uwierzysz, jak się ucieszyłam, kiedy matka podarowała mi jeden z jego listów do niej; włożyłam go na szarfę i unosiłam na sercu... Wilhelma sny o zobaczeniu się z nami, o których donosi mamie, orzeźwiły mnie i uradowały niemało. Nie mam potrzeby odpisywać mu na to, gdyż o mych snach rozpisałam się nader obszernie w ostatnim liście do ciebie. Jakżeż jeszcze długo nasze dusze będą się spotykały tylko w krainie marzeń sennych?!...

Poznań, 1 czerwca... Muszę ci podziękować za wspaniały list z dn. 16 maja, zawierający tyle ciekawych szczegółów o zajmujących mnie sprawach... Co się zaś tyczy tego ustępu, w którym donosisz mi o mojem kochanym przyjacielu, to przyznam się, że nie widziałam go nigdy skaczącego z radości i chciałabym bardzo widzieć go, gdy czyta mój list. Powiedz mu, iż spodziewam się, że jeszcze pięk-

niej podskoczy przy naszem widzeniu się. Ach, gdybyś i ty była temu obecna! Czy wiesz, obawia się ciebie cokolwiek i pewnego razu już mnie zapytał, czy ty mu mnie nie będziesz odbierała. Odpowiedziałam, że jakoś się to ułoży i że nie będziemy się o to ze sobą sprzeczali...

Poznań, 6 lipca... Widziałam się w ostatnich czasach ze Swinarską, Konstancją i Kalksteinami. Wszyscy wspominają cię i przesyłają ci pozdrowienia pełne miłości. Jestem bardzo głęboko przejęta sympatją i serdecznością, z jaką ogólnie zostałam tu przyjęta. Przywiązało mnie to do Poznania mocno, czego nie spodziewałam się w dzieciństwie. Wówczas ci ludzie byli jeszcze obcy memu sercu; obecnie widzę w nich mych rodaków, kocham ich za to i nigdy kochać nie przestanę. Czas próby dał mi to dobro... Opowiadano mi o sympatji i współczuciu takich ludzi, których nigdy nie widziałam. Przyznam się, że nigdy tego nie spodziewałam się. Z Cieplic nie mamy jeszcze żadnej wiadomości. Niema nic pewnego, czy zobaczymy się w tym roku. Nie obawiam się jednak. „*Mein Glaube greift vertrauend in den Wolken*"......

Ks. Wilhelm pisał w tym samym czasie z Cieplic do przyjaciela:

...„ Sam nie wiem, jak się tu znalazłem. Miałem udać się do siarczanych kąpieli nad Renem, ale miałem już tego dosyć z powodu pierwszej reńskiej podróży... Wobec tego, zaproponowano Warmbrunn. Król zgodził się na to, uważałem jednak za swój obowiązek zapytać go, czy zwrócił uwagę, że w pobliżu tej miejscowości znajduje się Ruhberg. Król istotnie tego nie był zauważył, a ponieważ moja sprawa wciąż jest w toku — rozkazał mi wobec tej okoliczności udać się do Cieplic i w dalszym ciągu unikać spotkania się z ks. Ludwiką i ks. Elizą. Bawię tedy tutaj, nie obiecując sobie żadnych wyników z tutejszej kuracji, gdyż obecnie dolegają mi bardziej nerwy, niż reumatyzm.

Co mówi pan na to, że sprawa moja wciąż się jeszcze wlecze? Ledwom powrócił do zdrowia, przysłał mi Wittgenstein memorjał, w którym wszystko stara się ułożyć i ułatwić, podnosi jednak równocześnie pewne trudności. Myślałem, że wyskoczę ze skóry, czytając ten elaborat. Od pięciu lat nosił się z projektem adoptacji *(Elizy przez kogokolwiek z książąt krwi)*, a gdy już doprowadził do tego i gdy się wszystko udało, sam wynajduje przeszkody na drodze urzeczywistnienia planu, który przecie sam w ciągu lat piastował jako minister Domu. Czy może być coś bardziej oburzającego? Czyż mogę ja, czyż mogą ks. Ludwika i Eliza, wreszcie sam Król być igraszką intryg i kabał?... Zdał sobie z tego sprawę i usunął się za kulisy, zrzucając wszystko na Müfflinga.

Müffling dawniej był zażartym przeciwnikiem mego związku. Ale, zrewidowawszy swoje poglądy, przyszedł wkońcu do innego zdania i stał się zupełnie bezstronnym i wszystko na nowo ułożył. Ponieważ mylono się co do niego i nie znajdywano w nim przedtem oponenta, obecnie jest zupełnie nieprawdopodobnem zgodzenie się na jego wnioski. Obecnie nikt nie może wątpić o istnieniu intryg i kabały, które Müffling przejrzał jak najdokładniej. Postaw się pan w mojem położeniu, a pojmiesz, jak muszę zbierać w sobie całą cierpliwość. Gdyby nie przekonanie, że tylko ona może mi pomóc, dawnobym się rozprawił z jednym z tych panów.

Król znowu zapowiedział, że rozstrzygnie wszystko w ciągu sześciu najbliższych tygodni. Daj to Boże!"...

Pomimo ponownej tej obietnicy król jednak znowu nie wydał swego ostatecznego wyroku. Intrygi wciąż nurtowały pod jego miłością dla syna i życzliwemi uczuciami dla Elizy. Działał znowu na zwłokę. Eliza, acz o niczem nie wiedziała, odczuwała niepewność sytuacji nerwami i niewątpliwie pod wpływem tego pisała do przyjaciółki:

„Ruhberg, 16 sierpnia 1825... Mam ci wiele do powiedzenia. W dzień twego odjazdu spotkałam w kościele niespodziewanie Henrykę v. Roeder z mężem, a po obiedzie odwiedziła nas Henryka v. Prittwitz, również z mężem. Pomyśl sobie, ujrzałam naraz dwie przyjaciółki, z których jedna zajmowała ongiś w mojem sercu to samo miejsce, jakie ty, moja Duszko, masz tam obecnie... Gdy ściskałam Prittwitzową, stanęły mi przed oczami duszy obrazy tych dawnych dobrych czasów tak boleśnie dobitnie wraz ze wszystkiemi złudzeniami, ze wszystkiemi zamkami na lodzie i składanemi wówczas przysięgami, że aż mi się serce ścisnęło. Ulżyłam sobie dopiero, wypłakawszy się w moim pokoju. Długo nie mogłam się uspokoić.... Kończąc ten list, załączam gorący uścisk dłoni dla mego Wilhelma. Musisz mnie o nim donosić niezwykle wiele w każdym liście... Pisz, pisz...

Ruhberg, 20 sierpnia 1825... Mój przyjaciel przysłał mi bardzo miły i serdeczny list z Paretzu. Pisał go w tym stanie tęsknoty, w którym koniecznie potrzeba pisać do swojego kochania. On zapewne nie przypuszcza, jak często chwyta mnie właśnie taka tęsknota i jak często rozpamiętywam sobie nasze drogie dni lutowe. Powiedz mu, moja Lulo, że nuda działa nań znakomicie i że gdybym była egoistką, często życzyłabym sobie, aby go podobna nuda napadała. Nie chcę jednak tego i życzę mu tyle rozrywek

i niezwykle miłych dni, aby długi, bardzo długi czas do zimy zleciał mu jak najprędzej. Oby Bóg dał, abyśmy się już raz połączyli!...

Śniło mi się dziś jak na jawie, że jakoby bawiliśmy w Berlinie i cały dwór zebrał się u nas na *dejeuner dinatoire*. Stałyśmy wspaniale wystrojone w błękitnym pokoju. Znany dzwonek oznajmiał przybycie gości. Pierwsza przyszła Aleksandryna *(siostra Wilhelma, w. ks. meklemburska)*, następnie Ludwika ze swym Fryderykiem, który tak się ucieszył z mego widoku, iż *sans façon* objął mnie dwukrotnie. Później weszli następca dworu z żoną i damy dworu, których przybycia oczekiwałam z natężęniem. Obie były ubrane w eleganckie popielate jedwabne suknie. Nie mogę zaprzeczyć, że Brockhausenówna była najpiękniejsza. Wilhelma wciąż jeszcze nie było. Chciałam go ujrzeć — obudziłam się jednak, zanim przyszla ta upragniona chwila“...

Sen księżniczki był jakby widzeniem na odległość, tak bowiem opowiada Karolina v. Rochow w swym pamiętniku:

„Ks. Wilhelm tymczasem składał hołdy wielu młodym panienkom z towarzystwa, głównie zaś przyjaciółkom Elizy Radziwiłłówny, których liczba była znaczna. Stosunki zaczynały się od tego, że zwierzał się im ze swoich cierpień, łączył jednak z tem tyle uprzejmości, iż wzruszał ich serca może bardziej, niż sam tego chciał. W największym stopniu osiągnął to u ładnej blondynki Emilji v. Brockhausenówny. Serce jej biło tak gwałtownie, że wszystkim rzucało się w oczy jej uczucie dla ks. Wilhelma, pomimo iż starała się zachowywać pozorny spokój. Obdarzona dumnym, samowolnym charakterem nie dawała posłuchu

dobrym radom, znajdowała natomiast oparcie w swym ojcu, człowieku takiego samego charakteru. Zdaje się, im obojgu snuła się po głowie myśl o morganatycznym związku. Obawiano się tej ewentualności i wkońcu piękna Emilja wraz z ojcem musiała udać się w dłuższą podróż zagraniczną"...

Wiadomości o tej rywalce zapewne nie dochodziły do Elizy, gdyż w następnym liście, ani w późniejszych, nie wspomina o niej zupełnie i wciąż ufa Wilhelmowi i pożąda połączenia się z nim:

„Ruhberg, 23 sierpnia 1825 r. Wczoraj wieczorem otrzymałam twój list, moja najdroższa Lulo; sprawił on mi wiele radości... Niezwykle przyjemnie było mi odczytywać raz i drugi najmilsze ustępy tego listu. Ów wieczór od 6-ej do ³/₄ na 10-tą, o którym mi donosisz, musiał być bardzo miły. Trzy przyjazne mi istoty zeszły się razem i myślały z miłością o mnie. Czy będę kiedy czwartą w tem towarzystwie? Nie mogę jakoś uwierzyć w złote sny Wilhelma o październiku, nie mogę, a nawet nie chcę. Trzeba być cierpliwą. O jakbym dziękowała Bogu, gdyby połączył nas tej zimy! Gdy myślę o ponownem zobaczeniu się z Wilhelmem, myślę zawsze, że się to odbędzie w Antoninie...

Z twego listu wywnioskowałam, że mogę się spodziewać miłego listu od Wilhelma. Jakoż oczekiwanie spełniło się w zupełności. List jego był nawet zbyt piękny i po przeczytaniu go wpadłam w taki sam stan, w jakim znajdowałam się po rozstaniu lutowem, kiedy nigdy nie mogłam powstrzymać się od łez na widok jego ładnego charakteru pisma... Z czasem człowiek przyzwyczaja się, do takiego obcowania przy pomocy listów. Wita się je wówczas z radością, uniesieniem i zaciekawieniem, ale niema już w tem tego miękiego, świętego uczucia, z jakiem przyjmuje się pierwsze słowa ukochanego po pełnem szczęścia widzeniu się i po smutnem rozstaniu. Gdybyś mogła widzieć mnie, gdy czytałam jego ołówkiem pisane liściki, które przysyłał mojej matce z pierwszych stacyj, zawiadamiając nas o stanie swojego zdrowia!... Niestety muszę kończyć... Przyjacielowi mojemu przesyłam gorący uścisk dłoni. Opowiadaj mu o mnie jak najczęściej!...

Jesienią horyzont przyszłości, oświecany dotychczas promieniami nadziei, zaczął się jakoś chmurzyć. Zaczęto mówić o rzekomych zamiarach królewskich ożenienia syna Wilhelma z księżniczką wejmarską. Te słuchy były tem niebezpieczniejsze, że król wciąż milczał w sprawie Elizy i nic nie wskazywało, że zechce o niej zawyrokować ostatecznie. Niepokój zaczął znowu ogarniać bliskich księżniczki, a i ona przypadkowo też została zaniepokojona. Ks. Ludwika tak pisała dn. 19 października 1825 r. z Poznania do ks. Marjanny:

... „Lulu Kleistówna, pisząc do Elizy, pomyliła listy i wysłała do niej pismo, przeznaczone dla Karoliny von Hessen, w którem donosi, że przyszłość Elizy jest beznadziejna, gdyż według krążących wiadomości ks. Wilhelm napewno nie otrzyma pozwolenia na małżeństwo z nią. Możesz sobie wystawić, jakie wrażenie mogło to wywrzeć na Elizę. Dzięki Bogu, przyjęła to cicho i biernie, jak zawsze. Ferdynand *(Radziwill)* uspakajał ją, że wie, iż do Kleistów stale znoszą najrozmaitsze plotki. Ale w nocy nie spiąc słyszałam wyraźnie, że zanosiła się od serdecznego płaczu"...

Biedne serce zdobyło się jednak na wiele dobroci dla nieuważnej przyjaciółki i odsyłając jej nieszczęsny list pisała 22 października:

Moja Duszko najukochańsza! Zapewne bardzo bolałaś, dowiedziawszy się o swej omyłce... Wierz mi, że nawet w tem piśmie, które odsyłam ci obecnie, przyjemnie było mi znaleźć tyle miłości dla mnie; co się zaś tyczy treści, to zaledwie na chwilę mną wstrząsnęła. To, co ludzie powiadają, nie może zmienić mego losu. Bóg, i tylko Bóg, zdecyduje w tej sprawie, gdyż On jedynie może rządzić wszystkiem według Swej woli. Przyjmę tedy to, co On w Swej najwyższy łasce postanowić raczy, w przekonaniu, że to będzie niewątpliwie ku zbawieniu mej duszy"...

Dnia 21 listopada pisała ks. Ludwika do kuzynki:

...„Wilhelm pisze do mnie, że od 14 dni nie ma żadnej wiadomości o swej sprawie i że zupełnie nie otrzymuje odpowiedzi, gdy o nią pyta. Zdaniem jego jednak, od dwóch lat każdej zimy zbierają się chmury nad jego głową i że dopiero w lutym zwykle zaczyna mu przyświecać słońce. Będę też czekała, co z tego wyniknie. Przed dwoma laty w lutym udałam się do króla z prośbą, aby raczył zdecydować losy mej córki; otrzymałam wówczas rozkaz: „uspokoić się i czekać". Przed rokiem zrodził się plan adoptowania Elizy (*przez Aleksandra I, a następnie przez ks. Augusta*), a potem Wilhelm był u nas w Poznaniu. Znowu upływa rok. Król może sobie, jak mu się podoba, cenić naszą rodzinę, ale uczucie osobistego poważania, którego nie może wszak nam odmówić, ale uczucie szacunku, jakiego mam prawo wymagać dla mej córki, nie powinno mu pozwolić na odmówienie pozwolenia na ślub po tyloletniem oczekiwaniu"...

Jakoż w kilka tygodni potem zaszło zdarzenie, które zdawało się potwierdzać przypuszczenie księżny. Ks. Wilhelm w styczniu 1826 r. znowu zawitał do Poznania, w przejeździe do Petersburga, gdzie wysłał go król do cesarza Mikołaja I. z kondolencją z powodu śmierci Aleksandra I-go. Zakochani znowu przeżyli jasne chwile. Ks. Eliza pisała do przyjaciółki:

„Poznań, 9 stycznia 1826 r. W jakiej chwili piszę do ciebie, moja kochana! Wielki Boże! sama nie wiem, od czego mam zacząć, jakiem wrażeniem z tobą się podzielić! Najważniejsza sprawa to jednak wczorajszy pobyt tu u nas Wilhelma, że wczoraj z nim i dzięki niemu przeżyłam najsłodsze godziny mego życia, a dziś — niestety — dzielą nas od siebie liczne mile! Wyjechał o północy podczas okropnego mrozu. Modliłam się gorąco, aby Pan pieczę swą nad nim roztoczyć raczył...

Moja Lulo najdroższa! Ile wypadków od chwili otrzymania twego ostatniego listu z końca grudnia! Nie spodziewałam się jednak, że tyle wstrząśnień, jakim uległy w ciągu kilku ostatnich tygodni całe narody i tysiące pojedyńczych ludzi, znowu zetknie mnie z Wilhelmem... Kochamy się, a ten fakt, że spędziłam z nim cały dzień, powie ci wszystko o mnie...

11 stycznia... Duszko moja! Miałam napisać do ciebie obszerny list, ale nie wiem, czy zdobędę się na to. Zanim zapomnę, muszę ci powiedzieć, że list Jadwigi (*ze Staegemannów v. Olfersowej, jednej z przyjaciółek berlińskich Elizy*) jest zachwycający, boski i że zatrzymuję go u siebie dla skopjowania. Twój list zachwycił mnie

również i nie mogę zataić, że pokazałam go Wilhelmowi. Powiedział mi wówczas, że czyta korespondencję u obu przyjaciółek, a potem mówiliśmy o jego pasji zabierania moich listów i chowania ich do kieszeni. Kazał cię pozdrowić i orzekł, że twój list jest bardzo piękny. Musiało mu się podobać, że kochasz jego Elizę. Widziałam to, gdy czytał twe pismo... Kochany Gerlach *(jeden z towarzyszów Wilhelma)* powiedział jeszcze na długo przed wyjazdem: „Ten dzień jest istnym promieniem słońca w naszej zimnej podróży!"...

Przy kolacji robiło mi się coraz smutniej na duszy. Ból ten wybuchł jednak tak mocno, że brakowało jednego słowa, by łzy zaczęły płynąć. Opowiadanie Wilhelma o cesarzowej Elżbiecie tak mnie wzruszyło. Straciłam panowanie nad sobą i nie odzyskałam go już do końca.

O 12-ej w nocy odprowadziliśmy go do powozu. Noc była burzliwa, a mróz dosięgał 15°. Jeszcze przed drzwiami pożegnał się z nami... Na lekką sukienkę czarną narzuciłam tylko futerko, a że w dodatku byłam w cieniutkich pantofelkach atłasowych, przeziębłam porządnie i dostałam dreszczy. Pomyślałam sobie: „Coby to było, gdybym się teraz przeziębiła śmiertelnie?" Tymczasem Wilhelm ruszył i turkot powozu rozległ się w bramie. Serce ścisnęło mi się i w duszy zawołałam za nim wzruszona: „Weź moje życie!" Czy to nie sen gorączkowy? Ale tak było, tak być musiało, gdyż byłam podniecona i zziębnięta. Teraz czuję się już dobrze, ciepło mi, a od owej chwili pozostała mi tylko tęsknota, ta, którą uczułam, gdy powóz jego ruszył"...

6.

Nie darmo pożegnanie z Wilhelmem tak przejęło Elizę, nie darmo tak smutne myśli nasunęły się jej w chwili jego odjazdu. Wizyta Wilhelma w Poznaniu nie była — jak się rychło okazało — zwiastunką lepszej przyszłości, lecz odwrotnie stanowiła koniec wszelkich nadziei, była zamknięciem idylli miłosnej . Oto książę na rozkaz ojca po paromiesięcznym pobycie nad Newą wrócił inną drogą. Ten fakt został odrazu zrozumiany, jak należało, przez wszystkich. Ks. Ludwika tak pisała dn. 19 kwietnia 1826 r. do ks. Marjanny:

... „Wellington, wracając z Rosji, ostatniej niedzieli, 16 kwietnia, przyjechał do Poznania. Przywiózł mi list od Wilhelma, w którym ten donosi, że 15 kwietnia ma zamiar wrócić do Berlina. Tam tedy wysyłam do niego moją odpowiedź. O swej i naszej przyszłości pisze w ciemnych ale smętnych wyrazach... Mężczyzna, mogący zapamiętać się w swych pracach, może z łatwością, jeśli chce, znaleść szczęście. Będę go żałowała, ale nieszczęście mojej córki odboleję serdecznie... Oczekiwanie nieszczęścia bynajmniej nie zmniejsza cierpień, jakie ono sprawia, milczę tedy i staram się nie myśleć o tem, co przyjdzie. Blanka stara się jak najbardziej zająć Elizę, ale gdy przychodzi list i przynosi tylko coraz większą niepewność, to wzrusza się bardzo. Nie mówimy z sobą o tem wszystkiem, gdyż tak łatwiej utrzymać równowagę"...

Wobec takiego symptomatu przypuszczano ogólnie, iż Radziwiłłowie pierwsi doprowadzą do zerwania stosunków. Albertyna Bogusławska pisała do matki z Berlina 20 kwietnia 1826:

„Wczoraj w południe odbył się u króla obiad dla Wellingtona, a wieczorem przedstawienie w operze. Dziś był przegląd wojska, po którym Wellington odjechał... Ks. Wilhelm powrócił; w drodze z Petersburga spał zaledwie jedną noc, przyczem wracał przez Królewiec, a nie przez Poznań!... Z tego już możesz wnosić, jak się mają sprawy jego związku. Najwyraźniej nie najlepiej... Księżna Ludwika powinna sama cofnąć się, widząc, że dążą do tego, by wszystko się zerwało... Jaki to jednak cios będzie dla niej... a Wilhelm napewno nie znajdzie drugiej Elizy!“...

Na to odpowiedziała p. Wilhelmina Bogusławska: „Hirschberg, 29 kwietnia 1826 r. Podróż ks. Wilhelma przez Królewiec jest naturalnie smutną ale zupełnie pewną oznaką, którą i matka i córka napewno doskonale rozumieją i dzięki której zapewne same zwrócą księciu słowo. Powinny to uczynić, gdyż inaczej mogą się narazić na niebezpieczństwo niespodziewanej wiadomości o zaręczynach jego z inną osobą... Cesarz rosyjski, zdaje się, życzy sobie jego związku z księżniczką wejmarską, swą siostrzenicą. Król zapewne również chce tego“...

Dumna Hohenzollernówna jednak nie chciała usunąć swej córki sama. Uważała, że nie może ustąpić przed intrygami i że do ostatka winna uważać swą córkę za odpowiednią żonę dla księcia krwi. W tej pozycji dotrwali Radziwiłłowie do końca, tj. aż do chwili, gdy król ostatecznie zatwierdził orzeczenie komisji rozpatrującej sprawę, iż nawet adoptowanie Elizy przez wuja, a więc księcia krwi, nie zmienia jej pochodzenia i nie czyni ją równą urodzeniem ks. Wilhelmowi. Stało się to w środku lata 1826 r. Dla racji stanu — złamano brutalnie dwa serca. Jak to

one odczuły — jak na to zareagowały, niech powiedzą znowu listy.

Ks. Ludwika do hr. Lulu z Kleistów v. Stoch.

„Poznań, 20 lipca 1826 r. Pojutrze jedziemy do Antonina... Eliza jest pełna złych myśli. Gdy kiedyś na jej przeczucia odpowiedziałam: „Mam ci wiele do powiedzenia, moje dziecko, myślę jednak że lepiej będzie pomówić o tem w Antoninie, gdzie nam nikt nie przeszkodzi“, odrzekła złamanym głosem: „Tak jest, tak będzie lepiej!“ Milczę więc tymczasem i o niczem jej nie mówię.“

Pani v. Kleist do córki, hr. Lulu v. Stoch.

„Wrocław 24 lipca 1826... Ale przejdźmy obecnie do naszych nieszczęśliwych przyjaciół poznańskich. Sprawa zakończyła się ostatecznie niepomyślnie. Król sam napisał o tem do księżny i do księcia. Eliza nie wie jeszcze o niczem i dlatego księżna prosi cię, abyś w liście swym nic o tem nie wspomniała. Ma to jej być zakomunikowane ustnie. Księżna prosi Jerzego, aby jak najprędzej — są to jej własne słowa — przywiózł ciebie do Antonina. Jestem bardzo przyjęta całą tą sprawą i zupełnie chora. Księżna niemal umiera ... zresztą już w Poznaniu wiedziałam, że tak się skończy. Książę Wilhelm własnoręcznie mi doniósł o tem, zabronił jednak, mówić komukolwiek. Postanowił samemu o tem donieść. Nie powiedziałam ci nic, gdyż wiem, że mówisz wszystko Jerzemu, a oprócz tego miałam jeszcze cokolwiek nadziei. Jak to się obrzydliwie skończyło. Po pięciu latach odrzucono jej rękę w obliczu całej Europy! Okropne! Nasz anioł może nie pomyśli o tem, ale ojciec, matka, bracia!...

Ta sama do tejże.

„Wrocław, dnia 6 sierpnia 1826 r. Przesyłam ci list księżniczki Elizy, która oczekuje ciebie z wielką niecierpliwością. Nie skarży się w nim na nikogo. Często spodziewała się czegoś złego, ale matka tak się obawiała, że każde poruszenie tej sprawy może jej zaszkodzić, iż książę ojciec i książę Wilhelm (brat Elizy) spotkali mnie na drodze, by uprzedzić, abym ani z matką, ani z córką nie mówiła o niej. Tylko w ten sztuczny sposób jakoś podtrzymywali swego ducha.

Gdy przybyłam, zastałam u drzwi księżnę matkę, z twarzą poważną i smutną. Ledwo weszłam, zjawił się nasz anioł kochany, pogrążony z głębokiej boleści. Inaczej tego określić niepodobna. Ale jest cicha, czulsza i milsza, niż kiedykolwiek. Księżnę matkę opanował jakiś zimny smutek, księżniczka Eliza natomiast boleje z większem i gorętszem uczuciem... Przywiązała się jeszcze bardziej do tego, co jej zostało, do ojca i do matki. Żyje tylko nimi. Każdy z braci jest dla niej więcej, niż bratem; jest zachwycona Wilhelmem, na którego dawniej żaliła się niekiedy. Wszyscy oni kochają się bardziej, niż zawsze. Duch rodziny, miłość i przywiązanie, wypowiadają się tu przy każdej sposobności.

Wieczór zeszedł nam na naszych rozmowach, które były tem bardziej szare, że każdy czuł, co drugi ma na sercu.

Książę ojciec, Eliza, Paulina Néale odprowadzili mnie do mego pokoju. Paulina została u mnie i opowiedziała mi, jak wzruszającą jest Eliza, od czasu, gdy ją spotkało nieszczęście. Otoczyła największym staraniem matkę, ta znowu wciąż zabiega o córkę.

Każdy z członków tej doskonałej rodziny, w której panuje duch boży, stara się ulżyć cierpieniom innych. Za to Bóg obroni ich napewno, będzie im błogosławił i kiedyś będą jeszcze szczęśliwi... Bynajmniej jednak nie są ślepi na swoje błędy. Kochają się i wybaczają je sobie. Radość jednego odczuwają wszyscy, ból łączy ich razem. Zupełnie słusznie piszesz, że są bardziej jeszcze zespoleni ze sobą, niż kiedy indziej i stanowią jedno serce i jedną duszę.

Ten list piszę tylko dla ciebie, moje drogie dziecko, gdyż wiem, że księstwo nie chcą, aby mówiono o tem wszystkiem. Szczególnie księżna matka i książęta. Elizie nie sprawia to różnicy.

Na drugi dzień księżna matka zabrała mnie do swego pokoju pod pretekstem, że chce mi go pokazać. Istotnie przebudowano go. Tu opowiedziała mi *en gros* cały przebieg ostatnich wydarzeń. Potem zabrała mnie księżniczka Eliza do ogrodu i rozmawiałyśmy ze sobą, nie tykając zerwania. Unikałam tego tematu, bojąc się, że może to jej zaszkodzić, czego nie darowałabym sobie nigdy... Po pewnym czasie mówiłam cokolwiek o nieszczęściu i z matką i z biednym naszym aniołem. Jest to niebiańska zaiste dusza! Dziękuje Bogu za wszystko, na nikogo nie jest rozżalona. Jak umierająca, która, pogodziwszy się ze światem, spieszy ku lepszej ojczyźnie, czyni wszystko, by ulżyć rodzicom w ich smutku..."

Ks. Wilhelm do gen. Oldwiga v. Natzmera.

„Cieplice, 29 lipca 1826. Brause zapewne zawiadomił cię, drogi Natzmerze, jak twardy los przypadł mi wreszcie w udziale. Trzeba szczególnej siły na to, by złożyć w ofierze swoje najdroższe, najwyższe życzenia. Ale jakie siły muszę ja mieć obecnie, gdy zerwano związek, którego

życzyły sobie wszystkie strony zainteresowane, w którym w ciągu długich, długich lat widziałem całe moje szczęście, którego w ciągu ostatnich czterech lat oczekiwałem z najwyższem naprężeniem i którego, zdawało się, byłem tak bliski. Zerwały go zewnętrzne wpływy. Mogę szczerze powiedzieć, że ciężko skrzywdziło mnie mięszanie się ludzi postronnych, ale w sercu mem nie złorzeczę im za to. Bóg używa ludzi tu na ziemi za swoje narzędzie, by kierować naszemi losami według Swej woli. Trzeba poddać się tym wysokim wyrokom ze skruchą i cierpliwością. Ten kto nas tak często doświadcza, kreśli nam również drogi ku pocieszeniu i mocy, której tak w podobnych wypadkach potrzebujemy. Poddaję się z głębi duszy temu wyrokowi, ale serce moje jest zranione do żywego. Współczucie i pociechy, które otrzymuję od ludzi, łagodzą mój ból, ale rany tej nie uleczą! Trzeba będzie długiego czasu na to, by w duszy mojej zapanował spokój, tak konieczny dla spełniania zwykłych obowiązków!

Początkowo byłem zupełnie zdruzgotny; obecnie zaś żre mnie, pomimo moich walk wewnętrznych, inny ból: okropne uczucie pustki. Zbyt mocny jest kontrast między uczuciami, które rodziły się we mnie na myśl o — obecnie straconej — istocie, a temi, które władają mną teraz, gdy zgasła wszelka nadzieja. Wydając srogi wyrok, Król był niezwykle miłościwy i pełen serca dla mnie; czuję się bardzo szczęśliwy, że po tem zdarzeniu tak zachowałem się względem niego.

Podczas całego ciągu mojej sprawy nigdy nie byłem ślepy; nigdy nie ukrywałem przed sobą tego, jak niezwykłem będzie to moje tak pożądane małżeństwo, tego, że przeciw niemu da się wiele przytoczyć. Ponieważ jednak

nigdy nie uważałem tego małżeństwa za coś niemożliwego — jestem tego zdania i obecnie, aczkolwiek bynajmniej się nie łudzę, że to może być dla mnie źródłem nadziei — przeto nie mogłem tak łatwo oderwać się od myśli o niem szczególniej ze względu na istotę, która była przyczyną walki. Wciąż żądałem rozstrzygnięcia, ale zawsze przychodzono pytać mnie o moje poglądy, które były stale diametralnie przeciwne tym, jakie mi komunikowano. Obecnie żądanie moje spełniło się — przyszło rozstrzygnięcie bez zapytania mnie — i tem bardziej wzruszyło mnię i wstrząsnęło mojem jestestwem, że zupełnie nie spodziewałem się, iż to nastąpi — i otwierając przysłane mi papiery mniemałem nawet, że wszystko pójdzie dawną drogą. Skamieniałem — dosłownie — gdy przeczytałem to ostateczne postanowienie.

O pańskiem współczuciu dla mnie byłem dawniej już przekonany; w tym zaś ciężkim momencie jestem jego jeszcze bardziej pewny.

Zobaczymy się jesienią; powiem wówczas więcej. O jakbym był rad, gdybyś pan tu był!

Pobyt tutaj, aczkolwiek tak sprzeczny z moim nastrojem, zrobił mi dobrze dzięki rozrywkom. Ale nie brakło i ciężkich chwil. Obawiam się ogromnie samotności mego berlińskiego pokoju a jednak tęsknię za swemi kątami"...

Księżniczka Eliza do hr. Lulu v. Stoch.

„Antonin, 31 lipca 1826 r. Ostatni twój list otrzymałam w ciężkiej chwili i w stanie duszy, który chyba odgadniesz. Moja droga, ukochana przyjaciółko, o, jakbyś się zasmuciła! Ale ciesz się wraz ze mną; dobry Bóg był przy mnie i Jego ręka podtrzymywała mą duszę, a kogo Ona

weźmie w Swą opiekę, ten nie przepadnie. Zniosłam cały ten dopust Boży, błogosławiąc Go.

O, moja Lulo! Jaką matkę dał mi Bóg i jakiego ojca! Szczęśliw jest ten, kto może wylewać łzy, przytulony do takich piersi, szczęśliw, kto ma takie rodzeństwo, szczęśliw, kto ma taką przyjaciółkę, jak ty. Czego nie przeżyłam w ciągu tych pięciu lat, ile zniosłam ciężkich chwil, czego nie skosztowałam! Ale dość tego, serce moje; zwróć się do Tego, który cię nie opuści nigdy! I nie można mi odebrać tego, co miałam; ale to już minęło, a wspomnienie ciąży memu sercu.

Czy wiesz, napisał mi, że ja właśnie uratowałam jego duszę! Chciałabym, aby wszyscy moi drodzy wiedzieli o tem i aby w tem właśnie znajdowali chociażby trochę pociechy. Napisał do mnie długi list z pożegnaniem. Przeczytasz go, gdy przyjedziesz. Ale, czy aby naprawdę przyjedziesz 21 sierpnia? Dusza moja pragnie twego widoku gorąco. Boże! jak drogą będzie dla mnie ta chwila, gdy usłyszę dźwięk twego głosu. Twoja matka współczuje mi bardzo. O, gdybyście obie były przy mnie w tych chwilach! Tu w tym naszym zakątku bardzo spokojnie. Święta cisza panuje w lasach. Siaduję często nad wodą i dusza moja wypoczywa na tych błękitnych głębiach. Zamykam oczy i myślę o Bogu. Opanowuje mnie wówczas błogi spokój. Pierwszego dnia płakałam wiele. Teraz już nie ronię łez. Wpadłam w jakiś stan odrętwienia, z którego mogą mnie wytrącić chyba tylko pierwsze jego listy.

Jakżeż inaczej będą one brzmiały! Jak zmieniły się stosunki od czasu, gdy były pisane! Posłałam mu kilka słów na pożegnanie. Ostatnie już, ostatnie!

Niech błogosławi ci Bóg! Jestem bardzo zmęczona. Pozdrawiam twego Jerzego. Wiem, że współczuje mi. O Lulu, musiałam do ciebie napisać, musiałam pocałować ciebie. Tego potrzeba było mej duszy. Eliza.

Jesienią 1828 r. ks. Wilhelm, zgodnie z wolą ojca, zaręczył się ks. Augustą wejmarską, siostrzenicą cesarza Mikołaja I., a w czerwcu 1829 r. odbył się ślub książęcej pary.

Jesienią 1830r. po ośmioletniej nieobecności wróciła ks. Eliza do Berlina i zaczęła ukazywać się w świecie. Pomimo iż odbolała już swą miłość do Wilhelma i ochłodła dla niego, przejścia 1826 r. pozostawiły na niej ślady nader wyraźne. Na wpadniętych policzkach matowej bladości zakwitły złowróżbne rumieńce, a cała postać naskutek schudnięcia stała się jeszcze bardziej wiotką.

W 1831 r. poznała ona ks. Fryderyka Schwarzenberga i miłość znowu zawitała do jej serca. Niestety przedmiot jej uczucia tym razem okazał się pod każdym względem niegodnym tej anielskiej duszy. Burzliwy i niezrównoważony młodzieniec, uwikławszy się w romans z hr. Ludwiką de Vaudreuil, żoną posła francuskiego w Wejmarze, po roku przeszło zabiegów o rękę Elizy cofnął się, zadając tem jeszcze jedną krwawą ranę jej sercu. Dwukrotnie nieszczęśliwa w miłości, rzuciła się w wir zabaw, chcąc zagłuszyć ból, nurtujący duszę.

Dnia 20 marca 1833 r. podczas obiadu proszonego u ksks. Wilhelmostwa, a więc w domu pierwszego niedoszłego męża, dostała ostrego krwotoku płucnego.

Tak rozpoczęła się jej choroba, suchoty, z której po półtorarocznych cierpieniach zmarła dn. 28 września 1834 r. w zameczku królewskim w Freienwalde, tam, gdzie nawią-

zala się nić uczucia do Wilhelma. Los nie oszczędził jej nawet podczas choroby swych ciosów. Straciwszy w 1827 r. brata Ferdynanda i bratową Helenę, a w 1831 r. drugiego brata Władysława, przeżyła jeszcze i najukochańszego ojca Antoniego, zmarłego z grypy w dn. 7 kwietnia 1833 r. Zaiste niczem biedna Eliza nie zasłużyła na takie smutne życie!

Kochanek pierwszych dni pamiętał ją do śmierci. Na jej wspomnienie sędziwemu cesarzowi Wilhelmowi I łzy stawały w oczach, a głos się załamywał, gdy o niej mówił.

X

WIERNY DO ŚMIERCI

(1827—1868)

A. Mieleszko-Maliszkiewicz: Dziedzictwo humańskie. Przegląd Tygodniowy. Dodatek miesięczny. 1881. II.

...Do długów Aleksandra Potockiego, pozostałych na Humaniu, które po skonfiskowaniu rząd likwidował, należał także skrypt na miljon złotych na imię Korczyńskich.

Dług ten nie wynikł z pożyczki ale z wypadku, dającego wymiar o jednym z najpiękniejszych rysów charakteru i serca Aleksandra Potockiego, który dla tego przytaczamy. Przy dworze humańskim, zamieszkałym przez Aleksandra w 1827 r., znajdował się niejaki p. Korczyński, nadworny cukiernik. Ten Korczyński miał pięć córek, jedną od drugiej piękniejszych, i jednego syna. Najmłodsza z sióstr, panna Róża Korczyńska, prześcigała inne w piękności. Brunetka płci niezmiernie białej, tej olśniewającej białości, tak zwykłej w blondynkach, ale w brunetkach dochodzącej prawie do idealnej przeźroczystości, jeżeli nie wpadają znowu w inną ostateczność brunetek zupełnie smagłych. Kibici wyniosłej, zgrabna, słuszna, słowem panna Róża nosiła najsłuszniej nazwę tego najpiękniejszego kwiatu. Dodajmy, że Korczyński pomimo swego cukiernictwa, starał się o prawdziwe wykształcenie córek nietylko świetne, ale o prawdziwe wykształcenie serca i pojęć wznioślejszych. Wszystkie pięć sióstr były podobne do siebie i wszystkie brunetki. Znałam jedną w mojem dzieciństwie, panią Erazminę Czernicką, już wdowę, mogącą mieć wtedy lat czterdzieści. Mó-

wiono, że była najpodobniejsza do Róży, świetniała też pomimo swych lat niezgasłym jeszcze wdziękiem płci przeźroczystej, jak alabaster, nieskazitelnie regularnych rysów twarzy z czarnemi oczyma, których blask dwudziestoletni musiał być niezrównany. Aleksander Potocki rozkochał się szalenie w Róży, a panna Róża pokochała go równie głęboką, serdeczną, bezinteresowną miłością. Ślub byłby niezawodnie uwieńczył tę wzajemną miłość, bo uczucie, szukające szczęścia, nie wyróżniało urodzenia a wychowanie Róży stawiło ją na równi z pannami najpierwszych domów, gdyby, niestety, panna Róża nie zachorowała. A była to straszna, najsmutniejsza z chorób z nieodzownym wyrokiem śmierci — suchoty. Każdy dzień rwał z kwitnącego oblicza Róży po listku, unosząc niepowrotnie. Aleksander pędził dnie i noce u stóp kochanki, coraz bledszej, coraz smutniejszej, codzień z płonącą jej dłonią w swem ręku, zapatrzony w te iskrzące oczy, jak gwiazdy strącone, dogorywające ostatniemi blaskami...

Tymczasem powstanie listopadowe dojrzewało. Potocki, nie chcąc się narazić swemi przekonaniami w kraju, bądź czując się może użyteczniejszym za granicą, odwróciwszy baczenie zwykle czujniejsze w podobnych razach na możniejszych i znakomitszych wpływami, postanowił wyjechać na czas nieokreślony do Wiednia. Opuszczał ojczyznę. Ale odjechać i zostawić biedną suchotnicę bez opatrzenia jej główniejszych przynajmniej potrzeb brakło mu serca. Ale rozstać się z Różą, której nie mógł wziąć z sobą, nie starczyło mu odwagi, a rozstawszy się wiedział, że nie ujrzy jej już nigdy. Trudne było zadanie dla szlachetnego serca. Panna Róża kochała go ani dla jego bogactw, ani dla świetnego stanowiska, które zajmował; jej

sercem kierowało bezwzględne, szczere głębokie, nieopatrzne przywiązanie. Potocki wiedział, że w podobnem usposobieniu jej uczuć nie zdoła żadna siła dowodzeń usprawiedliwić tego nagłego opuszczenia, osłodzonego nawet najzapobieglejszemi staraniami, najserdeczniejszą opieką kochanka... Wymieniwszy zniewalające go powody do nieodzownego opuszczenia kraju, zapewniając, że żadne oddalenie nie zdoła zmienić jego przywiązania, że nigdy nie przestanie myśleć o niej i kochać, co mówił z głębi serca i dochował uroczyście, Aleksander na klęczkach, przyjęty obawą i wzruszeniem, podał Róży przygotowany dla niej weksel na miljon złotych. Ale na ten dar miljonowy, ofiarowany z największą pokorą, Róża, nie uprzedzona o niczem, spojrzała tylko boleśnie, łzy zalały oczy suchotnicy i zabrakło jej przytomności...

Aleksander rzucił się do zemdlonej, nadbiegł Abramson, nadworny doktór, i ledwie docucono się Róży nawpół martwej. Ciężko było zbolałemu sercu przenieść tę nagłą zmianę sieroctwa i tę krzywdę, jak mniemała, wyrządzoną jej zapłatą za miłość gorącą i piękną, jak każde uczucie, wywołane szczerem i szlachetnem sercem. Gdy się to dzieje w pałacu i panuje ogólne zamieszanie, nadbiegł z innymi także p. Józef Korczyński, brat panny Róży. Świadomy stosunków p. hrabiego z siostrą i przyzwyczajony do nadarzających się nieraz nieporozumień między kochankami, może mniej tylko gwałtownych, ale bacząc rzeczy praktyczniej, nie zdziwił się katastrofie. Opatrując plac zajścia i badając przyczyny, spostrzegł rzucony papier, w którym przeczuł instynktownie powód niezgody, i podjął go a przekonawszy się, że był wekslem na miljon zł., sporządzonym najlegalniej na imię siostry, schował do kieszeni.

Potem nikt nie myślał o wekslu. Aleksander Potocki nie chciał, panna Róża nie pamiętała. A potem w kilka tygodni piękna suchotnica konała w objęciach Aleksandra i zamknęła czarne oczy nazawsze, spocząwszy pod czarnym krzyżem na cmentarzu przy kościółku humańskim... Aleksander opuścił kraj; wyjechał z Humania, do którego nie wrócił...

Wrotnowski w swojej „Historji" wspomina o Aleksandrze Potockim, oddając sprawiedliwość jego zasługom i życiu, któremu poświęcił się w imię przekonania. Może mylny jest taki pogląd i pojęcie ofiary dla kraju; mógłby służyć daleko skuteczniej i dziesięciną tylko swych dochodów osłodzić nędzę niejednego z ziomków. Ale zrzeczenie się majątku Aleksandra było ofiarą całkowicie dobrowolną. Czyn Aleksandra Potockiego wypływa z pryncypu, nieposiadającego żadnej ambicji i nieoczekującego innej nagrody prócz wewnętrznego zadowolenia, które znajduje w cichem wypełnieniu pojętego przez się obowiązku.

W trzydzieści lat po tych wypadkach opowiadał mi pan K. B., ukrainiec, zamieszkały z rodziną w Dreźnie, który poznał tam także mieszkającego Aleksandra Potockiego...

Ojciec pana B. służył niegdyś u Szczęsnego Potockiego w Tulczynie i był jednym z zaufanych sług jego. Syn dawnego pana z synem dawnego sługi spotkali się na brühlowskich tarasach. Aleksander, dowiedziawszy się od B., że przyjeżdża z okolic Humania, gdzie ma majątek i zna całą okolicę, zawarł z nim wkrótce bliższe stosunki i stał się prawie codziennym gościem w domu państwa B. Najmilsze chwile spędzał w ich towarzystwie, zwiedzając z niemi okolice saskiej Szwajcarji i ogrody, otaczające

Drezno, tak żywo przypominające wygnańcowi jego Zofjówkę, piękniejszą nad wszystkie Grossgarteny i Grünegewelby, i Choroszę w Tulczynie, gdzie biegał dzieckiem. Potocki pamiętał jeszcze zacnego ojca pana B., który w czasie niebytności jego starszego brata przyjmował na tulczyńskim dworze cesarza Aleksandra I w imieniu dziedzica i którego cesarz udarował za tę gościnę drogocennym pierścieniem. W miłem i poetycznem opowiadaniu pana B. ożywały wspomnienia i nabierały barw, unoszących serce w ponętną przeszłość, i napełniając myśli Aleksandra tysiącem serdecznych wspomnień. I rozpytywał o każdą dróżynę na humańskim szlaku, o każdy lasek, czy nie wycięty, czy bujnie porosły topole, po drogach sadzone ręką jego ojca, czy kwitną te same kwiaty w Zofjówce, jak za czasów metzlowskich, czy płyną te same wody, jak za dni jego dzieciństwa, gdy odbijały niebo przeszłości i oblicze matki, „najpiękniejszej z córek Adama"...

Pan B. utrzymywał w Dreźnie własną kuchnię a będąc smakoszem, zazierał sam nieraz do niej i uczył Niemkę kucharkę przyrządzać pierogi z serem i inne ukraińskie przysmaki. Raz na taką ucztę „humańską" zaprosił p. hrabiego. Smakował też Potocki z apetytem prawdziwie patrjotycznym w tych zapomnianych i nieoglądanych potrawach, któremi państwo B. podbili do reszty serce Aleksandra. Odtąd wpraszał się już sam na polskie kluski i małego Kazia, synka państwa B., zasypywał cukierkami i zabawkami, znoszonemi pod długim płaszczem, którego używał zwykle nawet w czasie najpiękniejszej pogody. Ale pewnego dnia a raczej wiosennego wieczora przyszedł p. hrabia później niż zwykle na herbatę do państwa B., smutny i małomówiący, zabawił niedługo a odchodząc

prosił tylko, żeby raczyli znajdować się jutro o ósmej rana w kościele na nabożeńswie.

Nie domyślając się, coby mogły znaczyć podobne zaprosiny, ale spełniając prośbę Potockiego, pośpieszyli państwo B. na oznaczoną godzinę do kościoła, który zastali z oknami, osłonionemi kirem; pośrodku stał katafalk oświetlony bogato, a na trumnie, okrytej całunem, spoczywał wianek róż. Było jeszcze prawie pusto o tej rannej godzinie w ogromnej drezdeńskiej katedrze. Przed obrazem Mengsa w wielkim ołtarzu odprawiał ksiądz mszę żałobną a u katafalku klęczał mężczyzna z łysą pochyloną głową w długim czarnym płaszczu. Po skończonem nabożeństwie klęczący starzec podniósł się i wyszedł. Inni zaczęli się zwolna także rozchodzić. Wtedy p. B. zbliżył się do jednego z Polaków, znajomych mu, z zapytaniem, czy nie wie, za czyją duszę odprawiały się te egzekwje.

„Za duszę Róży Korczyńskiej“, odpowiedział...

Zacne serce Aleksandra Potockiego dotrzymało święcie przyrzeczenia, wyrzeczonego przed trzydziestu laty umierającej Róży.

Taka rzewność i takie głębokie uczucie, dochowane w piersi starca, gdyby Aleksander Potocki nie położył nawet innych zasług w swem życiu, wystarczają już same na uwielbienie człowieka, dla którego miłość stała się najdroższym skarbem a pamięć ukochanej osoby czcią niewygasłą przez całe życie...

W kilka lat potem na cmentarz drezdeński szła milcząca gromadka za trumną, na której spoczywał także bukiecik rozmarynowy z białą wstążką. Był to pogrzeb ostatniego dziedzica Humania, który umarł 24 sierpnia 1868 roku.

XI
NIESZCZĘSNE ŚLUBY
(1843—1849)

Gabrjela z Güntherów Puzynina: Moja pamięć. Rękopis, własn. prywatna.

Radosny był dzień, w którym, jak róża wykwitająca na śniegu, zawitała do Dobrowlan nasza przyjaciółka Maryla Szumska i z uśmiechem rzuciła się nam w objęcia. Naturalnie, że obrzuciłyśmy ją pytaniami... Ona opowiadała nam dużo o ówczesnem (1844 r.) wileńskiem towarzystwie; nikt lepiej od niej nie mógł zaspokoić nas w tym względzie... Te drobnostki, stanowiące o całości, kto z kim częściej tańcował, kto komu się zalecał itp., to mogła opowiedzieć tylko ona, wtajemniczona w tę sieć uczuć pajęczą, w którą muchy i motyle wpadają dobrowolnie. Powiedziała nam m. in., że Michał Römer ożenił się z panną Idalją Kobylińską, a my, że ten wybór nie zdawał się rokować wielkiego szczęścia, czyniliśmy odpowiedzialną za to — ją właśnie, Marylę. Ona jednak czemprędzej zrzucała winę na drugą Marję, Marję Zaleską, córkę Marcina, z którą był już zaręczony Romer, ale ojciec panny dla kaprysu zerwał to narzeczeństwo, pozwalając, a nawet rozkazując córce zakochać się w pięknym młodym Prozorze. A gdy wola ojca święcie spełniona została i „Rusałki" Bohdana Zaleskiego w zgodzie powtórzone zostały na dwa głosy i na dwa serca, ojciec kazał odjechać paniczowi a córce zabronił go kochać! Stąd sceny romansowe, przebierania się za żebraka na festach, tajemne liściki, a nakoniec plan wykradzenia nocą, co zostało w samej chwili dokonania wstrzymane...

To nam opowiadała Maryla w 1844 r....

W 1848 r. gdyśmy, spędzając zimę w Wilnie, mieszkali w Kossobudzkich domu, mieszkanie nasze, posiadające aż cztery wejścia, posłużyło do rozwiązania tej dramatycznej intrygi.

Romans młodego Prozora z panną Marją Zaleską trwał jeszcze wciąż, już od lat pięciu. Kawaler wprawdzie, straciwszy nadzieję, pocieszał się w prawo i w lewo, starając się na serjo o piękną wdowę, ale panna, pomimo rekolekcyj u wizytek i wożenia do Warszawy, była zawsze stałą. Zniewolony tą stałością kawaler rozpoczął na nowo swoje starania, ale ojciec był zawsze nieubłagany. Nie wspominam o matce, gdyż ta zawsze w kościele lub w szpitalach, oddawna zdała los córki na Boga i na męża.

Pan Marcin właśnie przybył do Wilna i zalokował się w tym samym domu, co i my. Kanonik Markiewicz, jako spowiednik panny, a księżna Ogińska, jako przyjaciółka ojca, brali w opiekę zakochanych. Mój ojciec *(Adam hr. Günther)*, wezwany do kompromisu, miał przyjść w sukurs kanonikowi i księżnie jako superarbiter. Tymczasem przysłano mu młodego Prozora, który, nieznany dotąd mojemu ojcu, sam się przedstawił, czekając aż go wezwą nadół. Gdy tak jednemi schodami wprowadzają kawalera do kancelarji mego ojca, a przez środkowe wchodzi jakiś gość do salonu mojej siostry, schodami od garderoby wpada do mnie biedna Marysia Zaleska, by mnie swoje żale i nadzieje powierzyć. Ach, nie było już w niej tej świeżości uczucia, tej wiary w życie, co przed pięciu laty! Wiedziała już o niewierności swego ukochanego i smutnym głosem mówiła do mnie, że nie liczy na trwałe szczęście. Tymczasem pan Prozor z bijącem sercem siedzi sam jeden w gabinecie mego ojca, a na dole daremnie trzy najpoważniejsze głowy Wilna pracują nad zmiękczeniem nieubłaganego pana Zaleskiego, który wciąż na wszystkie perswazje jest głuchy. Mój ojciec próbuje żartów, mówiąc, że dziś i królowie robią koncesje dla swego ludu, a na to wszystko pan Marcin cieniutkim swym głosem odpowiada: „Mój królu, ja dla jej dobra tak robię!"

Niepodobna było przywołać pana Prozora, ale przywołano córkę. Ta padła z płaczem do nóg ojcu, ale wszystko napróżno. To pieszczone, a nawet psute dziecię, któremu ojciec nie miał nic do odmówienia do lat piętnastu, w chwili najważniejszej swego życia takiego doznała oporu! W nadziei jednak, że może ojciec da się zmiękczyć, poważny areopag oddalił się. I wówczas rozdrażniony starzec, skoro się znalazł sam na sam z córkę — rzecz trudna do wiary, gdyby ten, co widział przez okno, nie upewniał, że tak było — schwyciwszy Marynię za włosy, rzucił ją o ziemię i kopał nogami!

Wtem dano mu znać, że na rogatce zatrzymano beczkę piwa, którą pan Zaleski sprowadzał dla siebie ze wsi, i że akcyza wymaga trzynastu rubli sztrafu. To go wprawiło w taką złość, że nagle wyszedł z pokoju i wyjechał z Wilna, zostawiając córkę znieważoną. Księżna Ogińska wzięła ją w swoją opiekę, a gdy kanonik Markiewicz przedłożył tę całą sprawę zarządzającemu diecezją ks. Żylińskiemu, ten upoważnił panią Ogińską do odwiezienia panny Zaleskiej do pp. wizytek z listem od niego do przełożonej, zalecającym, aby owej panny nie oddawać nikomu innemu, jak tylko panu Prozorowi, przychodzącemu z indultem od niego. A że to działo się w poście, korzystając z tych kilku tygodni, pozostających do Wielkiej

nocy, posłano do ojca przeora karmelitów z listem ks. Żylińskiego, uprzedzającym go, że „Kościół jako matka wszystkich chrześcijan bierze w opiekę jego córkę przez wzgląd na pięć lat stałości młodych ludzi“. Lecz i na to pan Marcin nie raczył odpowiedzieć, a niemniej uparta córka zdecydowała się obejść bez błogosławieństwa ojca i obecności matki, która umywszy ręce, jak Piłat, by się nie narazić na gniew męża, wyjechała z Wilna na kilka dni przed ślubem, niby nie wiedząc o niczem. Poleciła tylko przełożonej powiedzieć córce, że pocałunek, dany jej w chwili wyjazdu, miał znaczyć zezwolenie matki na związek z p. Prozorem.

Ślub odbył się w kościele pp. wizytek bardzo skromnie; nie było nawet drużek w orszaku, natomiast byli przyjaciele pana młodego, sami artyści i autorowie, m. in. Żeligowski i Bonoldi. Panna młoda zaś miała na sobie pożyczoną od p. Bonoldiowej suknię, gdyż matka dla większej tajemnicy nie chciała nawet o tem pomyśleć. Po ślubie pan młody odwiózł swoją żonę do kawalerskiego apartamentu w hotelu. I tak odbyło się wesele córki jedynaczki dostatnich rodziców, pieszczonej niegdyś.

A taki jest wstręt do podobnych małżeństw niebłogosławionych przez rodziców, że te nawet osoby, co się najbardziej do tego związku przyłożyły, nie chciały wziąć w nim udziału. Ks. Markiewicz odmówił dania ślubu, a księżna Ogińska nie chciała być mu obecną!

W tydzień potem wróciła do Wilna matka, jakby nic się nie stało, i, zebrawszy się na odwagę, obwoziła córkę po znajomych z wizytami, ojciec jednak długi czas nie chciał jej przebaczyć. Dopiero w jesieni księżnie Ogińskiej udało się to uzyskać od niego. Lecz straszny koniec zgotował Bóg tej biednej kobiecie. Dnia 24 czerwca 1849 r. biedna Marja z Zaleskich Prozorowa, już matka półrocznego synka, znalazła śmierć w głębinach Wilji!

Była ona w odwiedzinach w Czerwonym Dworze u hr. Tyszkiewicza, i gdy ojciec i mąż, wstrzymani dla deszczu przez gospodarza, zgodzili się przenocować, ona, tęskniąc za dzieckiem, uparła się wracać do domu. Była rzeka do przebycia u stóp góry pod samym dworem. Przewoźnicy wpół senni, może wpół pijani, w noc ciemną zapomnieli założyć drąg po wtoczeniu pojazdu na prom i ruszyli na głębinę. Pojazd wtoczył się w wodę, ale nie postrzeżono tego aż na drugim brzegu, a gdy odszukano pojazd pod wodę, ratunek był niepodobny. Pani Prozorowa z wierną swoją sługą, trzymając się w objęciach, już nie żyły!

Czytałam list pani Marcinowej Zaleskiej, pisany do księżnej Ogińskiej wkrótce po tym strasznym wypadku; przysłała kilka rubli na mszę żałobną i na jałmużnę, a pisała o tem nieszczęściu z takim spokojem, jakgdyby umarła nie była jej córką, a śmierć jej nie była tak nagłą! Na ojcu również, spotkawszy go w lat kilka, nie znalazłam śladów tej strasznej straty. Młody zaś wdowiec ożenił się powtórnie z hrabianką Marją Grabowską, córką ministra.

Świadomi życia Marji Prozorowej opowiadali, że od swego wyjścia zamąż bez błogosławieństwa ojca, nawet po otrzymaniu jego przebaczenia, nie czuła się szczęśliwą, ani spokojną, zawsze przepowiadając sobie nagłą i niespodziewaną śmierć, tak nawet, że rankiem dnia fatalnego, spowiadając się w kaplicy pałacu w Czerwonym Dworze, prosiła spowiednika, by ją błogosławił na śmierć!

Koniec.